

Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Su przez

J. I. Kraszewskiego.

WYDANIE DRUGIE.

Tom I.

Nakład i własność wydawców.

WARSZAWA
Gebethner i Wolff

KRAKÓW
G. Gebethner i Sp.

1878.



Z SIEDMIOLETNIEJ WOJNY.

Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

J. I. Kraszewskiego.



WYDANIE DRUGIE.

Tom I.



WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa

1878.



106831

I.

Około połowy XVIII wieku Niemcy były krainą marzeń dla Włochów i Szwajcarów, którym się w domu siedzieć nie chciało, a woleli wzorem wielu szczęśliwych, po dworach książęcych i królewskich szukać tego co u nas zwano „krescytywą.“ W istocie przykładów było dosyć takich uzdolnionych, do wszelkich posług gotowych, ciało i duszę zaprzędających chętnie dorobkowiczów, którzy z małym tłómczkiem napchanym nadziejami, wyszedłszy z domu, wracali w splendorach gwiazd i tytułów, albo raczej nie powracali już nigdy, tylko ściągali ku sobie ubogich krewniaków, aby i oni też przy ich ogniu pieczeń swoją upiekli.

Na dworach berlińskim i saskim pełno było cudzoziemców i ze względów polityki wewnętrznej, panujący woleli się daleko otaczać niemi, niż butną szlachtą domorosłą, która pewne sobie rościła prawa. Właśnie chcąc jęj przytrzeć rogów, król August Mocny otoczył się Włochami i przybyszami z różnych krajów, a na dworze berlińskim metoda ta znalazła uznanie i naśladownictwo.

Z cudzoziemcami nie robiono sobie ceremonii, w kraju nie mieli się na kim opierać; przychodzili zdając się odrazu na łaskę i niełaskę: służy z nich byli wygodni. W najgorszym razie wysyłano ich jeżeli się próba nie udała, do Königsteinu lub Spandau i nikt się za nich nie śmiał ujmować.

Rzadziej się to jednak im trafiało, niż domorośłym sługom pańskim; większa część szła szybko do góry i całe kolonie tych emigrantów dobrowolnych zapełniały rezydencye niemieckie.

Tak też w roku 1755 przywędrował do Berlina powabny młodzieniec, który już od roku prawie kręcił się po stolicy nadsprejskiej, dotąd sobie nie jakoś wyszukać nie mogąc. Ani miła bardzo i zalecająca się powierzchowność, ani dworskie i piękne maniery, ani do wysokiego stopnia podniesiony kunszt tańca, ani muzykalne talenta, ani uśmiech i grzeczność nadskakująca, któremi witał każdego, nie patrząc na położenie jego i stosunki towarzyskie, jakoś nic dotąd nie pomagały.

Max Henryk de Simonis przybył tu z Bernu, opierając się na pokrewieństwie z Ammonami, a jeden z Ammonów w służbie pruskiej i dyplomacyi ważne dosyć zajmował stanowisko. Kuzyn ten mający mu służyć za protektora, przyjął go więcéj niż zimno, ręce pochowawszy w kieszenie a głowę zardarłszy do góry. Pokrewieństwa nie zaprzeczał, ale głosił zasadę, iż młodzież o własnych środkach szukać sobie drogi powinna, bo tylko zostawiona

własnemu przemysłowi, siły do życia wyrobić jest w stanie.

Osobliwy to był człowiek ten Ammon stary; bo młodzieńca tak przy pierwszym widzeniu się z nim zbił z tropu i sfukał, iż się już przed nim więcej pokazać nie śmiał.

Pan Max gotów do największych ustępstw względem obcych, bo na to się wybierając w drogę przygotował, względem kuzyna uczuł w sobie jakąś dumę i urazę; ubodło go wyzwanie, przechodząc próg jego niegościny, powiedział sobie, iż gdyby miał z głodu umierać więcej się do niego nie zgłosi.

Stary Ammon, który może tylko chciał młodzieńca wypróbować czy jest dostatecznie giętki i sprężysty, stał jeszcze jakby spodziewając się powrotu jego, gdy Max już kapelusik nałożywszy na zgrabną peruczkę (bo był elegant nielada) cały zarumieniony zbiegał ze schodów, klnąc się iż ich więcej nie przebiegnie i do domu tego nie wróci.

Stary też powoływać go nazad nie myślał i tak kawaler de Simonis znalazł się na berlińskim bruku (o ile go tam naówczas było), sam jeden na Bożej opatrzności. Ale miał lat dwadzieścia i pięć, które są potęgą wielką; miał jeszcze z domu wziętych, jako stawka ostania, półtorasta dukatów; miał zęby białe, twarz jaśniejącą młodością; niebieskie, magnetyczną siłą tryskające oczy, zdrowie żelazne i mocne postanowienie wdrapać się na gó-

re, choćby z pomocą nóg, rąk i wszelkiego narzędzia, jakim go Bóg obdarzyć raczył.

Rodzice kawalera de Simonis, których był już postradał (jedna tylko siostra pozostała mu z rodziny), byli niegdyś ludzie majątni; mieli pochodzić z jakiejś szlachty, pono włoskiej; lecz nieszczęśliwe okoliczności zrujnowały ich do szczytu i zaledwie resztki mienia poświęciwszy wychowaniu syna, niewiele, tak jak nie prawie zostawić mu nie mogli.

Odłużony dom w Bernie, w którym Max siostrę, ze staruszką ciotką zostawił, paręset dukatów ostatnich składały całe mienie młodego awanturnika. Ale któż w dwudziestu kilku leciech wątpi że się pięcią zdrowymi palcami dorobi, czego zapragnie? Max pragnął w ogólności wszystkiego co przyjemnem być może: sławy, wziętości, bogactw, tytułów, stosunków, wielu miłosnych przygód dla przechowania ich w pamięci i w końcu, świetnego ożenienia, choćby z księżniczką. Patrząc w zwierciadło pewien był że najpiękniejsza księżniczka zakochać się w nim może: był nadzwyczaj ładny, świeży i miły.

Oprócz tego dzięki rodzicom, na innych mu zdobywczych nie zbywało przymiotach. Mówił płynnie, a co daleko na owe czasy rzadszém było, pisał ortograficznie kilku językami, francuzkim władał tak jak tylko Szwajcar nauczyć się może, po niemiecku pisał kaligraficznie, czytał biegle, rozmawiał wprawnie, umiał nie źle po łacinie, wcale dobrze po włosku; a w razie potrzeby, miał dosyć determi-

nacyi aby sie nauczyć chociażby po indyjsku, gdyby mu się to na co przydać miało. Na wypadek karyery wojskowej, do której nie miał jednak powołania, bo to peruki nie dawało w należytem utrzymać porządku, liznął był nieco matematyki, fechtował się i strzelał elegancko i wprawnie, tańcował jak Vestris, śpiewał tenorem wcale nie szpetnie, grał na klawicyr-bale, nawet to co wówczas krzyżowemi sztukami nazywano; skrzypce mu nie były obce: czegoż więcj po takim kandydacie wymagać było można?

Należy i to dodać na jego pochwałę, że oceniając niezmierny wpływ kobiet na przebieg spraw ludzkich, gotowym był zawsze z najwdzięczniejszym uśmiechem, młodym czy starym, pięknym zarówno i szpetnym zalecać się jak najgoręcej. Pięćdziesięcioletnie matrony nie zraziły go bynajmniej, siadał przy nich i jeżeli tytuł, a pozycya usprawiedliwiały ofiary, gotów był całe wieczory im poświęcać.

Z niezmierną bystrością, albo raczej z instynktem od natury mu danym, odgadywał dziwnie charaktery osób, a zastosowywał się do nich z nieporównaną zręcznością. Z kraju swojego rodzinnego wyniósłszy najzupełniejszą obojętność religijną, kwestyą wyznania zachowywał do roztrzygnięcia na później. Był przygotowanym, jeźliby mu przy dworze berlińskim zostać wypadało, wyznawać luteranizm lub atheizm, a trzymać się katolicyzmu gdyby w ostateczności szczęścia szukać przyszło na dworze sa-

skim lub w Wiedniu. Nie było to bezprzykładném, boć i on sławny baron Pöllnitz dla ożenienia nawrócił się był na katolicyzm, a dla powrotu do szambelaństwa przy królu pruskim, ofiarował się przejść nazad do kościoła reformowanego, na co mu Fryderyk odpowiedzieć kazał, jak wiadomo, że go nie weźmie inaczej, chyba muzułmańską przyjmie wiarę. Max de Simonis chadzał tymczasowo i do kościoła i do kirchy, ale że w Berlinie naówczas mało na to zważano i nie opłacała się gorliwość, najczęściej nie bywał nigdzie.

W innych też przekonaniach swych nie był wcale pedantem, tolerował wszelkie opinie, a do poślubienia jednej z nich, czekał ażby się z posagiem wylegitymowała. Główną dlań rzeczą było dobić się karyery.... *Hoc erat in votis*. Tymczasem rok oto upływał już jak się strojno, czujnie, zabiegliwie uwijał po stolicy, i nie nie mógł dokazać. Przygotowawcze jednak i przedwstępne kroki były bardzo umiejętnie porobione; cóż, gdy na jego lep nie się jakoś brać nie chciało. Max nie tracił ani ochoty ani nadziei, ale coraz mu się stawało smutniej i rozmyślał wielce czyby nie należało zmienić stanowisko; w takim jednak razie przepadłoby to co tu osnuł i na nowo rozpoczynaćby musiał.

Miał już pewne stosunki, na znajomościach mu nie zbywało, byli ludzie co się na nim znali i lubili go; lecz ile razy tylko przebąknął o zajęciu, o służbie, o karyerze, potrząsano głowami,

zbywano go milczeniem. Do wojska mu się nie chciało, bambus Fryderyka II, który wprawdzie i pleców ministeryalnych nie szczędził, nader często stykał się z oficerskimi, a kawaler de Simonis łaskotliwym był nad miarę. Zdawało mu się zawsze iż ma wszelkie kwalifikacye do dyplomatycznej kariery: wielką języka powściągliwość, znakomitą trafność oka, szerokość sumienia jakiej tylko zapragnąć po nim mogli, wreszcie wyzucie się z wszelkich przesądów.

Zwierciadło mu mówiło, iż zewnętrzną postacią na dworaka i reprezentanta był jakby umyślnie stworzony. Znajomości też jego najwięcej się w kołach blizkich sfer dyplomatycznych obracały. Być może iż karyera świetna kuzyna Ammona także go na tę myśl naprowadzała.

Do króla Fryderyka II przystęp w ogóle łatwym nie był, a zyskawszy go, dłuższe utrzymanie się w łaskawych względach... Niekiedy zgrabny wierszyk francuzki, ostro przysolony, nieco cyniczny, wyborań bywał rekomendacją. Max de Simonis próbował epigramatów, kilka z nich nawet poszły po rękach, przez p. Maupertuis i Algarottego, ale odbił się bez echa o ściany pałacyku w Sans-Sousi.

Wielką nadzieję pokładał młodzieniec w hrabini de Camas...

Była to jedna z tych niewielu niewiast, które Fryderyk II szacował, gdy o wszystkich w ogóle zwykł się być odzywać że to są: „gąski z pustemi

główkami“¹⁾); o dwadzieścia kilka lat starsza od króla już nie młoda wcale, hrabina de Camas, owdowiała od roku 1741, zajmowała na zamku w Berlinie mały apartamencik na czwartém piętrze, który Fryderyk nazywał „Raikiem“ i gdzie starą przyjaciółkę czasem odwiedzał.

Zycie na dworze, nawyknięcie do nieustannéj czynności, sam temperament żywy, którego lata poskromić nie mogły, siedemdziesiątletniej pani nadawały pozór młodszy daleko. Zajmowała ona przy królowéj jakieś wysokie stanowisko wielkiej ochmi-strzyni jéj dworu, ale obowiązki te spełniała tylko przy wielkich i rzadkich uroczystościach.

Żyła w tym swoim raiku na czwartém piętrze w gronie starych przyjaciół, odwiedzana przez mnóstwo osób, które się o jéj łaski starały, wygodnie, spokojnie i wesoło.

Szacunek króla, niezachwiany dotąd, zyskiwał jéj poszanowanie wszystkich.

Siedemdziesiątletnia babina lubiła towarzystwo. Potrzebowała go, bo była bezdietną, a wesołą młodzież przypuszczała do siebie chętnie, aby się widokiem jéj odświeżyć. Kawaler de Simonis długo niezmiernie starał się o znajomość wielkiej ochmi-strzyni, naostatek skorzystał z jakiegoś nadzwyczajnéj zręczności, na którą długo czatował i sam się staruszcze narzucił; odprowadził ją, podając jéj re-

*) Gänsehen mit dem leeren Gehirn.

kę na owo czwarte piętro, został na chwilę wpuszczony, wypowiedział się sumaryjnie przed nią z całego życia i dostał pozwolenie przychodzenia czasem wieczorami.

Tak zręcznemu jak Max młodzieńcowi więcej nie było potrzeba, ażeby najśmielsze powziąć nadzieje.

Układnie, powoli starał się w łaski stariej hrabinię wcisnąć, nie objawiając dalszych zamiarów. Pani de Camas zdawała się obserwować pilnie i utrzymać go, jakby na próbie. Hrabina była osobą nadzwyczaj wykształconą, przenikliwą i rozumną. Nawykła do życia w wyższych sferach, do ocierania się o sprawy dyplomacyi, o wszystkie dworów intrygi, zbojętniała była na stronę sentymentalną i etyczną tych robót, których nieuchronność uznawała. Pewna szlachetność charakteru niewieścia, niektóre postęпки czyniła dla niej mniej sympatycznemi, ale godziła się w ogóle ze wszystkiemi, co wymagania wyższej polityki nakazywały.

Fryderyk II, który jeszcze przed wstąpieniem na tron napisał i wydał „Antimachiavella“ w istocie inny zupełnie charakter nadał swój polityce. Machiavelli zaleca obłudę i zręczność, Fryderyk II otwartym zawsze działał cynizmem i uczynków swych żadną maską i zewnętrznym blaskiem nie starał się pokrywać. Całe jego życie było szyderstwem z tego, co się w czémkolwiek bądź przyzwoitością zowie. Nie dbał o nią ani w prywatném,

ani w publiczném życiu... Na chwilę zmuszony pozorem jakimś ukryć swe uczucia, wybuchał potem sarkazmem, kijem i łajaniem.

Max de Simonis znał już dosyć ducha dworu i pana, aby wiedzieć, że z karmelkową swą, słodziuchną powierzchownością, łatwo może u Fryderyka II—gdyby mu się nastreczył w złą godzinę, zasłużyć na zwykły epitet *Canailles baggage...*

Możeby był, uwzględniając trudności położenia, powędrował już dawno na inne dwory, do Drezna lub Monachium.... gdyby nie objawiona mu życzliwość hrabinęj de Camas... Ona mu, choć niewyraźnie, pewne, nieokreślone czyniła nadzieje; a gdy tylko zręczność się podawała staruszka badała pilnie tego kandydata do wszelakiej służby.

Zdaje się, że egzamina te musiały wypaść bardzo szczęśliwie, gdyż ostatnią razą wzdychającemu młodzieniaszkowi stara ochmistrzyni wyraźnie powiedziała, że się zrażać i zrywać nie powinien.

Kawaler de Simonis od przyjazdu swojego do Berlina, znalazłszy sobie przy szwajcarskiej rodzinie jakiejś, która tu cukiernictwem się trudniła, a była mu z Berna poleconą — izdebkę na drugiem piętrze pod Lipami, zajmował ją aż do téj pory... Wprawdzie pomieszczenie nader skromne dla kawalera tak wielkich nadziei nie było bardzo stosowném lecz nie wiedząc jak długo potrwa nowicyat, musiał być ostrożnym wielce. U ziomka swego Ceroni miał przytułek niewytworny, ale schludny, stół nie wy-

kwintny, lecz obfity i uprzejmą gościnność, za stosunkowo niewielkie pieniądze.

Trzymał się więc w swój izdebce, nie myśląc z niej się wynosić, pókiiby jaśniejsze nie weszło słońce...

A słońca tego nie widać i nie widać było!!!

W skwarny dzień lipcowy ku wieczorowi, po przechadzce w lasku za miastem, kawaler de Simonis powracał właśnie w dosyć melancholiczném usposobieniu do swojego mieszkania, zabierając się rozpaczliwy list pisać do siostry, gdy wchodzącemu na drugie piętro, zabiegła na wschodach dwunastoletnia Carlotta, córka cukiernika, która nad wiek swój była dojrzałą i jawnie a oczywiście kochała się już, dla nabrania wprawy, w pięknym Maxie...

— A chodźże pan! a prędzej! — zawołała z góry, tupiąc nóżkami i biorąc się w boki... a mrużąc oczki i sznurując buzię — mam coś dla pana.

Max uśmiechnął się smutnie. Zaloty te dwunastoletniego dziewczęcia były wyraźną ironią losu... nie takich jadąc tu, spodziewał się sukcesów.

— Cóż tam tak pilnego, czarnooka panno Carlotto!

— Bardzo pilnego! bardzo ważnego — zaczęła szczebiotać, kręcąc się mała — a tak! a tak! i jeżeli jak żółw' się wlokąc spóźnisz się pan, a będzie po czasie... jam temu nie winna...

I ręce rozpostarła teatralnym ruchem. Max stanął, podszedłszy kilka kroków... dziewczę tupać i biło ręką o poręcz schodów.

— Hrabina de Camas przysłała tu, abyś pan dziś był u niéj!—pospieszyła Carlotta, dłużej nie mogąc utrzymać tajemnicy, i spojrzała tryumfująco. W istocie mogła przybrać ten wyraz twarzy, gdyż Max, jak piorunem rażony, skoczył ku niéj, po drodze chwycił ją wpół, pocałował w czoło: dziewczę się oblało rumieńcem udając, że się wyrywa... ale de Simonis w téjże chwili popędził do swéj izbebki i znikł jéj z oczów. .

Zdyszana Carlotta pobiegła na palcach pod drzwi jego pokoju, nastawiła ucha i domyśliła się, że żywo musiał się zacząć ubierać, gdyż słyhać było rzucanie, stukanie, szcęk i brzęk sprzętów, które Max z pośpiechem chwycił, otwierał i przestawiał.

W istocie nigdy może piękny chłopak tak się nie spieszył ogniście... Godzina była blizka, na którą stawić mu się kazano, a choć od zamku nie wielka go przestrzeń dzieliła — musiał się przecie wystroić...

Szczęściem świeżą peruczkę jak z drewnianéj lalki fryzyerskiej, świeżo zdjętą miał gotowiuteńką... Trzeba się tylko było umyć i przebrać. Jak na złość wszystko mu z rąk wylatywało, a na frak nie mógł się zdecydować, bo miał dwa bratersko piękne... i w obu mu było bardzo do twarzy. Namyslać się nie miał czasu, los musiał stanowić... Jedna para pończoch jedwabnych w pośpiechu tym padła ofiarą.

W kwadrans jednak kawaler de Simonis był gotów, kładł już przed zwierciadłem perukę, miał

kapelusz w rękę i przejrzawszy się uśmiechnął, kłaniając sobie z zadowoleniem.

Gdy wybiegł z pokoju, zastał znowu Carlottę w korytarzu się zwijającą (bo go przez dziurkę od klucza podpatrywała), ale ją tylko zdaleka pozdrowił, aby peruki i stroju nie kompromitować. Po wschodach zbiegł jak baletnik, nucąc piosenkę i znalazłszy się w ulicy, puścił strzałą ku zamkowi. Coś mu mówiło, że to była chwila w życiu stanowcza!..

Serce mu biło mocno...

Nigdy jeszcze podobnego poselstwa nie odebrał od hrabinęj, był więc jęj na coś potrzebny.... Zamyślony, rozmarzony, kilku przechodniów potrąciwszy, a raz o mało nie utraciwszy kapelusza od uderzenia w ramię, stanął przed zamkiem i tu zwolnił kroku. Był u celu: zamek wyglądał jak zazwyczaj w czasie lata; przez ten czas król Fryderyk II siedział w Sansousi, a królowa w Schönhausen... Aż do czwartego piętra na wschodach nie spotkał żywěj duszy, oprócz kilku sług znudzonych, zostawionych tu do dozoru.

W przedpokoju hrabinęj nie było tęż nikogo, prócz starego jęj kamerdynera, a z sąsiedniego saloniku nie słychać było głósów, któreby gości oznajmywały.

Kawaler de Simonis wszedł nieoznajmiony, ostrożnie do salonu i tu także nie znalazł nikogo. Dopiero skrzypiące nieco trzewiki jego, wywołały szelest jedwabnej sukni, a potęm wnijsie starej

hrabinęj, która ze zwykłą starannością wystrojona była, chociaż od śmierci męża nosiła się zawsze czarno. Głową skinęła mu przyjaźnie staruszka..

— Dobrze żeś przyszedł kawalerze de Simonis— odezwała się po francuzku, bo za Fryderyka II dwór, wojsko, co żyło bliżej zamku mówiło tym tylko językiem; ale dodała, palec kładąc na ustach...— Nie wydaj się z tem później w rozmowie, że ja cię tu ściągnęłam sama... Rozumiesz...

Pojętny nader młodzieniec skłonił się z poszanowaniem, rękę na znak posłuszeństwa przykładając do piersi.

Staruszka usiadła na kanapie...i spojrzała ku zegarowi na kominie. Było blisko ósmej...

Max usiadł opodal nieco... Prawie w tej samej chwili, w przedpokoju dał się głos słyszeć nieco stłumiony, drzwi się otworzyły i wszedł znany kawalerowi de Simonis z widzenia Fredersdorf...

Max zerwał się z siedzenia i ujrzawszy go, pohamować nie mógł radości swojej, tak iż twarz cała rumieńcem została oblaną. Szczęściem mrok wieczorny pokoju nie dozwolił widzieć tej zmiany, któraby zbytnią wrażliwość zdradziła, niebędącą przymiotem w człowieku, co się na dworze stara pomieścić.

Fredersdorf (ten sam, którego Voltaire zowie Fryderyka factotum), był niezmiernie znaczącą figurą, chociaż na pozór był człowiekiem bardzo skromnym, a miesjce, jakie zajmował na dworze,

nie stawiało go wysoko. Ludzie, którzy wiedzieli wszystko, szeptali że pochodził kędyś z Frankonii i był synem kupczyka ubogiego, któremu się nigdy nie śniło ani o stanie wojskowym, ani o życiu na dworze... Lecz są przeznaczenia—Fredersdorf w czter-nastym roku życia wyrósł tak okrótnie że ojciec mu sukna na odzienie nastarczyć nie mógł; rósł potem nieco wolniej do lat osiemnastu, a nawet do dwu-dziestu, a gdy się to wyciąganie skończyło doszedł do grenadyerów pierwszego szeregu. W owych cza-sach było to prawdziwe nieszczęście dla młodzieńca, nie mówiąc już o ekspensie na sukno; król Fryde-ryk pruski miał monomanią wielkoludów i marzył nawet o stworzeniu rassy militarnéj nadzwyczajnego wzrostu. Werbownicy jego jeździli po całej Europie, namawiając i kupując do służby ogromnych ludzi, po całych Niemczech i po za granicami Niemiec, odznaczających się pięknymi kształty i olbrzymim wzrostem; gdy się nie dawali werbować, zakneblo-wanych uwożono jak panny i zmuszono, postrzygł-szy, zaszywszy w mundur, do służby w szeregach. Wyszukiwano im potem małżonek równie dorodnych i z tak dobranych małżeństw, niestety, w skutek atanzimu, o którego prawach król pruski nie wie-dział, rodzili się ludzie mali. Ta namiętność dla wielkoludów wiele kosztowała króla JM. pruskiego. Król August II, za kilkudziesięciu Sasów wyrosłych potężnie, dostał naówczas te piękne, japońskie, por-

celanowe naczynia, nad które większych nie ma w Europie: kąpać się w nich można.

Grenadyerowie sascy spoczywają od dawna przy przodkach swych, a japońska porcelana stoi dotąd w muzeum w Dreźnie.

Fredersdorf zaczynał praktykę kupiecką w małym miasteczku w Frankonii i chodził w skórzanym fartuchu, gdy jednego poranku zjawili się werbownicy pruscy. Wpadł w oko kapitanowi. Był to sławny ze swych sztuk Schmels, który żadnego dorodnego parobka ujrawszy z rąk nie puścił; zaklął się że go mieć będzie. Fredersdorfowi, który był natury spokojnej i milczącej, a wcale nie wojowniczej, ani się o karierze militarniej śniło. Zaproszono go na wieczór pod *Złote jabłko*, spojono nieboraka i gdy się ocknął zdala od miejsc rodzinnych, był już odziany w jakiś łachman mundura, a trzech towarzyszków kapitana Schmels'a gotowi byli zeznać pod przysięgą, że zdrow i przytomny na umyśle, do służby się zobowiązał.

Ani młodzieniec, ani rodzice jego, ani żadna siła w świecie nie była w stanie wyrwać go z rąk werbowników. Musiał się poddać przeznaczeniu! ale gdy go do Berlina przywieziono, a zaczęto uczyć musztry za pomocą kija, gdyż naówczas metoda ta pedagogiczna była w powszechnym używaniu, okazało się że nawet wszechmogący kij, ducha w nim i zręczności potrzebnej grenadyerowi pierwszego szeregu wyrobić nie mógł. Kapitan Schmels, który

tylko na rozmiary zważał, odebrał gorzką reprimandę. Raz jednak nabytego Fredersdorfa nie wypuszczono i starając się go zużytkować, kazano mu uczyć się grać na oboju i na flecie, gdyż do muzyki wielką okazywał skłonność.

Pułk Schweryński, do którego muzyki wcielono go, stał załogą w twierdzy Kistrzyńskiej, gdy syn królewski Fryderyk, schwytyany w chwili zamierzonej ucieczki, osadzony w niej został w więzieniu. Po pierwszych okropnych owych scenach, które były jego zakrwawiły, młody następca tronu począł się rozrywać ulubioną grą na flecie i książkami. To doń zbliżyło Fredersdorfa: książę go mocno polubił.

W istocie był to człowiek, którego pokochać było można: natura flegmatyczna, spokojna, powolna, rozważna, nie łatwo podlegająca wrażaniom, ale uczuciu raz powziętemu wierna niewzruszenie. Jako muzyk flecista odznaczał się wielkim gry wyrazem... jako człowiek miał serce wielkie, do rozmiarów piersi zastosowane. Odosobniony i surowo trzymany Fryderyk w Kistrzynie, wyprosił był sobie naówczas u komendanta do posługi tego łagodnego, dobrego Fredersdorfa. Z nim razem grywali na flecie, wierny sługa potem wążąc nietylko swobodę ale życie, pisał od królewicza listy do siostry margrabinie Baireuth, usiłując wyjednać współczucie i pomoc obcych dworów.

W tych dniach niewoli i utrapienia, biedny milczący kupczyk był prawą ręką Fryderyka, a po-

mocy w takim nieszczęściu, w takiej chwili, gdy pomoc dana świeżo jednemu głowę kosztowała, nie zapomina się nigdy. Gdy te ciężkie przeszły czasy, oswobodzony i zwolna do łask ojca przypuszczony królewicz, wykupiwszy się sam ożenieniem, pierwszym groszem jaki miał, wykupił z niewoli wojskowej Fredersdorfa.

Flecista, który miał czas w Kistrzynie do pana się przywiązać, rozpoczął przy nim służbę od skromnej funkcji—lokaja... ale lokaj był zarazem przyjacielem, i Fryderyk, który tak kijem szafować lubił, nie śmiał się nigdy porwać nawet na niego. W istocie, w chwili największego nawet rozjątrzenia trudnym to było spojrzawszy na wiecznie wypogodzone, spokojne, zrezygnowane oblicze, które nigdy ani niecierpliwością, ani bólem nie drgnęło. Fredersdorf rozbrajał tym chłodem i rezygnacją na wet Fryderyka II, który chwilami we wściekłość wpadał. Przez długi czas był to niemal jeden człowiek, który, pomimo podrzędnego stanowiska, miał najzupełniejsze zaufanie pana. W jego rękę były papiery, pieniądze, klucze; wszystko u Fredersdorfa: nigdy niczego nie nadużył. Miał i to do siebie, że o nic nigdy nie prosił, a ze wszystkiego był zadowolniony i ten jeszcze przymiot najwyższy, nieoceniony, że całe życie milczał i rozkazy spełniał, ani ich przechodząc, ani z nich nic nie obcinając.

Z lokaja, przeszedł wkrótce na kamerdynera i na pierwszego ze sług księcia. Gdy Fryderyk II

na tron wstąpił, uczynił go tajnym podkomorzym i wielkim podskarbisem swoim. Nie przeszkadzało to królowi zamęczać tak nieszczęśliwego wiążąc go do swój osoby i posługi, że w końcu ulubieniec o mało nie padł ofiarą. Jakimś trafem poznał był Fredersdorf w Potosdamie, bogatą i piękną córkę bankiera Dauna i umiał się jęj podobać. Gwałtowna miłość zawiązała się potajemnie między dwojgiem przeznaczonych dla siebie. Fryderyk dowiedział się o tém. O miłości dla kobiety mówić mu, było to ślepemu prawie o kolorach. Król miał sentyment za komedią, bo nigdy w życiu go nie czuł. Dla niego wszystkie młode kobiety, nawet, jak się sam wyrażał, czosnkiem cuchnące dziewczki szlężkie jeden urok miały: nielitościwie szydził z serdecznych zapawów! Prozaiczniejszej natury, cyniczniejszego usposobienia trudno wyobrazić sobie. Miłość Fredersdorfa oburzyła go, rozgniewała. Pierwszy raz w życiu napadł z góry na ulubienca, złajał go i wyszydził okrutnie. Obawiał się, aby przywiązanie do żony nie odebrało mu serca potrzebnego służy.

Wystrofowawszy najgminniejszymi wyrazami, wyśmiawszy bez litości, król sądził że go wyleczy, ale postrzegł wkrótce, że to nie pomogło. Rozgniewany, aby stosunki rozerwać wyprawił faworyta w podróż do Francji i dopiero gdy tam ze smutku, żalu, z tęsknoty zachorował niebezpiecznie Fredersdorf, zniecierpliwiony król pozwolił mu się żenić, choćby z dyabłem.

Podskarbi wyzdrowiał jakby cudem, ożenił się i do wiernych usług powrócił, bo się bez niego obejść było niepodobna; król nadał mu dobra znaczne i wszystko zapomniane zostało...

Fredersdorf był jeszcze podówczas bardzo pięknym mężczyzną, a wysoki ów wzrost nie odejmował mu zręczności w ruchach i wdzięku. Trudno w nim było teraz poznać dawnego kupczyka i pułkowego muzykanta. Bardzo wytworna tualeta, którą mu Fryderyk, śmiejąc się z niej przebaczał, sam będąc z zasady i natury nad wszelkie pojęcie brudnym, odmładzała go bardziej jeszcze. Z uśmiechem na ustach, skromnie, cicho wsunął się do salonu i podszedł ku ochmistrzyni, ale oko zmierzyło szybko, niepostrzeżenie kawalera de Simonis, który poczuł że po nim przeszło od stóp do głów to wejrzenie...

Ochmistrzyni przedstawiła mu młodzieńca, zowiąc go żartobliwie swoim protegowanym.

— Ale mój podskarbi — dodała zaraz — mnie się wcale w moich protekcyach nie szczęści. Kawaler de Simonis siedzi tu oddawna i nie może sobie znaleźć żadnego zajęcia.

Fredersdorf ramionami tylko poruszył zlekka: zamruczał coś, rozmowa się urwała, a potem przeszła na przedmioty obojętne. Ostatnia huczna zabawa u księcia Henryka dostarczyła wątku.

Szczęściem dla niego Simonis się jej mógł, choć nieco zdala przypatrywać, wcisnął więc zręczne słówko i popisał się z dowcipem, a jeszcze więcej

z talentem postrzegawczym; podskarbi nie przerywając mu, słuchał go z namiętną uwagą, i on i ochmistrzyni zdawali się chcieć dać pole do tego popisu kawalerowi i wrzucali tylko po słówku, wyciągając go na coraz nowe szczegóły.

Max był szczęściem w werwie i opowiadaniem samem ożywiwszy się, wystąpił świetnie. Gdy skończył, ochmistrzyni i Fredersdorf, jakby porozumiewając się z sobą, oczyma się zmierz yli.

Podskarbi, jak i innych dni, był i teraz bardzo milczący, słuchał więcej niż się odzywał, wszakże, gdy hrabina de Camas znowu coś wtrąciła o tém, iż dla swojego protegowanego, pomimo jego talentów nie znaleźć nie może, odezwał się cicho i łagodnie:

— J. Królewska Mość niechętnie nowych bierze ludzi: miejsca są na dworze zajęte, a w wojsku wątpię, by kawaler de Simonis talenta swe chciał zagrzebać. Wojsko więcej potrzebuje rąk niż głów dobrych, a ja sądzę że pan de Simonis głowę ma silniejszą niż dłonie.

Rozśmiano się nie przecząc: podskarbi rzucił jeszcze pytań kilka, zdawał się badać różnie Maxa; a po godzinnem prawie egzaminie, cicho rzekł do niego:

— Życzę panu szczerze jak najświetniejszej przyszłości... i sądzę, wróżę, iż możesz ją pan mieć przed sobą... ale, jako od starszego, chciiej odemnie przyjąć jedną radę.

Tu się zawahał podskarbi i dalej ciągnął powoli, głos jeszcze zniżając:

— Ktokolwiek ma to szczęście, że się do dworów i wysoko stojących osób zbliża, powinien mieć za prawidło, że milczenie i dyskrecya więcej mogą, niż dowcip i rozumy... Wielu rzeczy ani się trzeba nawet domyślać dla siebie, a żadnej obcym mówić nie godzi.

To powiedziawszy wstał szybko z krzeselka, spojrzął na zegarek i choć w tej chwili lokaj wnosił światło i przekąskę wieczorną, owoce, wino i ciasta, wymówił się od podwieczorku i wyszedł z salonu. Ochmistryni szepcząc coś z nim pocichu, odprowadziła go aż do przedpokoju, gdzie z pół kwadransa zostali jeszcze.

Kawaler de Simonis sam na sam przez ten czas mógł się gryźć tą myślą, że i tym razem mu się nie udało. Rozmyślał tak nad swém położeniem, patrząc na butelkę z winem, gdy hrabina powróciła dosyć żywym krokiem, spojrzała nań, nalała mu kieliszek, kazała się przysunąć do stolika i westchnąwszy poczęła rozmowę.

Z początku wyrazy jej nie bardzo nawet zwracały uwagę zmieszanego młodzieńca, ale wprędce zaczął się im przysłuchiwać z coraz większą bacnością.

— Poznałeś już pan dosyć dwór nasz — mówiła zcicha, mierzając go oczyma — byś wiedział, że do niego przystęp nie łatwy. Ale dlaczegóżby nie spróbować szczęścia gdzieindziej?

Tu się zawahała; kawaler de Simonis uczuł się jakby mieczem przeszyty. Radzono mu więc iść precz! Takie *consilium abeundi* zyskać; zamiast tego czego się spodziewał! I być wezwanym umyślnie na to tylko, aby tę przyjacielską radę usłyszeć!!

Ochmistrzyni postrzegła znać wrażenie i prędko usiłowała je zatrześć...

— Hm! — rzekła — gdybyś pan miał nad swój wiek dyskrecyę, dlaczegożbyś przy innym dworze nie miał być nam, królowi nawet, użyteczniejszym niż tutaj?!

Max zarumienił się jak wiśnia i o mało nie porwał się z krzesła; kapelusz spadł mu z kolan, tak pilno mu było oświadczyć, iż gotów był do dyskrecyi jak grób i do usług jakich tyłkoby po nim wymagano; ale ochmistrzyni mówić nie dała i pośpiesznie ciągnęła dalej:

— Słuchaj w. pan — rzekła — chciałabym szczerze coś uczynić dla niego: interesuje mnie położenie jego... Cóż dla was, na własną rękę wymyśleć mogę... tak, *na własną rękę*... od nikogo nie proszona, przez przyjaźń jaką mam dla waćpana. Uważaj waćpan tylko, kawalerze de Simonis...

Tu przysunęła się bliżej nieco, białą, chudą, pomarszczoną rączką chwyciła gruszkę z talérza i bawiąc się z nią, mówiła coraz głoś zniżając:

— W téj chwili mi to na myśl przychodzi, dlaczegożbyś nie jechał do Drezna? Tam, wiemy to z pewnością, ten niegodziwy Brühl i jego zauszniczy,

knują przeciw nam zdradę. Król strzela do psów i fajkę pali, jemu pod nosem robią co chcą. Królowa Józefina nas nienawidzi. Waćpan jesteś swobodny, mógłbyś tam pojechać, porobić znajomości, podobać się Brühlowej, która młodych ludzi lubi, choć sama dawno być młodą przestała. Mógłbyś się dowiedzieć wiele, mógłbyś mi o tém donosić; jabym królowi czasem list jego przeczytała. Któż wie? tą drogą do wielkich się rzeczy dochodzi!

Wysypawszy prędko wymówione wyrazy te, hrabina de Camas czarne swe oczy przenikliwie skierowała na młodzieńca, chcąc odgadnąć jakie to na nim uczyni wrażenie. Kawalerowi de Simonis gorzały policzki, usta drżały, oczy się iskrzyły, a gdy narazie wolno mu było przyjść do słowa, odezwał się z zapalem, składając ręce jak do modlitwy:

— A! pani! proszę, rozkazuj, kieruj, wymagaj, co się podoba; spełnię bez zastanowienia wszystko!

Zręczne chłopię, po tym wykrzykniku żywo poczęło, z sentymentalnym wyrazem:

— Jestem sierotą, sam jeden na świecie, nie mam opiekuna, doradcy; nikogo! oddaję się cały pani hrabinęj. Muszę pracować dla mojej przyszłości, bo ją nikomu innemu, tylko sobie winien być mogę. Podaj pani rękę miłosierną sierocie...

Pochylił głowę. Ochmistrzyni się uśmiechnęła, a w uśmiechu tym było coś dziwnego, jakby politowanie jakieś i sąd surowy. Westchnęła, a w krótkim przestanku mówiła dalej:

— Więc cóż kawalerze de Simonis? przyjmujesz radę moją? Pojedziesz do Drezna?

— Na koniec świata! — odparł z zapałem Max; — lecz zaledwie wymówił te wyrazy, jakaś myśl wewnętrzna musiała go przestraszyć, pobladł nagle i zamilkł znacząco,

Błyskawicą przez głowę przebiegło mu jego położenie finansowe, szczupły zapas jaki mu pozostał, a razem wielkie zbytki na saskim dworze, na którym bez pewnego kosztownego występu pokazać się, ani najmniejszej roli odegrać nie było można.

Hrabina de Camas zdawała się zgadywać myśl jego i podchwyciła nie spuszczając go z oka:

— Ponieważ oddałeś mi się w opiekę, bądźże ze mną szczerym, kawalerze de Simonis. Żyjesz już dosyć długo w Berlinie, wprawdzie, jak słyszałam, skromnie, ale młodość ma swe prawa i potrzeby. Z domu zapewne wielkich nie miałeś zasobów. Dopóki ci się nie polepszy... jeżeli potrzeba, będę ci mogła czémś przyjść w pomoc.

Max pospieszył ucałować jej rękę, nie chcąc w pierwszej chwili, dalej tak drażliwą posuwać kwestyę.

— Co się tyczy dworu saskiego — dodała — jeżeli się zgodzisz na podróż mój kawalerze, przygotuję cię wiadomościami potrzebnemi, będziesz miał instrukcyą odemnie. Nie masz tam znajomych?

— Niestety! nikogo!

— Tém lepiej — mówiła hrabina — tém lepiej:

do jednego z dwu albo do starego Beguelina, który jest ziomkiem waćpana, albo do rezydenta Ammona listy mieć możesz odemnie.

Spojrzała nań: usłyszawszy Ammona imię, Simonis drgnął, zarumienił się mocno i pomieszał.

— A! tylko nie do Ammona! — zawołał żywo. — Nie mogę mieć przed moją opiekunką tajemnic: Ammon jest blizkim krewnym moim. Przybywszy tu udałem się najprzód do niego, nielitościwie odmówił mi swęj opieki. Nie jestem dumnym do zbytku, lecz raz odprawiony, znać go więcej nie mogę.

— A! — uśmiechnęła się pani de Camas — niekoniecznie się z nim stykać potrzebujesz? — Ruszyła ramionami. — Beguelin Szwajcar, ten was po moim liście przyjmie otwartemi rękami. Nikogo nie zadziwi, że jako Szwajcarowie oba żyć z sobą będziecie. Beguelin ciężki jest, stary, ale zna doskonale kraj i wielką wam być może pomocą...

Rozmowa o Saksonii trwała jeszcze chwilę. Hrabinę żywo zdawał się obchodzić los pupila przybranego, nie szczędziła mu rad i skazówek; naostatek, gdy dosyć późno robić się zaczynało, niespodzianie, jakby jęj teraz dopiero myśl ta przyszła... zawołała ręką uderzając po stoliku:

— Poznałeś tu waćpan *przypadkiem* Fredersdorfa, grzeczność wymaga, abyś go w Sans-Sousi odwiedził. Człowiek ten choć nie głośny, wiele może i przyda się w życiu jego znajomość: wierzcie mi!

— Lecz jakże się ja tam do niego docisnę? — szepnął Simonis.

— O! najłatwiej, o to się nie masz co troszczyć — dodała pani de Camas. — W pewnych godzinach ogród jest otwarty, przejdiesz się po nim zobaczysz posągi ładne, a trzebaby nieszczęścia żebyś lub Fredersdorfa nie spotkał, albo się o jego mieszkaniu nie dowiedział. Jeśli nie będzie przy królu, przyjmie was pewnie. Jutro więc kawalerze, do Sans-Sousi, bo tego odkładać nie wypada, a potem czekam was z raportem i instrukcyami do Drezna.

Hrabina wstała, porwał się z krzeselka młodzieniec, ucałował jej rękę zgiąwszy się wpół i odszedł na palcach rozmarzony.

Nie wierzył szczęściu swojemu! Te odwiedziny tak złowrogo się zrazu obiecujące, skończyły się przecież niespodzianką pełną obietnic... Wyszedł w ulicę.

Parno było, noc zrobiła się czarna, chmury przebiegały po niebie. Kiedy niekiedy błysk błądy rozświecał pustą ulicę, i duże, ciężkie deszczu krople spadały na ziemię. Przerażony Simonis spostrzegł dopiero co groziło jego pięknej peruce i najlepszemu frakowi i pędem puścił się ku domowi. Tylko co na próg jego się dostał gdy ulewa lunęła jak z wiadra...

II.

Kawaler de Simonis nie wiedział zapewne o często przez Frydekyka II powtarzanym aksyomacie: *Fallacem fallere, non est fallacia*; byłby się bowiem domyślił może, iż go nie dla własnej zabawy wyprawiała w. ochmistrzyni do Drezna...

Nie tłumacząc się nawet żadną fallacyą cudzą, wszelkich środków bez wyboru zażywała polityka Fryderykowska, gdy do upragnionego zmierzała celu. Kawaler de Simonis był zresztą zupełnie neutralnym, a w téj chwili gotów zawrzeć przymierze z każdym, coby mu przyszłość pokazał i iść, choćby na rodzonych braci. Tych szczęściem nie miał. Wczorajszy wieczór tak w nim krew poburzył, iż mimo kilku szklanek wody które wypił, aby ostudzić rozigraną, całą noc prawie nie zmrużył oka. Dzień w Sans-Sousi poczynał się nader wczesnie, Fryderyk w lecie wstawał koło czwartéj, za nim służba i dwór iść musiał. Należało więc dla pokłonienia się Fredersdorfowi dostać się rano, bardzo rano do Sans-Sousi.

Szczęściem dla naszego kawalera, po burzy

w nocy, która była bardzo gwałtowna ale krótka, nadedniem się wyjaśniło, uspokoiło, powietrze ochłodziło i dzień obiecywał prześliczny.

Choć niewyspany Max wstał rażno i zabrał się do ablucyj i ubrania. W domu jeszcze było cicho. Spali wszyscy i nienawykli do tego, by kawaler o brzasku się zrywał, musieli słysząc go, dziwić się bardzo; ale za jego przykładem i oni też powoli zaczęli ściągać się z łóżek. W mieście jeszcze było cicho i spokojnie, rzadki wóz z wiejskimi zapasami zaskrzypiał przeciągając powoli.

Max otworzył okno i czynnie się zabrał do ubierania. Prawdziwem Opatrzności zrządzeniem ocalał mu frak wczoraj. Dziesięć minut wyszedłszy z zamku, byłby go od ulewy nie uratował, a peruka i kapelusz również piekielnym bogom poszłyby na ofiarę.

Wyraźnie tedy wieść mu się zaczynała, nastąpiło przesilenie fortuny i bogini, która dotąd plecami doń była obróconą, rozpromienioną twarz pochylała ku niemu.

Słońce wschodziło gdy gotów był do podróży, która musiał odbywać pieszo; piękny chłopak przejrząwszy się w zwierciadle, rad z siebie, zakręcił się szykownie do wyjścia.

Jakimś cudem mała Carlotta z rozpuszczonemi na ramiona włosami kruczemi, jeszcze od snu zarumieniona, świeża i ładna jak wisienka, zaszła mu drogę. Od wczorajszego uścisku, jakby pewnych

praw nabyła do Maxa, śmielsza była i w oczy mu spojrzawszy, zapytała :

— Ho! ho! a toż dokąd tak rano i tak wystrojony? Cóż to jest?

Kawaler się uśmiechnął dobrotliwie, ale po mentorsku z góry ją traktując...

— Mam moje interesa, Carlotto! Proszę powiedzieć szanownej mamie, że na obiedzie nie będę pewnie. Tak! mam interesa!

Carlotta główką pokręciła.

— Jaka mi ważna, wielka z waćpana figura — odrzekła — od czasu jak hrabina de Camas zaprosiła go do siebie!

I chcącemu iść zastąpiła drogę niecierpliwie:

— He, dokądże? dokąd? dokąd?

Max przypomniał sobie wczorajszą przestrożę podskarbiego w samą porę i pomiarkował, że przed dzieckiem się zdradzić nie powinien.

— Jestem zaproszony na ranną przechadzkę — rzekł. — Adieu...

Carlotta była pewną, że choćby dla usunięcia jej z drogi, porwie ją jak wczoraj i ucałuje, ale kawaler de Simonis, nadto był zaprzątnięty dzisiaj, ukłonił się tylko z uśmiechem, i prześliznął na wschody.

Dziewczę zostało na górze smutne. W chwilę potem był już w ulicy i wybierając ścieżki suche, bo gdzieniegdzie po wczorajszym deszczu stały jeszcze kałuże; pośpieszył w dalszą drogę.

Dojść do Sans-Sousi, przy dobrych młodych nogach daleko było łatwiej, niżeli tam sobie dać radę. Wcześniej więc myślał jak się wcisnąć do ogrodu, jak zbliżyć do pałacu i jak długo mu przyjdzie odprawiać rekolekcyje pod cieniem drzew, po pustych alejach, nim szczęśliwy traf da mu spotkać Fredersdorfa, albo się do niego docisnąć.

W ciągu tego roku kawaler de Simonis, na próżno prawie starał się u dworu robić znajomości. Nie udawało mu się to wcale. Fryderyk II jak nie cierpiał, ażeby jego urzędnicy i wojskowi wchodzili w stosunki z dyplomatami zagranicznymi, tak zakazywał tym co go otaczali, wiązać się w ogóle z cudzoziemcami. Każdy z nich był mu podejrzanym, wszystkich o szpiegostwo posądzał. Dwór króla stronił od przybyszów. Co ranka przywożono z Berlina listę kompletną przybyłych obcych do miasta, z wymienieniem powodów przyjazdu i wzmianką o tych, którzy się na dworze przedstawić chcieli. Przyjmowano jednych, odprawiano drugich odmawiając, a niekiedy nie bardzo się cieszył przypuszczony do oblicza pańskiego, bo w złym będąc humorze, Fryderyk bywał niegrzecznym, niekiedy grubiańskim.

Śmiała tylko odpowiedź dowcipna, mogła czasem przejednać. Gdy poraz pierwszy przedstawił mu się sławny markiz Lucchesini, którego przedstawiał ks. Fontana, król popatrzywszy nań ostro, rzucił pytanie: „wiele też was jest takich markizów

włoskich, co włóczęąc się po świecie, u dworów za szpiegi służycie?“ Markiz niezmiuszony odparł żywo: „Najjaśniejszy Panie, jest nas tylu, ilu panujących tak głupich, by nam podobne nędzne polecenia dawali.“

Dowcip rozbijał Fryderyka, bo go się obawiał.

Kawaler de Simonis po drodze starał się właśnie przypomnieć sobie wszystkie pobieżne znajomości, które mu się na coś przydać mogły i przyszedł mu na myśl paź królewski, szlżak, Krystyan Ernest Malszycki, dobre chłopię, z którym się zapoznał przed kilku tygodniami w Berlinie, gdy za sobą usłyszał turkot wozu i obejrzawszy się, zobaczył niespodzianie wcale na wozie twarz dobrze znajomą.

Był to furyer królewski, przyjaciel cukiernika, częsty u niego gość, Szwajcar także, który z jakimś pieczywem i kuchennemi jechał zapasami. Zwał się Jurli. Czerwony, piękny, indyczy nos wskazywał jego dobry humor i przyjaźń ze szklankami. Jurli był już w wyśmienitým usposobieniu, palił fajkę, ujawszy się w boki, coś niby chwilami podśpiewywał, a na skrzyni siedząc bokiem nogami sobie takt wybijał.

— Eh! Herr Baron! — zawołał rękę do czapki podnosząc — a dokądże? a dokąd?

Zawstydził się kawaler pieszej podróży; chciał złożyć to na przechadzkę ranną dla świeżego po-

wietrza, lecz strój go zdradzał. Wolał więc przyznać się, że idzie do przyjaciela do Sans-Sousi.

Usłyszawszy to Jurli, na ramieniu woźnicy położył rękę i kazał mu stanąć.

— Piesz do Sans-Sonsi! ho! ho! i w tym stroju — zawołał kręcąc głową. — Gdybyś się nie wstydział, a na drodze o téj godzinie żywej duszy nie spotkamy, ofiarowałbym baronowi miejsce przy sobie. Zawszeby się coś nóg oszczędziło? he?

Ofiara była wielce pokuśliwa, ufny więc w to że istotnie na drodze nie napotkają nikogo, gdy Jurli oprócz tego przyrzekł, iż dobrze przed bramą go zsadzi, Simonis zajął skromne miejsce na skrzyni, a konie ruszyły dalej. Widocznie mu się szczęściło, bo oprócz tego Jurli objaśnił go, którą bramą wejść może do ogrodu, gdzie się ma przechadzać i w której stronie znajdzie podskarbiego.

— Zawsze — dodał do ucha — życzyłbym uniknąć nieprzyjemnego z N. Panem spotkania. Bywa w złym humorze, a kij zawsze nosi w ręku. Ale o téj godzinie — dodał pocieszając — nie spodziewać się go w ogrodzie; psy tylko jego widzieć będziecie mieli szczęście.

Jurli był w gadatliwém usposobieniu.

— E! na prawdę — mruknał — gdybym nie był Jurlim, chciałbym być jednym z tych królewskich chartów! To szczęśliwe bestye! mają swój dwór, biorą strawnego po dwa talary na dzień, na

atłasach się wylegiwają; Alcmena najczęściej na kolanach pańskich i kijem ich nigdy nie potrafi.

Zrana wyprowadzają je paziowie na spacer do ogrodu, może je tam zobaczycie, pokłońcież się z daleka. Nie zawadzi polecić się ich protekcyi. Bez żartu! Na kogo Alcmena zawarczy, temu król nigdy wierzyć nie będzie, do kogo się połasi, to dla niego patent najlepszy.

Gawędząc tak dojechali do Sans-Sousi, i kawaler de Simonis zsiadłszy z wozu podziękował grzecznie poczciwemu Jurli, który go długo jeszcze przeprowadzał oczyma.

W chwilę potem Max dopadłszy otwartej bramy, w boczną wsunął się aleję i zdala spoglądając na pałacyk w Sans-Sousi, z bijącym sercem oczekiwał.

Nie spodziewał się wcale, aby rychło los jego odwiedzin się rozstrzygnął, usiadł więc na ławec kamiennęj, a że i w nocy nie spał i śniadania nie jadł, poziewanie i senność go napadła. Byłby może uległ jej i zdrzemnął się, gdy jakby cudem, postrzegł paziowski mundur i z wielką radością poznał idącego Malszyckiego.

Paż zarówno musiał być zdziwiony jak on tém spotkaniem, stanął przed nim i spytał żywo:

— A pan tu co robisz?

Nieprzygotowany do odpowiedzi, kawaler de Simonis nie wiedział dobrze jak ma postąpić; na ten raz wszakże kłamać mu nie wypadało, bo Malszycki mógł mu być pomocnym.

— Panie Erneście — rzekł — wybieram się w tych czasach Berlin i Prusy opuścić, niewielu tu miałem znajomych, ale i tych chciałbym pożegnać; a więc pana podskarbiego Fredersdorfa, którego raz spotkał i którego pamięci chcę się polecić, i was panie Erneście.

Uśmiechnął się z wdziękiem dotykając kapelusza.

— Zobowiązałibyście mnie wielce — dodał — gdybyście mnie nauczyć chcieli, gdzie znajdę podskarbiego?

— O téj porze? — spytał Malszycki — zdaje mi się, że przy N. Panu być musi, ale później? rzecz prosta, w jego mieszkaniu w pałacu.

— A wy na służbie dziś jesteście? — spytał Simonis.

— Do południa jestem wolny — odparł Malszycki.

— Przyznam się wam — pochwycił żywo kawaler — że z Berlina wy...jechałem bez śniadania. Gdyby było gdzie je znaleźć, poprosiłbym was z sobą.

Malszycki chwilę pomyślawszy rękę mu podał, ale się wprzód obejrzał dokoła, i poza drzewami wyprowadził go nazad z ogrodu. Nieopodal od pałacu była gospoda i cukiernia.

— Dadzą nam tu doskonałej czekolady — odezwał się Malszycki — ale będziemy musieli milczeć jeśli kogo zastaniemy, bo ja tam ust nie otworzę...

Znajdziemy stoliczek pod drzewami.

W istocie znalazło się miejsce ustronne i Simo-

nis o czekoladę poprosił. Gospodarz jak wszyscy niemal naówczas cukiernicy w Europie, był Szwajcar i trochę kawalerowi znajomy z Berlina. Odnowiła się więc ta znajomość i dwaj znajomi zasiedli u stoliczka.

— Król zapewne nie wstał jeszcze? — szepnął Simonis.

Ernest spojrział nań oczyma wielkiemi.

— Znać żeście tu chyba pierwszy raz i że nie wiecie nic — odpowiedział. — N. Pan o pół do czwartej już był na nogach i nawet mu mokrej chustki na twarz nie trzeba było przykładać jak zwykle, bo od kilku dni jest niespokojny czegoś, i sam się w porze obudził.

Widziałem go już w niebieskiej jubce i lokaj poniósł mu dawno na tacy listy, które nadeszły z Berlina. Harcap mu zapletli, kawę swoją wypił, i jeśli się nie mylę, musi teraz na flecie grać.

Umilkł Malszycki, jakby się chciał przysłuchać: lecz zadaleko było od pałacu, aby ich doszła tu muzyka.

— Teraz radzcy gabinetowi czekają w przedpokoju — mówił dalej paź — później nastąpi posłuchanie, dalej... doprawdy nie wiem, może przegląd jakiego pułku.

Zbliżył mu się do ucha. — O! jeśli posłuchanie dawać będzie, nie zazdroszczę tym, co się w tych dniach nawiną: N. Pan od dni kilku jest zasepiony i gniewny.

— Nie wiecie przyczyny? — spytał Simonis.
Malszycki ręce podniósł.

— Ja? ja nie wiem nic a nic! a któż to może wiedzieć! Widzę tylko, że nasz pan zły i chwilami z oczów mu błyska tak... ludzie mówią, jak przed szlązką wojną.

Rozmowa po czekoladzie nie trwała długo, bo Malszycki, choć nie był tego dnia na służbie, miał list pisać do matki i od pałacu oddalać się nie chciał. Wyszli więc razem do ogrodu, gdzie mu spokojne miejsce wskazawszy w cieniu, paż pobiegł do pałacu zaraz, przyrzekając, że później, jeśli będzie mógł, przyjdzie do niego.

Kawaler de Simonis usiadł więc zadumany, rozglądając się po ogrodzie, a że przez drzew gałęzie widać ztąd było taras pałacowy, w tamtą stronę zwrócił oczy. Wkrótce potem otwały się drzwi szklane, wyszedł jeden z paziów a za nim wyskoczyła cała zgraja charcików, ulubieńców królewskich, albo raczej towarzyszków najulubieńszej jego *Alcmeny* i *Biche*. Wyskakując, skowycząc, szczekając, przewracając się, wyścigając po trawnikach, charciki, którym wszystko wolno było, wyruszyły na świeże powietrze. Paż kroczył jako guwerner i dozorca, nawołując niekiedy do porządku. Słychać było imiona delikwentów, dość nieposłusznych, bo ich pokilkakroć zmuszać trzeba było do powrotu, zbiegających w krzaki daleko..

Phyllis, Thisbe, Dyana, Pax, Amoretta, Super-

be, składały familię i dwór pani Alcmeny, która prawie nigdy nie schodziła z kolan królewskich; teraz zaś wypuszczona szła poważna, znudzona, nie biorąc czynnego udziału w swawoli, do której ją towarzystwo wciągnąć pragnęło.

Alcmena wlokła się jakby zmuszona i drzemiąca na tę przechadzkę, z wilgotnej nieco ziemi unosząc delikatne łąpki ku górze, stając chwilkami zamyślona jakby się wrócić pragnęła, poziewając nawet znacząco, zatrzymywała się czasem i oglądała ku pałacowi.

Ponieważ słońce dopiekać zaczynało, paź skierował się w boczną zacienioną aleję, a psy rade nie rade za nim pociągnęły, właśnie ku temu miejscu, gdzie kawaler de Simonis spoczywał. Alcmena ciągle szła zwolna, dopiero zobaczywszy na ławce siedzącego, zaciekawiona uszy nadstawiła, popatrzyła nań uważnie, nieco przyśpieszyła kroku i jak rozpieszczone dziecko, któremu wszystko wolno czego zapragnie, a nikt mu nic nie śmie odmówić, dobiegłszy do ławki, wprost na nią skoczyła. Czarnemi oczyma wpatrzyła się w siedzącego, który lekkim płaszczykiem był okryty i z zaufaniem ku niemu, łąpkę podniósłszy płaszcz poprobowała odsunąć, co gdy jęj się powiodło, wsunęła się kawalerowi de Simonis na kolana, zwinęła w kłębek wygodnie i położyła na nich. Reszta psów stanęła otaczając go kołem; nadszedł paź zadziwiony, wpół uśmiechnięty, napół nierad i począł odwoływać Alcmenę, ale

ta ani myśląc ustąpić, zęby mu tylko pokazywać zaczęła. Phyllis i Thisbe czekały gniewnie, znajdując to postępowanie nader nieprzyzwoitém, a za niemi wnet Pax, Amoretta, Dyana, Superbe, wszczęły okrutny hałas, który ztąd mógł dojść do pałacu. Kawaler de Simonis nadto był dworakiem i szczęśliwym z okazanych mu przez królewską ulubienicę faworów, aby choć najlżejszém drgnięciem poddać jęj myśl ustąpienia z kolan. Paź był chmurny i nieszczęśliwy. Oglądał się niespokojny ku pałacowi, napróżno usiłując szczekanie zajadłe psów uśmierzyć.

— Przekłęte psiska! — mruczał między zębami, chustką zlekka je karcąc napróżno, co jeszcze do zajadlejszego szczekania pobudzało — przekłętą psiarnia. Nuż król usłyszy! A to nieszczęśliwa godzina!

Jeszcze tak niespokojny miotał się, tupał i wołał, gdy z gąszczu jakby piorunem wyskoczył niespodzianie średniego wzrostu człowiek.

Paź stanął jak wryty, a psy spojrzawszy nań tylko, dalej na Alcmeneę ujadają.

Twarz tego nowego przybysza była oświecona dwojgiem oczu czarnych, ostrych, przenikających, nawykłych do grożenia i rozkazywania: cały wyraz oblicza w nich się skupiał. W ustach zaciętych i otoczonych już marszczkami i fałdami był wyraz energii i sarkazmu. Nos dosyć ostry i chude policzki całości nadawały coś ostrego i przykrego, ale razem znamionującego wolę, która nawykła się nie

uginać przed żadną inną. Marszczki na czole jeszcze surowszą czyniły tę maskę nieco zżółconą i zmęczoną... Na głowie i peruce zaniedbanej miał trzyróżny kapelusz zrudziały od słońca i słoty, na sobie niebieski mundur wypłowiały i stary. Pod nim widać było żółtą kamizelkę całą posypaną i poplamioną od tabaki i brudną, a pomietą koszulę. Reszta też stroju nie odznaczała się elegancją, bo na nogach miał niedbale naciągnięte pluszowe spodnie, w których kieszeniach z obu stron wydymały się dwie duże tabakierki, a buty do kolan, nieoczyszczone, podrapane, rude, zabłocone, zdawały się oznaczać chyba że tylko co zsiadł z konia. Jedyną rzeczą kosztowniejszą była w ręku jego trzcina z gałką wysadzaną brylantami i na brudnej, atramentem zwalannej ręce, dwa duże solitery w pierścieniach.

Wyszedłszy z krzaków, znać wywabiony hałasem ulubieńców, zmarszczony stanął z kijem podniesionym do góry, jakby nim chciał grozić paziowi, psom, czy Simonisowi.

Był to król Fryderyk II-gi.

Simonis, który go widywał zdaleka, byłby się porwał, ale Alcmena nie dopuszczała, a zrzucić jej z kolan nie mógł. Zobaczywszy swojego pana podniosła głowę, pokiwała ogonem, ale z kolan nie schodziła.

— Co to jest! — krzyknął Fryderyk na paza

podnosząc kij — co to jest! niech on odpowiada? kto to jest?

Paż szybko już począł się tłumaczyć.

— Jak on mógł pozwolić, aby Almenę kto brał na kolana...

— N. Panie! sama mimo mojego oporu, gwałtem... niepodobna było jej wstrzymać.

Król surowo spojrział na Simonisa, który nareszcie poruszył się na ręce biorąc suczkę, i zrzucił kapelusz, nie mogąc inaczej, na ziemię. Psy z początkiem się go nastraszyły, ale w tójże chwili rzuciły się nań jak na zabawkę i zaczęły szarpać nie-miłosiernie.

Fryderyk się uśmiechał. Uprzedzało go to zawsze dobrze o ludziach, gdy się psy jego garnęły do kogo przyjaźnie. Nie broniąc im zabawki z kapeluszem, który wnet uległ zniszczeniu i poszedł w kawałki, Fryderyk ręką paziowi dał odprawę, a sam na lasce się oburącz sparłszy, począł się Simonisowi przypatrywać.

— Niech mówi — odezwał się — co on tu robi o tój godzinie w Sans-Sousi; kto jest? jakiej profesyi?

Simonis wiedział bardzo dobrze, iż od tój chwili los jego przyszły mógł zależeć, nie wiedział, że król lubił odpowiedzi śmiałe i dowcipne; wezwał więc w pomoc całą umysłową przytomność i trzymając na rękach suczkę, która się wyciągała i ziewała, odparł odważnie:

— N. Panie! Jestem rodem Szwajcar, szukam

służby i zajęcia. Od roku bawię napróżno w Berlinie, a że tu wszystkie miejsca zajęte, i na zajęte po dziesięciu kandydatów; jestem na wyjeździe, przybyłem znajomych pożegnać!

— Jak się on nazywa? — spytał król.

— Max de Simonis!

— A jest i *de*, cóż on szlachcic?

— Szlachtą byli moi przodkowie.

— Cóż on umie? — mówił Fryderyk.

Simonis zamyślił się.

— Umiem tyle N. Panie, iż wiem, że nie umiem jeszcze nic — odparł Max — ale wiem i to, że się wszystkiego nauczyć mogę!

Fryderyk popatrzał nań.

— Czy on wołał Alcmenę do siebie?

— N. Panie, na tobym się nie ośmielił.

Alcmenie tak było dobrze na rękach, że choć kiwała ogonem do króla, ruszać się nie myślała; Fryderyk twarz chłopca tymczasem z wielką rozpatrywał uwagą.

— A kogo on tu ma znajomego?

— Miałem szczęście raz widzieć u hrabinéj de Camas, pana podskarbiego...

— A zkąd on zna hrabinę — egzaminował król.

— Już od roku miałem szczęście raz być jéj pomocą... gdy konie...

— Wiem, wiem — przerwał król i odwrócił się.

Zdawało się że chce odejść, lecz wtém zobaczył kapelusz, nad którym się psy znęcały; potrącił go

laską, co im do darcia w kawałki nową było podnieta, i spozierając szydersko na kawalera, rzekł:

— Niech mu to będzie nauką: gdy się kto do do dworów ciśnie, taką korzyść odnosi!

— N. Panie — odparł Simonis — kapeluszem okupiwszy szczęście widzenia W. Kr. Mości, wcale się nie użalam na to.

Na to kadzidło skrzywił się Fryderyk, popatrzał nań i rzekł:

— Niech on Almenę powoli postawi na ziemię i idzie za mną... Każę mu dać inny kapelusz.

— Spełnił ten rozkaz de Simonis, chociaż się suczka opierała. Stanąwszy na ziemi, przeciągnęła się, popatrzyła na króla, który jęj pogroził i szczenawszy kilka razy przyjacielsko ku Simonisowi, jaky mu wymawiając, że ją opuścił, zwolna przed nim iść poczęła.

Simonis zebrał resztki swojgo kapelusza i szedł posłuszny... Król go wyprzedzał milczący. Po chwili obejrzał się nań i stanął.

— A dokąd on myśli jechać? — zapytał.

Simonis się nieco zawahał...

— Hrabina de Camas jest tak łaskawą dla mnie, iż mi radzi do Saxonii, dokąd chce mnie wesprzeć listami!

Czarne oczy króla kacznie bardzo zwróciły się na Simonisa; przybliżył się ku niemu.

— Ma on ochotę dorobić się czego na świecie?

— Nietylko ochotę N. Panie, mam mus... jestem sierota...

— To niechże on wie, że tylko jednemu panu wiernie służyć dochodzi się do czegoś, a zdradą i na dwóch stołkach, do stryczka i szubienicy.

I znowu podszedł król milcząc kroków kilka, a potem zwróciwszy się rzekł:

— I to wiedzieć on powinien, że rozumne gadanie jest rzeczą dobrą, ale głupie milczenie jeszcze lepszą...

Simonis się skłonił.

Król szedł dalej ku tarassowi pałacu. Tu już widać było stojących u drzwi w mundurach, kilku generałów, szambelanów i oczekujących posłuchania cudzoziemców. Fryderyk się jeszcze raz odwrócił do Simonisa.

— Niech on idzie do pałacu i w przedpokoju siądzie, gdzie paziowie moi są, a tam czeka rozkazów.

Kawaler skłonił się bardzo nisko i z bijącym mocno sercem, odgadując drogę, posunął się ku prawemu skrzydłu, w którym były apartamenta królewskie.

Zjawienie się jego pomiędzy paziami byłoby mu może wiele nieprzyjemności zrazu przyczyniło, gdyby tam już nie znalazł znajomego sobie Malszyckiego, który wcześniej niż się spodziewał musiał zastępować, wyprawionego za niedopilnowanie Alcmeny do aresztu, poprzednika swego.

Z podartym kapeluszem w rękę zjawił się de Simonis.

— A waćpan co tu robisz? — zapytał zdziwiony paż.

— Jestem z rozkazu J. Kr. Mości: czekać mi kazano.

Z kapelusza podartego śmiano się i drwiono jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i wszedł za ledwie patrząc na wyprostowaną służbę, król nie zrzucając kapelusza, którego nigdy prawie nie zdejmował z głowy; za nim cała psów jego czereda, a za niemi generałowie Lentulus, Warnery, adjutant Winterfeldt, wielki koniuszy generał Schwerin, kanclerz Coccei, szambelan Pöllnitz i wielu innych.

W chwilę potém słychać było w sali audyencyonalnej pytania i krótkie odpowiedzi. Król naradzał się widocznie ze swymi dowódcami. Simonis w kącie zasiadłszy z Malszyckim spodziewał się tu spocząć nieco, ale dnia tego spotykały go same niespodzianki.

Nie upłynął kwadrans, gdy się drzwi od sali otworzyły i mężczyzna wystrojony w mundurze szabelańskim wybiegł, po przedpokoju szukając jakby kogoś oczyma. Pomimo i rysów twarzy dawniej przystojnych i stroju aż do zbytku wyszukanego, nie była to wcale postać sympatyczna.

Choćby na sobie nie miał ani tej liberyi królewskiej, ani klucza u fraka, łatwo w nim było poznać człowieka, który zrósł, wychował się, zestarzał

na dworach i uwiadł zawczasu w dusznej atmosferze pozornego zbytku, istotnego niedostatku, długów, intryg, ambicyi pożerających, nadziei gorączkowych, upokorzeń wypijanych i połykanych codziennie. Latały mu oczy niespokojem, głęboko zapadłe, usta niepewnego wyrazu, gotowe na uśmiech i skrzywienie dygotały niecierpliwie: całe ciało zdało się wyłamane jak u kuglarza, który nawykł zwijać się w kłębek lub rozciągać jak struna.

Zaledwie wszedł do przedpokoju, już wzrokiem obiegł wszystkich, zakreślił się na nodze i jakby go co rzuciło przypadł chwytając za guzik sukni Simonisa. Pochylił mu się do ucha, jedną nogę podnosząc do góry i szepnął:

— Simonis z rozkazu N. Pana... mamy do pomówienia; chodź waćpan ze mną do ogrodu.

Jestem szambelanem króla J. M., baron Pöllnitz do usług.

Lekko głową skłonił.

Simonis od roku bawiąc w Berlinie i obracając się pomiędzy ludźmi co znali dwór cały, jakżeby o baronie Pöllnitz nie słyszał.

Pöllnitz był sławny, z Pöllnitza śmiał się i drwił król nielitościwie; był pośmiewiskiem i plastronem wszystkich, a mimo to król mu przy sobie wisieć dozwalał.

Ciekawa to była i figura i historia tego człowieka, który za typ pewnego rodzaju awanturników mógł być uważanym. Nic bardziej zszarzanego

a śmielęj narzucającego się z cynizmem i natrętnością niewysłowioną, wyobrazić sobie nie było można. Pöllnitz o wiele starszy od króla, był wnukiem znakomitego swojego czasu ministra, generała, komendanta Berlina, komendanta pułku gwardyi i t. d. i hrabianki de Nassau, córki pobocznej księcia Maurycego namiestnika Niderlandów. Ojciec jego dosłużył się stopnia pułkownika; on sam rozpoczął przy dworze służbę od kamerjunkra. Później spadłszy z etatu puścił się na podróże, z których powstały wydane przez niego o dworach niemieckich Listy i Pamiętniki, a naostatek najsłynniejsze z dzieł jego, bezimienne: *La Saxe galante*. Za Fryderyka II-go dostał Pöllnitz szambelaństwo, ale ten obchodził się z nim jak z błaznem.

Zdaniem Fryderyka, był to infamis, któremu wierzyć się nie godziło, zabawny przy obiedzie, ale potem chyba za drzwi. Tysiące anegdot chodziło o nim.

Raz Fryderyk polecił mu sprowadzić jakieś kury indyjskie, Pöllnitz pospieszył ze spełnieniem rozkazu, i przesyłając je, a chcąc ruszyć dowcipem, bo chorował na dowcip, napisał do króla cztery wyrazy:

— „Oto kury N. Panie!“

Król kazał nazajutrz kupić jak najchudsze go wołu, pozłocić mu rogi, zaprowadzić przed dom Pöllnacza, gdzie go do płotu uwiązano. Bilet przytém zawierał tylko: „Oto wół Pöllnacza.“

Przed laty kilku, baron który wiecznie był w długach i wzdychał do łatwego z bogaceniam się, napatrzył jakąś wdowę katoliczkę w Norymberdze, z którą zapragnął się ożenić. Poszedł więc do króla prosząc go o odprawę i świadectwo. Fryderyk kazał mu usiąść i następujące słowa podyktował. Maluje ono doskonale króla i szambelana i godne jest pamięci:

„My Fryderyk i t. d. czynimy wiadomo wszystkim komu o tém wiedzieć należy, iż baron von Pöllnitz, rodem z Berlina i o ile my wiedzieć możemy, z uczciwych rodziców zrodzony, u nieboszczyka dziada naszego, świętej pamięci, kamerjunkier, u księżnej d'Orleans w tym samym charakterze, u króla hiszpańskiego jako pułkownik. u niedawno zmarłego cesarza jako rotmistrz, u papieża jako szambelan, u księcia brunświckiego jako szambelan, u księcia wejmarskiego jako chorąży, u spoczywającego w Bogu ojca naszego jako szambelan, a naostatek u nas jako mistrz ceremonii służący; gdy potokiem tych honorów wojskowych i wysokich dostojęństw dworskich, z kolei na osobę jego spływających, czuł się zupełnie zalany, a w ostatku znużonym światem i złym przykładem szambelana Montaulieu uwiedziony, który na mało przed nim ze dworu zemknął, u nas wymieniony baron Pöllnitz, prosił i najuniżniej suplikował, abyśmy mu dla utrzymania jego dobrej sławy i mienia uczciwą i łaskawą dali odprawę.

„My więc, uwzględniając prośbę jego, gdyśmy za dobre uznali świadectwa mu tego nie odmówić, o które nas upraszał; zważywszy bardzo ważne usługi, jakie na dworze naszym spełniał przez swe błazeństwa i rozrywkę, jaką nieboszczykowi ojcu naszemu na Nowy Rok przynosił; nie wahamy się oświadczyć: że w ciągu całego tego czasu, gdy baron sławnie usługi przy nas pełnił, nie zdarzyło się ani razu aby po gościach rozbijał, mieszki obrzynał, albo truciznę przyprawiał; nie porwał żadnej panny, ani żadnej gwałtu nie zadał; niczyjego honoru na dworze naszym nie naruszył grubijańsko, ale się sprawiał zawsze jak na szlachcica przystało i na urodzenie jego, a dary jakimi wielu się podobało go wyposażyć na uczciwy obracał pożytek, to jest do jednego zawsze zmiierzając celu, który za zasadę mają komedyanci, który zależy na tém że aby śmieszności ludzkie w sposób wesoły i przyjemny wystawiać i tym sposobem je poprawiać.

„Również za radą Bacchusową w punkcie umiarkowania i wstrzeźliwości zawsze szedł wiernie, a miłość chrześcijańską posuwał tak daleko, iż chłopów nawet potrafił przekonać o prawie ewangeliczném „że dawać błogosławionym jest lepszym niżeli brać.“ Oprócz tego umie on wszystkie anegdotki o naszych zamkach i ogrodach, a szczególnie w pamięci wierniej zachowuje caluteńki inwentarz, starych sprzętów; na ostatek umiał też swemi zasłu-

gami tym nawet stać się miłym i pożytecznym, którzy zarówno znali jego złą głowę i dobre serce.

„Dajemy téż wymienionemu baronowi to świadectwo, że nas nigdy do gniewu nie pobudził, wyjąwszy ten raz gdy podłém swoim natręctwem (lache inportuniti) przechodzącém wszelkie należnego uszanowania granice, w nikczemny i niezdolny sposób popioły naszych przodków zbezczęścić chciał i skałać.

„Ale że w najpiękniejszych krajach trafiają się bezpłodne i puste okolice, gdy najpiękniejsze ciała mają swe ułomności, a malowidła największych mistrzów wady; dlatego wymienionemu baronowi jego błędy i ułomności chcemy przebaczyć i udzielamy mu niniejszą chociaż niechętnie, pożądaną przezeń dymissją i powierzoną mu zaś godność chcemy całkowicie znieść i skasować, ażeby przez to pamięć jej u ludzi na wieki zniszczyć i pewni będąc, iż po wymienionym baronie, nikt jej już godnie sprawować nie może...”

Potsdam, dnia 1 kwietnia 1744 roku.

Baron otrzymawszy takie zaszczytne świadectwo pojechał do Norymbergi, przyjął wiarę katolicką; wdowa dała mu namyśliwszy się odprawę: stracił co miał i wrócił do Berlina, wpraszając się napowrót do króla i ofiarując protestantyzm przyjąć znowu. Fryderyk kazał mu odpowiedzieć, że to go nie skłoni do przywrócenia mu dostojności dawniej, ale jeżeliby mużułmańską wiarę przyjął i poddał

się obrzędowi zwykłemu, natenczas gotów go do służby przypuścić.

Pomimo to jednak Pöllnitz do służby powrócił znowu, pod następującemi warunkami, które przyjął: Po ulicach Berlina miało być przy odgłosie trąby i bębna ogłoszonem, pod karą stu czerwonych złytych, ażeby nikt się nie ważył mu nie kredytować, ani pieniędzy, ani towarów. Zabroniono mu było nogą próg przestąpić obcego poselstwa, lub z posłami cudzoziemskimi w innych domach się widywać i o rozmowach z królem cokolwiekbądź im udzielać. Naostatek zaproszony do stołu, miał się starać być wesół i nie wyglądać jak ...rogacz.

Król wiedział że się Pöllnitz gdzieś dobitnie wyraził, iż korzystniej było świniom służyć niż... radził mu więc udać się szukać służby do Westfalii; ostatecznie jednak długi zań płacił, trzymał go i bawił się nim. Raz proszącemu o zasiłek kazał korzec owsa zanieść i wysypać w pokoju....

Pöllnitz był swego czasu sławną figurą na dworze, a że z siebie dawał szydzić, wygodną. Nie był to człowiek bez zdolności, ale niestety, bez charakteru. Pomiatano nim jak ściérką.

Przymrużonemi oczkami wpatrzywszy się w Simonisa, który go znał z reputacyi, szambelan wywiódł go na taras przed pałac. Tu w téj chwili nie było nikogo.

— Król mi kazał waćpanu, panie kawalerze de Simonis? wszak tak? — począł żywo Pöllnitz —

król mi kazał dać informacją względem dworu saskiego. N. Pan to wie że tajemnic tego dworu i innych, mogę powiedzieć, wszystkich w Europie, nikt tak nie zna jak ja. Ale powiedz mi waćpan co masz robić na tym dworze?

Simonis łatwo zmiarkował iż całej prawdy wyjawiać nie był powinien, zwłaszcza że Pöllnitz miał język tak długi a usta tak szerokie, że nie w nich utrzymać nie mógł.

— To się łatwo domyśleć, panie szambelanie, spojrzawszy na mnie. Szukam szczęścia: chcę służyć!

Pöllnitz od stóp do głów go zmierzył oczyma.

— Rozumiem! chłopiec jesteś ładny, szykowny i młody! Hm! za Augusta II mógłbyś być może tam zrobić karierę. Dziś chybabyś Brühlowej wpadł w oko; ale to Minotaur rodzaju żeńskiego — dodał żywo — pożera żywcem kto jęj w paszczę wpadnie....

Simonis się uśmiechnął...

— Królowa — mówił dalej baron -- brzydka jak grzech śmiertelny, pobożna jak kropidło od święconej wody...

Kobiety tam teraz nie rządzą, tylko stary Guarini i Brühl... a prawdę rzekłszy, Brühl jest kurfirstem saskim, królem polskim i w. x. litewskim i t. d. i t. d... Brühl panuje. Miałżebyś waćpan ochotę o opróżnioną posadę jednego z sekretarzy Brühla konkurować? Właśnie jeden podobno, był piętnowany pod pręgierzem i poszedł ulaskawiony

na całe życie do Koenigsteinu... Wiesz waćpan za co!

Pochylił mu się do ucha...

— Wszyscy sekretarze ministra, są też zarazem faworytami pani hrabinéj... Ten chybił jéj, bo się zakochał w garderobianie, słusznie więc postawiono go pod pręgierzem...

Simonis zbladł trochę, ale starał się uśmiechnąć.

— Panie baronie — rzekł — ja tak wysokich i trudnych obowiązków ani się spodziewam, ani życzę dostąpić, skromniejszém się czémś zadowolnię.

— Uczynisz waćpan kawalerze de Simonis, jak uznasz właściwém — rzekł Pöllnitz — ale ja ci daję klucz do wszystkiego: staraj się Brühla pozyskać. Są na to różne sposoby... — Tu odchrząknął znacząco.

I on młodych ludzi lubi... bardzo lubi jak powiadają. Jeżeli wyprobuje waszej wierności, może przy królu umieścić. Król od czasu, jak go najukochańsza córka opuściła, wyszedłszy za bawarskiego, nie ma z kim poobiednich godzin przepędzać... Któż wie, może mieć kaprys dla waćpana.

To mówiąc szambelan ręce założył pod poły fraka i przeszedł się razy parę po tarasie; potem znowu stanął naprzeciw Simonisa.

— O ile mogłem zauważać — rzekł zniżając głos Pöllnitz, obejrawszy się dokoła — miałeś waćpan szczęście dosyć się królowi podobać, bo słyższą Alcmena wydała ci świadectwo dobre, wlażł-

szy na kolana ; dlaczegóż cię tu gdzie nie umieszczą przy dworze?? he? to rzecz dziwna i J. Kr. Moś sam waćpana pędzi ztąd do téj Saksonii? Hm? to coś niezrozumiałego...

Simonis się uląkł tego domysłu i przerwał żywo.

— Bardzo przepraszam pana barona! Moje postanowienie jechania do Saxonii oddawna było powziętém... mam tam blizkiego krewnego... Radzcę Ammona. Nikt mnie tam nie wyprawia... ja sam jadę.

Pöllnitz spojrział nań i uśmiechnął się, skinął i sprowadził zwolna w dół tarasu, gdzie mniej było niebezpieczeństwa być podsłuchanym. Pochylił mu się do ucha:

— Waćpana szczęście samo w ręce się ciśnie — rzekł: Król narzeka, że ani Beguilia, ani Ammon dokładnych mu wiadomości nie dają ztamtąd... a, nad Saksonią nadzór mieć trzeba, bo Brühl jest człowiek przewrotny. Zgrabne stylizując liściki możesz młodzieńcze zrobić karyerę...

Spojrział mu w oczy. Simonis pomiarkował, iż się powinien był oburzyć, aby nie wydać z sekretu.

— Przepraszam pana barona — odparł z dobrze odegraną zgrozą — obowiązków szpiega podjąć się, anibym je spełniać umiał.

Pöllnitz śmiechem wybuchnął...

W téj chwili hałas w przedpokoju oznajmił coś niezwyczajnego, a że baron Pöllnitz był niezmier-

nie ciekawy, pospieszył z Simonisem wraz do pałacu.

W alei wiodącej do niego widać było poszóstny powóz dworski, z wielką liberyą, najparadniejszemi końmi, w uprząży błyszczącej od złocień, wiozący gości jakichś do króla...

— Król znać był to już zobaczył i słychać było w audyencyonalnej sali, której drzwi stały otworem, gniewny głos jego.

— Kto posłał poszóstny ekwipaż po tych dwóch rzymskich prałatów?

Wszyscy milczeli, aż stary generał Lentulus, na boku stojący, odezwał się:

— To ja, N. Panie!

Widać było, jak Fryderyk z kijem podniesionym, pobiegł na Lentulusa, który stał wyprostowany.

— On osioł! osioł! — zawołał — rozumié mnie: stary osioł!

Ale kijem uderzył król tylko w posadzkę i w téj chwili wszystkie psy szczekać poczęły.

— Gdy prałaci przyjadą — dodał Fryderyk — niech on idzie sam do stajni konie wyprądz, karetę wciągnąć, dwa kulawe habety najgorsze i odartą im dać dorożkę... I tego dla nich dosyć.

Rozumié mnie on!

Lentulus się skłonił. W téjże chwili, dwaj rzymscy prałaci w fioletach, z krzyżami na piersiach,

płaszczkami na rękę wchodzili na pokoje i drzwi się za nimi zamknęły.

Jakie tam było posłuchanie, nikt nie wiedział, ale w godzinę potem, gdy z audyencyi wyszli, stanęli zdumieni nędznym powozikiem, jaki na nich czekał. Lentulus odprowadzał ich do ganku... Monsignor zapytał go nieśmiało o przyczynę zmiany.

Generał przybrał minę bardzo poważną.

— Jest to etykieta tradycyjna dworu naszego — rzekł — jak najparadniej przywozimy, a fiakrem odprawiamy nazad. Etykiety zmienić niepodobna.

W czasie, gdy się to działo, baron Pöllnitz znikł był, a Simonis zajął swe miejsce przy Malszyckim w kącie przedpokoju... Sam nie był pewien, czy dłużej ma czekać, czy przez Pöllnitza był już odprawionym; wolał jednak omylić się bodaj, a pozostać dłużej i skorzystać z jedynéj zrzeczności przypatrywania się temu dworowi.

Przecucie było dobre, gdyż w pół godziny później zjawił się podskarki Fredersdorf, szukając go oczyma; skłonił mu się zdala i dał znak, aby szedł za nim.

W milczeniu po wschodach weszli do skromnego pokoju, który był nie mieszkaniem, ale kancelaryą podskarbiego. Z téj on przeprowadził go do małego gabinetu, jeszcze prościej urządzonego.

— N. Pan — rzekł zamknawszy drzwi za sobą — mówił mi o spotkaniu w ogrodzie. Miałeś pan prawdziwe szczęście i mogę mu powiedzieć, żeś się

królowi podobał.. Psy tam podobno popsuły waćpana kapelusz. Król chce mu wynagrodzić tę szkodę, a razem dopomódz do dalszej karyery i kazał mi wręczyć ten zasiłek na drogę...

To mówiąc z biurka dobył Fredersdorf rulon w papier zawinięty i wsunął go w rękę Simonisowi.

— N. Pan życzy sobie jednak — dodał — abyś waćpan o tém nikomu nie wspominał. Jesteśmy bardzo oszczędni, a toby mogło naprowadzić innych na myśl podrzucania Alcmenie starych kapeluszy.

Rozśmiał się podskarbi.

— A teraz — rzekł — znijsć możesz na dół, szanowny kawalerze, zjeść obiad z paziami i powracać do Berlina, gdzie bardzo proszę kłaniać się odemnie hrabinie, bo spodziewam się, że waćpan nie wyruszysz w tę drogę, nie widząc jęj i nie korzystając ze światłych uwag, jakich ona panu może udzielić.

Skłonił się Simonis bardzo nisko i wypuszczony zszedł znowu do Malszyckiego: w istocie godzina królewskiego obiadu się zbliżała.

Nakryto później dla paziów stolik w bocznym pokoju i tam skromnie się posiliwszy, bo oszczędność na dworze była we wszystkim wielka, Max, w chwili gdy król do czytania poobiedniego zasiadał, wysunął się z pałacu, szukając sobie sposobu dostania się do Berlina.

III.

Tegoż wieczoru jeszcze, kawaler nasz, otrząsłszy się z pyłu i odświeżywszy perukę, pospieszył na czwarte piętro, do „raiku“ hrabinéj de Camas.... Staruszka zdawała się oczekiwać na niego... Gdy wszedł, poszeptała coś na ucho, ze znajdującą się właśnie u niéj drugą damą dworu, i ta pospieszyła ją pożegnać...

Po wyjściu jéj ochmistrzyni niecierpliwie zbliżyła się do młodego chłopaka.

— A cóż? — zapytała — byłeś w Sans-Sousi? mów... Mów mi wszystko...

Nie tając więc nic przed tą, której miał być winien cały los swój, kawaler rozpoczął wesoło opowiadanie. Nie ominął najmniejszego szczegółu, a że umiał dowcipnie ubrać tę powieść, ubawił staruszkę bardzo. Szczególniej ów szczęśliwy z psami przypadek uradował panią de Camas...

— Nader waćpan jesteś szczęśliwym — odezwała się śmiejąc. — Na dobrą jakąś trafiłeś godzinę. Król niezawsze bywa tak usposobionym... Mogło równie łatwo spotkać cię coś gorszego da-

leko. Winszuję waćpanu, żeś wyszedł z takim tryumfem, a w dodatku zrobił jeszcze znajomość z Pöllnitzem, który bywa zabawnym, ale na nic się nikomu nie zdał.

Teraz — rzekła, przysuwając się i przybierając twarz poważniejszą — teraz mówmy seryo. Ponieważ młodzi ludzie nie bywają zwykle oszczędni, a robienie nowych znajomości, kosztuje ci wiele... nie nie zaszkodzi, gdy i ja waćpanu coś pożyczę... Tego oddawać mi nie będziesz potrzebował. Odsłuchysz to listami, które do mnie pisać będziesz, co tygodnia... Listy oddasz tylko Beguélinowi: przez niego mnie one dojdą. Ja, jako kobieta stara, niemająca żadnego zajęcia, ciekawa jestem: mnie wszystko obchodzi... Pisz więc waćpan co zobaczysz, co usłyszysz, co poczujesz w powietrzu... Młodych ludzi kręci się wielu około Brühla i Brühlowej... gdybyś do nich samych mógł się wcisnąć, poznać Moszyńską, zawiązać stosunki z faworytami ministra... byłoby bardzo dobrze. Tymczasem, nim się to stanie, jako cudzoziemiec ciekawy, jako młodzieniec, co się zabawić musi... z kancelaryą Brühla postarasz się o zbliżenie... W listach opiszesz mi wszystko... wszak mnie rozumiesz?

Z oczów kawalera de Simonis wyczytać mogła staruszka, iż doskonale swe posłannictwo pojmował: błyszczały one roztropnością. Zdało mu się jednak, iż upewnić powinien hrabinę.

— A pani — zawołał — ja pojmuję to bardzo

dobrze, iż najmniejsze nawet rzeczy, najlżejsze słówka, mogą mieć swe znaczenie.. Dowiedzieć się jak najwięcej, choćby plotek; donieść jak najobszerniej cokolwiek pochwycić potrafię, będzie moim obowiązkiem...

— A pamiętaj o tém — dodała ciszej hrabina — że od mężczyzn najwięcej się potrafisz dowiedzieć przy kieliszku, a od kobiet, gdy się która w waćpanu pokocha.

Kawaler de Simonis skromnie nader spuścił oczy...

— Nie wstydź się waćpan — śmiejąc się dorzuciła hrabina — młody jesteś, przystojny, dowcipny; umiesz się znaleźć w towarzystwie: nieby nie było dziwnego, gdyby tam jakie serce do was przylgnęło... Saskie panie zachowały pamięć czasów Augusta II. Nie trzeba tylko brać ich na seryo, tak jak one miłości na seryo nie biorą. Dla waćpana, jak dla nich, powinno to być rozrywką, z której rozumny człowiek potrafić powinien korzystać...

Naukę tę zrozumiał doskonale Simonis i przyrzekł się do niej zastosować.

Hrabina dobyła z pod przycisku na stole dwa przygotowane listy i podsunęła je kawalerowi...

— Jeden z nich jest do ziomka wa-zego Beguëlin'a — rzekła — drugi do mojej dawniej przyjaciółki baronowej Nostitz, która, chociaż saskie nosi nazwisko, z Berlina jest rodem i całą duszą do naszego brandeburskiego przywiązana domu. Jest

to niemłoda już kobieta, u której znajdziesz opiekę, radę, pomoc, przyjęcie życzliwe... Oba się listy przydadzą...

Zatrzymała się na chwilę staruszka i pomyślała, jakby szukając w pamięci, coby jeszcze dodać mogła, a potem odezwała się, głos podnosząc:

— Bądź mi pan zdrów, kawalerze de Simonis, a sprawuj się dobrze. Życzę i ufam, że ci się powiedzie na saskim dworze... Jeśli się będziesz mógł z pomocą baronowej Nostitz dostać na dwór Brühla, uchwycić skwapliwie tę zręczność... Jedź prędko... jutro, jeśli można. Chodzą dziwne wieści od tamtej strony (tu znowu głos zniżyła), mówią, że Brühl z Austryą się przeciw nam wiąże. Wartoby dotrzeć prawdy. W listach pisz waćpan śmiało, ale pociecie ich nie powierzaj: Beguélin znajdzie drogę...

Bądź waćpan zdrów!

I podała mu rękę staruszka, którą kawaler zgięty aż do ziemi po kilkakroć pocałował, wynurzając jej całą wdzięczność swoją...

Znalazłszy się w ulicy i przywodząc sobie na myśl, co mu z domowego pozostało zapasu, co miał z daru króla i od hrabini, Max tak się znajdował bogatym, iż mu się w głowie zawracało. Opłaciwszy nawet gospodarza wspaniale i zrobiwszy piękny prezencik Carlocie, miał zawsze jeszcze w zapasie trzysta kilkadziesiąt dukatów i talent robienia wielkich rzeczy małemi pieniędzmi. Z rzadką w młodych ludziach roztropnością, Simonis, gdy było

potrzeba popisać się ze wspaniałomyślnością, rzucać dukatami głośno i okazaźnie; ale w powszedniem życiu umiał więcej cudzym kosztem się przeżywić, niż swoim.

Nie miał teraz nic więcej do czynienia, jak upakować swe węzłki, pożegnać gospodarzy i szukać sobie fury, któraby go przyzwoicie do stolicy saskiej zawiozła.

Wróciwszy do swój izdebki, zastał już wszystkich uspionych, w domu cicho, i wkradłszy się niepostrzeżony, począł od rozpalenia światła, co wówczas nie przychodziło z łatwością. Każdy porządny, jak on chłopak, niechcący zebrać iskierki u sąsiadów, miał na kominie krzesiwo i nasiarkowane dREWienka, które się dopiero od hupki zapalały... Tym sposobem i nasz kawaler, natłukłszy sobie palców po nocy, doszedł do zapalenia dREWienka, a od niego świecy... Miał tak wiele do czynienia, że mu się wcale na sen nie zbierało.

Szczególniej męczyła go okoliczność jedna... Na stoliku leżały przed nim dwa listy polecające do Beguelin'a i baronowej Nostitz. Palła go ciekawość grzeszna dowiedzenia się, co tam o nim pisano. Sam on nie rozumiał dobrze celu swojego poselstwa... radby się był o nim objaśnić. Wiedział bardzo dobrze, iż kusząc się o to, popełni więcej niż niedyskrecyą, bo nawet przestępstwo karygodne, naruszeniem pieczęci... ale Simonis nie był tak nadzwyczaj skrupulatnym, a ciekawość, co się

w tych listach znajdować mogło, palida go okrutnie....

Kilka razy brał je ze stolika, oglądał, stawiał naprzeciw świecy i kładł przestraszony nazad. A po chwili pokusa wracała, ręce wyciągał i papiery te miał w nich znowu. Pieczęci na listach położone przez hr. de Camas, pospiesznie i drżącą znać ręką, nie były zbyt wyraziście odbite. Majaczyło na nich coś naksztalt jakiegoś herbu, który z zewnętrznego kształtu przypominał wyrżnięty na ojcowskim sygnecie kawalera. Przymierzywszy go do pieczętek przekonał się, że rozgrzawszy lak nieco, podjawszy papier, mógł go wyśmienicie na nowo własnym herbem przymocować. Starcie jego mogło iść na rachunek podróży, gorąca i potrzeby trzymania przy sobie tych drogocennych rekomendacyj.

Z sumieniem i wykonaniem tego śmiałego pokuszenia przyszedłszy do ładu, kawaler de Simonis drzwi pokoiku zaryglował na zasuwkę i wziął się drżącymi rękami do występnego dzieła.

Najprzód rozgrzał zlekka pieczętkę listu do Beguelina, w którym się spodziewał znaleźć polecenie hrabinęj; ale jakież było zdziwienie jego, gdy w zawinięciu czystego papieru, trafił tylko na żółty kawałek oddarty nieforemnie, na którym stały niezrozumiałe dlań liczby poprzedzielane punktami 64—871—55—2 i t. p.

Była to cyfrowana depesza, oczywiście z królewskiego gabinetu, na której widok przerażony Si-

monis pobladł, rękami coraz bardziej drżącemi włożył ją nazad do papieru i zapieczętował niezgrabnie. Tę tylko wyciągnął korzyść z pokuszenia o tajemnicę stanu, iż się dowiedział, że był istotnie posłem króla. Listu do baronowej wahał się już rozpieczętować i choć smutny wyrzekł się zaspokojenia ciekawości. Schował do pugilaresu obie koperty starannie je do siebie zwróciwszy pieczętkami, aby one przylgnęły i ślad naruszenia jednej z nich zniknął.

Nareszcie zgasił świecę i jeśli nie dla snu, to dla wypoczynku się położył.

Pierwszy ruch ranny w domu przebudził go, pospieszył się ubrać co najprędzej. Potrzebował widzieć się z gospodarzem.

Ojciec Carlotty pan Ceroni, cukiernik z powołania, któremu się wcale dobrze działo, bo był w kunszcie swym biegły i gruszek nie zasypiał w popiele; mimo narzekań i krzyków piekarzy, łączył z cukiernictwem wypiekanie bułeczek różnych, a nawet rozmaitego chleba, któremu pozór nadawał niezwykajny. Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu, otyły, rumiany, z twarzą lśniącą, uśmiechniętymi ustami, czynny, gadatliwy, niewidzący daleko, ale bardzo praktyczny. Lubił on Simonisa, lubiła go i gospodyni, a najwięcej podobno jedynaczka ich córka, której to była pierwsza miłość zawczesna. Ulubieńcowi całego domu, bo i słudzy grzecznego chłopca dobrém widzieli okiem, Simonisowi piesz-

czonemu przez wszystkich wcale się tu nie źle
działo.

Majster Karl, od którego imienia i jedynaczka
córka zwała się Carlottą, właśnie rozpoczął pod
osobistym nadzorem porządkowanie sklepu na dole,
gdy wszedł niezwykle o téj godzinie gość Simonis.

Karl rękę mu śmiejąc się podał.

— Cóż to was już drugi dzień tak rano bu-
dzi? — począł — widzę, że się musicie brać do
jakiegoś ważnego dzieła, kawalerze Max? Wczoraj
dodnia ruszyliście na przechadzkę i nie było was
na obiedzie, a obiad był doskonały. — Uderzył się
po pełnym brzuszku.

Simonis, ponieważ chłopcy się zwijali ze szczot-
kami, odciągnął go ku oknu.

— Panie Karolu kochany — rzekł — przykro
mi nad wyraz, ale przychodzę wam oznajmić, że
muszę was opuścić.

Gospodarz aż się cofnął...

— A toż co jest? czy wam źle u nas?

— Jak w raj, ale z założonemi rękami siedzieć
nie mogę dłużej; lata upływają, trzeba o sobie
myśleć: tu nie znajdę nic...

Karl patrzył zdumiony.

— Więc dokąd?

— Mam listy polecające do Saxonii.

Gospodarz głową zaczął kręcić.

— Trudno wstrzymać — rzekł — ale i ra-
dzić wam nie miałbym ochoty. Saxonię znam. Ła-

two tam się dorobić, to prawda, ale jeszcze łatwiej za lada podejrzenie pójść do lochu, a za lada słowo pod pręgierz.

A po chwili dodał:

— Chyba listy macie do Brühla, bo tam jeden Brühl wszechmogący i niema nad niego nikogo więcej.

— A! tam już sobie dam radę — rzekł Simonis nie chcąc się wygadywać.

Karl westchnął.

— No, niebezpieczna to gra: dużo ludzi poginęło w Saxonii — rzekł cicho. — Dzieją się tam rzeczy dziwne, a dodałbym jeszcze, że pruska rekomendacya do saskiego dworu... he! he!

Tu usta wykrzywił i niedokończywszy odwrócił się do chłopców, których łajać począł. Widocznie było mu nie miło, iż tracił kawalera de Simonis. Miał z niego między innemi i tę korzyść, że mu jego listy pisywał, a żonę i córkę zabawiał w dnie słotne.

Simonis stał z posępną twarzą.

— Nie moglibyście poradzić, jakby mi najtaniej i najbezpieczniej dostać się do Drezna? — zapytał.

— Kupcy ztąd jeżdżą często, zapytacie ich ła-two przy Judengasse w gospodzie — rzekł Karl. — Czy wam pilno?

— Tak jest, bardzo pilno — odparł Simonis.

Karl głową pokiwał i jakby już o tém więcej nawet mówić nie chciał, począł łajać służbę i latać po izbach.

Kawaler nasz spełniwszy to, do czego się czuł obowiązany, wysunął się z domu i poszedł szukać zręczności dostania się do Drezna. Wskazówka była dobra, gdyż w godzinę potem napytał brykę, która dość pstre towarzystwo wiozła do saskiej stolicy; dał więc zadatek i po południu stawić się obiecał do gospody.

Pakunek nie zabrał wiele czasu, po drodze kupił kawaler parę kolczyków z niezapominajkami turkusowemi dla Carlotty i w godzinę gotów był do podróży.

Właśnie dopinał tłómaczka, gdy zastukano i dziewczę wbiegło z namarszczonemi brwiami, gniewne, prosząc go do obiadu. Zamiast spełniwszy tę formalność usunąć się prędko z pokoju kawalera, Carlotta oczyma zasępionemi zaczęła się po tej pustce rozglądać.

Z twarzy jej mógł Simonis gorzką wyczytać wymówkę.

— Piękna Carlotto! — zawołał — nie mógłbym odjechać nie zostawiwszy wam coś małego na pamiątkę. Proszę was, przyjmijcie to odemnie!

I z wdzięcznym ukłonem podał jej pudełeczko z kółczykami. Dziewczę zarumienione zrazu gniewnie prawie odtrąciło ten dar, potem spojrzała znacząco w oczy kawalerowi; pod powiekami zakreśliły się jej dwie łzy i uciekła aż do progu.

Od progu zwróciła się nazad, jakby namyśliwszy.

— Ja, o! ja was nie zapomnę — zawołała ze łzami w głosie — ale wy?...

Simonisa poruszyło to przywiązanie dziecięce, zbliżył się do niej: Carlotta ręce zarzuciła mu na szyję i zaszła się od płaczu.

Scena ta wcale nieprzyjemna dla Maxa, bo dziewczę za dziecko uważał i wstydził się rozbudzonego uczucia, byłaby go w kłopot wielki wprawiła, gdyby w sieniach matka nie zaczęła głośno wołać Carlotty.

Rzuciła się więc ku drzwiom, łzy ocierając, a gdy matka weszła nazad do mieszkania, pożegnawszy wzrokiem Simonisa, zniknęła.

Przy obiedzie gospodarz butelkę wina podać kazał, wypito zdrowie miłego ziomka. Wymożono na nim słowo iż powróci, jeśli mu się nie powiedzie w Saxonii, że o sobie napisze i doniesie; narzeczcie gdy się godzina odjazdu zbliżała, Karl fartuch zrzucił, włożył surdut, wziął kapelusz i laskę, chłopcom kazał zabrać tłómczki i przeprowadził pana kawalera do gospody, aby go woźnicy polecieć.

We drzwiach stała jejmość i Carlotta żegnając długo chustkami.

W gospodzie znaleźli już zachwalony ów powóz podróżny dla osób dystyngowanych, zaprzegający się właśnie końmi chudymi, które na dychawczynie wyglądały. Było to starożytne pudło, ogromne, na dwóch dragach zawieszane, ze skórzanymi frankami i dwoma siedzeniami z tyłu i z przodu. Oprócz tego na wysokich kozłach obok woźnicy, mógł się

mieścić jeden podróżny, dwóch mniej wymagających z tyłu na desce, do której przywiązany był zmiękczający ją wór z sianem. Szerokie dwa stopnie, mniejszej objętości osobkom wybornie służyć mogły za siedzenia. Wysokie i grube koła i cała budowa niezmiernie trwała wydająca się, wszystko to utrzymać przyobiecywała.

W chwili gdy kawaler nadchodził, pakowano właśnie węzłki i tłómczki podróżnych, których czterech było oprócz naszego Szwajcara.

Trzej mężczyźni i jedna kobieta składali towarzystwo. Pani ta mocno wyróżzowana i ubielona, ubrana nie bez pretensyi pewnej, zdawała się mimo młodocianych ruchów, należeć przynajmniej do osób drugą młodością obdarzonych, bo pierwszej nie było śladu.

O ile z pod osłonek widać było rysów twarzy, zdradzały one już mnogie lata żywota i doświadczenia. Oczy tylko jeszcze czarne świeciły blaskiem niepospolitym, a usznurowane usteczka przypominały, że niegdyś małemi być musiały. Dziś dwa fałdy przy nich dawne dołki zastąpiły. Osoba ta zajęła sobie zawczasu miejsce w powozie najpocześniejsze i najwygodniejsze, ostawiła się workami, na kolanach miała chustki i torebki i zamyślona wielce, na świat zaledwie raczyła spoglądać.

Obok niej sadowił się w trójgraniastym kapelusiku i płaszczu szarym, z laską w ręku, niemłody człowiek z twarzą dziadka do orzechów, bezzębną

i zapadłą, milczący i poważny. Obie ręce trzymał na swym bambusie, który miał głowę pozłacaną. Trzeci podróżny, który oświadczył się do kozła za mniejszą opłatą, wyglądał na dawnego wojskowego. Wąsy miał wywoskowane twardo, harcapik mały i płaszcz z szarego płótna, który odzież okrywał. Drab to był ogromny, pleczysty i milczący. Wewnątrz na przedzie, obok kawalera de Simonis, miejsce miał zająć maleńki jegomość niepomiernie otyły, któremu brzuch zdawał się ciężyć, bo nieustannie ocierał czoło z potu i sapał, a poruszał się z trudnością. Na krótkich a grubych nogach osadzony, niecierpliwił się, że nie jechano i klął po niemiecku zcicha. Węzełki jego już były przymocowane, a on sam zobaczywszy, że konie za chwilę miały być gotowe, począł się niezgrabnie drapać do téj arki Noego. Nikt mu nie pomagał i kawaler de Simonis tknięty litością, wyciągnął rękę, aby go wynindować do góry, za co wdzięczne otrzymał wejrzenie. Gdy tłuścioch siadł, powóz się widocznie na jedną przechylił stronę; wszyscy po sobie spojrzeli, ale cóż było radzić na to.

Uściskawszy pocziwego Karla, który otarł oczy i poszedł żywo do domu, ażeby miękkości serca nie zdradzić, kawaler zawiązał się w płaszcz, zasunął w kątek swój, nogami tak rozporządził, ażeby naprzeciw siedzącej pani nie zawadzały i wehikułów, z hałasem i wołaniem wielkiem przez wysoki próg, o który stuknął tak, że w nim chrzęstnęły

odwieczne żelaziwa, wydobył się szczęśliwie na ulicę.

Kawaler de Simonis był tedy na drodze do Saskiej stolicy.

Sposób ten podróŜowania niezbyt oszczędny nawet, miał i tę niedogodność, że się przeciągał nad miarę. Popasano na dzień razy dwa nie spiesząc, odpoczywano i wydychiwano razy cztery, stawano na noc niezbyt późno i z Berlina do Drezna kilka dni potrzeba było. Droga przytęm ciągnęła się piaskami, lasami głuchemi, krajem pustym, dzikim, niewiele zamieszkałym, wśród którego oko nawet spocząć nie miało na czém, oprócz chudęj i powypalanęj sośninki.

W miesiącu lipcu przy skwarze, utrapione to było jechanie. Lecz że niema tego złego coby na dobre nie wyszło (tak przynajmniej chce przysłowie), podróŜni sprzężeni z sobą na dni kilka, byli zmuszeni uczynić bliższą znajomość.

Kawaler de Simonis, niezmiernie zawsze ostrożny w interesie własnej skóry, którą nawykł był szanować, nie spieszył z robieniem znajomości i rozwiązaniem ust, które mu polecono trzymać zamkniętymi. Spoglądał, przypatrywał się, czynił postrzeżenia różne, ale sam jak ślimak się chował w swęj skorupce, unikając śledczych wejrzeń swoich towarzyszów podróŜy.

Piękna jego twarz młoda, musiała sympatyczne uczynić wrażenie na przywiedlęj jejmościance sie-

dzającj naprzeciw niego, gdyż kilka razy spotkał jej wejrzenie skierowane na siebie i natychmiast trwożliwie uciekające w drugą stronę, gdy je na tym gorącym pochwycił uczynku. Upał zapewne wyrwał kilka westchnień z czulej piersi niegdyś pięknej jejmości, której znajomość zrobił kawaler de Simonis przyniósłszy jej drugiego dnia szklanke wody. Odtąd zaszczycała go wejrzeniami coraz śmielszemi i zdaje się, że tylko świadkowie niepotrzebni, opóźnili rozpoczęcie poufnej rozmowy.

Jegomość oparty na lasce, a pozbawiony zębów, który obok brudnych mankietków miał na palcu chudym wspaniały pierścień z jakimś pompatycznym kamieniem, absolutnemu ślubował milczeniu. Zatopiony był w myślach, wzdychał, zaglądał niekiedy do zegarka jajowatego, który piastował na piersiach, i możnaby było powiedzieć, że patrzył w niebo, gdyby ono nie było w powozie reprezentowane skórzaną deką, noszącą na sobie groźne ślady przeciekania.

Tłusty sąsiad kawalera de Simonis, jadł i pił prawie całą drogę. Między krótkimi nóżkami umieszczony miał na ten cel koszyk wypakowany dobrze i z niego czerpał do utrzymania życia zasoby. Jeżeli jeść i pić nie mógł, zasypiał, a naówczas przechylał się to na żelazne pręty od firanek, które go rychło ze snu budziły, to na ramiona kawalera, znoszącego cierpliwie ten nadmiar ciepła i wilgoci. Znudzony opowiadał swoją historję całą nie czyniąc

z niej tajemnicy. Był on rymarzem, a raczej właścicielem warsztatu rymarskiego w Berlinie, a córkę miał za podoficerem saskim w Dreźnie. Jeszcze przed wieczorem wiedzieli wszyscy, iż mu pilno było na chrzciny wnuka, że saski zięć jego byłby złoty człowiek, gdyby nie pił i nie kłócił się; że Dorotka była śliczna kobiecina i że on kilka tysięcy talarów czystego miał w rok dochodu, dom nad Spreą, a po ludziach kapitały.

Za to ze staruszka bez zębów nic się nie było można dowiedzieć, ani wyciągnąć; znać złe towarzystwo w które wpadł, ignorował umyślnie. Niekiedy tylko robił miny znaczące i zdające się mówić.

— A cóż to za szuja! ażebyż prędzej się z tego czyśca wydobyć!

Drugiego dnia na popasie, ponieważ czasu było podostatkiem, a karczma gdzie się woźnica zatrzymał ciasna i brudna otoczona była cienistym laskiem sosnowym, kawaler de Simonis usiadł spocząć w chłodku. Tu znalazła się uróżowana jego towarzyska i nieznacznie zawiązała się rozmowa. Z niej dowiedział się Max, iż podróżująca zwała się Mademoiselle Doris, że należała do składu teatru francuzkiego w Dreźnie, nieco dawniej, że miała w życiu *des grands malheurs*, i że napróżno w Berlinie starając się o pomieszczenie, wracała do możnych i znaczących dawnych swych przyjaciół i protektorów w stolicy saskiej.

Starala się ona wybadać nawzajem kawalera, który zbył ją ogólnikami. Dała mu nawet do zrozumienia, iż protekcyja, na którą rachowała, starczyłaby na dwoje, gdyby jój potrzebował, na co Max podziękowaniem jak najgrzeczniejszém odpowiedział. Do zasad jego należało niczém nie gardzić, a starać się korzyść wyciągnąć ze wszystkiego.

Panna Doris, która paniński swój tytuł wyraziście i dobitnie uczuć dawała, (niktby się go inaczey nie domyślił), mówiła w istocie o saskiej stolicy, jako o miejscu doskonale sobie znajomem.

Zrazu nieco powściągliwsza rozgadała się potem wielce i obszernie, dowodząc, że z całych Niemiec było to może jedyne miejsce, gdzie żyć umiano, i gdzie przyzwoici ludzie żyć mogli.

— W Berlinie tylko żołnierzom dobrze — dodała — piękny mi teatr, gdzie spektatorami jest dwa bataliony piechoty, które się mieniają... Połowa tych gburów słowa po francuzku nie umie. Saski dwór, król, to przecie cywilizowani ludzie i znają się na tém co piękne...

Widocznie niesmak jakiś wynosiła z sobą z Berlina panna Doris. Kawaler słuchał tylko, ale z taką inteligencyą, iż coraz do wynurzeń skłonniejsza artystka, zaprosiła go, aby ją w Dreźnie odwiedził i stanowczo przyrzekła zająć się jego losem...

— Brühl gdy był jeszcze kawalerem, mogę powiedzieć że się kochał we mnie — szepnęła cicho — chciał mnie wydać za bardzo ładnego sasa...

ażebyśmy się nie rozstawali, ale mnie naówczas co innego było w głowie... Albożem nie mogła się spodziewać przynajmniej taką zrobić karierę, jak Barberini... ale...

Westchnienie dokończyło...

Mężczyzna z woźnicą, siedzący na koźle, który przez całą drogę z ust fajki nie wyjmując, kurzył zapamiętałe, objawił się drugiego dnia, jako ex-wojskowy pruski, jadący do szwagra w odwiedzin. W kampanii szląskiej dostał był kontuzją w nogę, która mu służby czynnej robić nie dozwalała; był więc żonatym i z małą pensyjką przy pracy żył wygodnie. Z rozmowy jego z woźnicą dolatywały do wnętrza powozu ciekawe urywki, dowodzące że był wielkim wielbicielem Fritza, chociaż razy kilka dobrze od niego dostał po grzbiecie.

Sławny Pfund, bez którego król Fryderyk nigdzie się ruszyć nie mógł, i który go tak doskonale wozić umiał, iż przez całe życie raz pono tylko wyrócił — był rodzonym bratem ex-grenadyera. Chłubił się tém żołnierz nie mało, bo przez Pfund'a więcej można było dokazać czasem, niż za protekcją szambelanów i ministrów.

Droga w tém towarzystwie nikogoby nie znużyła, gdyby nie wrażenie przykre, jakie czynił milczący pogardliwie, z zaciśniętymi ustami stary grat na lasce oparty. Wszyscy mieli wstręt do niego.

Tłusty, naprzeciw siedzący rymarz, w ciągłych milczących był zapasach z nogami sąsiada, które

na jego territorium się wdzierały. Nie mówili do siebie nic, ale rymarz, mając milczka tego za arystokratę, mścił się na jego nagniotkach...

Naostatek pod wieczór, gdy się właśnie na burzę zbierało, a panna Doris spoglądała z obawą na skórę nad głową, obiecującą przeciekać niezawodnie, ukazało się Drezno na horyzoncie, a kto je ujrzał, powitał wesołym okrzykiem. Tylko nieporuszony dziadek ani głowy nie wychylił, ani dał znaku życia. Rymarz z radości koszyk pusty, który trzymał między nogami, precz na gościniec wyrzucił, wołając — hopsa!

Kawalerowi de Simonis poruszyło się coś w piersiach, panna Doris szepnęła mu, że tu może najpiękniejsze godziny życia swojego strawiła.

Gwarno zrobiło się i na koźle i w powozie...

Wkrótce potem ciężki powóz toczył się po bruku tej części miasta, która dawniej zwała się starą, a od czasów Augusta Mocnego została na nowe miasto przeznaczoną...

Ztąd od złoczonego posągu nieboszczyka króla, (o którym mówili Sasi, iż go tyłem do miasta postawili umyślnie, aby sobie do Warszawy od nich jechał), widać było bramy i mury miejskie za Elbą i przepyszny most, wiodący ku zamkowi. Widok ztąd był wspaniały, gdyż naówczas jeszcze wśród murów i kamienic, ogrodów było mnóstwo, a zielone drzew kłęby rozweselały szare ścian szeregi...

W lewo w najpiękniejszym miejscu po nad cięż-

kie kurtyny i baszty zamku, wznosiły się pałace i ogrody wszechmogącego, królewskiego ministra Brühla, jego galerye obrazów, altany i cały ten taras Brühlowski, który był naówczas jedną z najwspanialszych rezydencyj w Europie, godną króla... Augustowi III téż pochlebiało, iż jego minister mógł monarchom równać i przyjmować koronowane głowy.

Z przeciwnéj strony piętrzyła się kaplica króla katolicka, mająca rozmiary kościoła, ale żadnego dzwonu. W protestanckiem państwie, tolerancya naówczas nie dochodziła do tego, aby obcemu wyznaniu dozwolić wołać głośno do modlitwy. Z wieży zaledwo dokończonéj, odejmowano właśnie rusztowanie.

Już około starego mostu, ruch miejski otoczył podróżnych. Mnóstwo panów, pań, kawalerów na koniach, liberyi wspaniałéj, powozów wytwornych przesuwalo się z miasta do miasta. Przed niektórymi biegli laufrowie pstro strojni, przed innymi jechali konni, rozpędzając zgraję... Widok był ożywiony, choć niewesoły. Lud szedł przygnębiony, milczący, patrząc ponuro i żałobnie... dworska służba pozwalała sobie zuchwale.

U mostu wstrzymano powóz dla formalności celnych i pasportowych, które zabrały dość czasu. Wszyscy iść musieli meldować się do kordygardy. Staruszek milczący, spełniwszy tę formalność, zna-

lażł sobie człowieka, który zabrał pakunek jego i nie żegnając się z nikim zniknął..

Kawalera de Simonis woźnica obiecywał zawieźć do przedziwnej gospody, która się zwała *Trompe Her Schlösschen*, a piękna niegdyś M-le Doris tymczasowo także chciała się tam umieścić pod jego opieką. Wprawdzie Max oświadczył jej iż natychmiast musi sobie prywatnego szukać mieszkania, ale i ona także miała to w myśli, a sama jedna lękała się pozostać.

Trompe Her Schlösschen naówczas znajdował się niemal za miastem i nie miał wcale powabnej powierzchowności; izdebka od podwórza, którą dano kawalerowi de Simonis, była ciemna i cuchnąca, lecz nazajutrz obiecywał uciec od niej i od Doris. Ponieważ wieczór jeszcze nie był późny, odpoczynek w zadusznem mieszkaniu nie ponętny, sąsiedztwo zaś panny dosyć niesmacznem dla kawalera, oczyściwszy się nieco, pośpieszył wybiedz do miasta. Dar orientowania się miał niepospolity i temu przypisać należało zapewne, że nie wiele błądząc znalazł się na starym rynku. Po Berlinie nowym i szeroko rozłożonym, Drezno wydało mu się ciasne; lecz przypomniało stare szwajcarskie miasta i powagą swą uczyniło na nim wrażenie.

Rozglądał się właśnie po rynku nie wiele troszcząc się o to za kogo wezmą go ludzie, gdy obok niego przesunęła się lektyka, na którą nie uważał; z lektyki wysunęła się głowa w peruce siwej, z o-

czyrna czarnemi, i za targnięciem sznurka tragarze ze swym ciężarem stanęli tuż obok kawalera de Simonis.

Teraz dopiero obejrzał on się mimowolnie i w oknie ujrzał z otwartymi od podziwienia ustami, starego swojego stryjaszka Ammona, którego raz tylko widział w życiu, ale mu jego rysy na wieki w pamięci pozostały. Zapomina się często ukochanych, lecz rzadko tych do których się żał zachowało w duszy.

Zobaczywszy tę przykrą twarz surową i zimną, z wyrazem gniewnym i dzikim, z policzkami obrzękłymi i oczyma wypukłymi, których białka jakby krwią były zabiegłe, Simonis się cofnął, odwrócił i chciał iść dalej, gdy grzmiący głos nań zawołał:

— Max! Max!

Niepodobna było zbuntować się całkowicie, Simonis przytém rad był może powtórzyć radcy Ammonowi, iż go wcale nie potrzebuje; przyłożywszy więc rękę do kapelusza, od niechcienia, powolnie zbliżył się ku lektyce.

— Co ty tu robisz — krzyknął radca — po co tu przyjechałeś?

Kawaler zamileczał chwilę, a potem odparł powoli:

— Przepraszam pana, ale jakimże prawem badamnie pan o to!

— Jakiem prawem — huknął głos z lektyki —

jakiem prawem! Ty mnie, młokosie o prawo będziesz pytać! O prawo! a to przedziwne....

— Panie radco — zawołał zimno kawaler — umyślnie kładąc nacisk znaczący na ten tytuł, który wszelkie pokrewieństwo wyłączał — panie radco, od naszej pierwszej i ostatniej rozmowy niema między nami nic wspólnego; ja waćpana o nic nie proszę, nawet o radę, a pan mnie nie masz prawa pytać o nic.

To mówiąc skłonił się i chciał odchodzić, ale radca skinął na tragarzy, którzy podnieśli wieko lektyki i stary laskę pochwyciwszy z kapeluszem pod pachą, pogonił za odchodzącym.

— Słuchaj, Max... ty jakiś — wołał radca — nie bądź.... głupim. To com uczynił gdym cię pierwszy raz przyjął, było dla twojego dobra. Ale co ty tu robisz? u kata. Mów! Dawno tu jesteś?

— Od godziny — odparł Simonis — i widzę że mi się w stolicy saskiej powodzić nie będzie, gdy na pierwszym kroku pana radcę spotykam.

Ammon na lasce się podparł.

— Młokosie — rzekł — ha! w Berlinie się nie poszczęściło: ani ładna twarzyczka, ani mowa układna nie pomogła, przyszedłeś szczęścia szukać tu... gdzie? na dworze? u Brühla? po starych babach! I myślisz że tu ci pójdzie lepiej?

Simonis uśmiechnął się szydersko.

Nie rad był wydawać się z tajemnicami swemi, ale mu się chciało okrutnie pomścić nad kuzynem.

Jakby obelżywa ta mowa dotknąć go nawet nie mogła, Max popatrzał z politowaniem na Ammona, rękę jedną wsunął do kieszeni i odezwał się cedząc wyrazy powoli :

— Nie gonię tu za niczém : mam interesa.

— Saperment ! waćpan masz interesa ? Jakieżto? kieszonkowe ? spódniczkowe ? czy....

— Moje interesa do mnie należą — odpowiedział żywiej Simonis — ale pan radca, który mi tak wszedłś w drogę ażeby mnie znowu połajać, z obowiązków krewnego znając tylko ten jeden karcenia młodzieży, pan radca mógłbyś mi uczynić przysługę, któraby go nic nie kosztowała.

Ammon się zmieszał nieco.

— Potrzebuję adresu pana Beguelin, którego mam polecenie odwiedzić — dodał Simonis.

Między starym Ammonem a Beguelinem, choć oba byli szwajcarowie, oddawna wrzała głucha wojna i współzawodnictwo. Ammon miał się za zwierzchnika, a Beguelin go pomijał i wprost się z Berlinem znosił. Nazwisko Beguelin'a poruszyło starego do najwyższej niecierpliwości.

Przyskoczył do Maxa.

— Na cóż ci ten Beguelin ? na co ?

— To już rzecz moja, adresbym tylko chciał wiedzieć.

Stary popatrzał długo, splunął, namarszczył się ramionami ruszył i nie powiedziawszy słowa więcej powrócił do lektyki, którą ku zamkowi nieść kazał.

W tę samą stronę poszedł też zwolna kawaler de Simonis, dosyć rad z siebie iż się staremu Ammonowi równą monetą wypłacił.

W ciśniejszej ulicy do zamku wiodącej dosyć było gwarno, śpieszono na koncert i teatr do króla. Lektyki i powozy zdążyły wszystkie w tę stronę i kawaler nasz miał sposobność przypatrzeć się przepysznym liberyom, koniom, perukom, służbie galonowanej, a nawet pięknym główkom kobiet, które gdzieniegdzie z karet i *portehaise* wyglądały.

Wśród tego natłoku pierwszy raz w życiu z podziwieniem dopatrzył też strojów wschodnich, jakich nigdy nie widział, biorąc zrazu panów polskich za jakichś posłów z dalekiej krainy. Mnóstwo ich tu się kręciło ściągając oczy przepychem ubioru, szabli i powagą twarzy wypogodzonych.

Stanąwszy u muru kamienicy, tak się w ten różnobarwny tłum wpatrzył kawaler, iż wcale nie uważał, jak naprzeciw niego stanął młody, ale starszy już od niego mężczyzna, który z równą jak on tłumowi, uwagą, jemu się przyglądał. Obchodził go z jednej i drugiej strony, badał twarz, zdawał się niepewnym, naostatek przystąpił do niego z ukłonem.

Był to mężczyzna lat trzydziestu może, wystrojony nader wytwornie, woniejący jakimś pudrem fijołkowym, w peruczce cudnie w pukielki małe ułożonej, we fraku axamitnym lila z białą atłasową

podszewką. Pończochy wyciągnięte jak struny, trzewiki ze srebrnymi klamrami na korkach ponsowych, rękawiczki, z których jedną trzymał w rączce białej, nadawały mu wybitny charakter dworaka i eleganta.

Na koronkami oszytej koszuli wśród piersi, błyszczał brylantami osadzony szmaragd, jak liść rośliny z kraju czarów.

Tracił zamyślonego Simonisa.

Pardon! czyżbym się mylił? kawaler de Simonis?

Usłyszawszy swe imię drgnął dopiero i oczy skierował na mówiącego Max.

— Na Boga! — zawołał. — Robert Blumli!

Rzucili się sobie na szyję.

— Zkądże? Jakże? — Sypnęły się pytania.

Blumli był tak samo jak i kawaler de Simonis, wychodźcem z okolic Berneńskich, z tą różnicą że pieszo wywedrował, umiając niewiele i niewiedząc dobrze jakiemu się zawodowi poświęcić. Wyszedł z tamtąd z młodością i świeżością dziecięcia gór, wykarmionego wonią ziół alpejskich i mleczywem stad szwajcarskich, silny, zdrow, wesół, krzepki; pozostała mu wprawdzie i teraz piękność, przybyło elegancyi, ale ten kwiat świeży nadwiadł nad Elbą.

Blumli wyprzedził był Simonisa o lat kilka.

Wzięli się pod ręce.

— Znać że ci się całę dobrze wiedzie, Robku mój

— zawołał rozweselony kawaler — wyglądasz mi na pana!

Smutno się jakoś uśmiechnął Blumli!

— Nie mogę się skarżyć! — odparł cicho.

— Prawdziwe to dla mnie szczęście żeśmy się spotkali — dodał Simonis — byłeś mi zawsze przyjacielem, mam nadzieję, że i teraz nie odmówisz opieki wędrownikowi. Nic nie potrzebuję zresztą oprócz obeznania się z miejscowością.

Ale ze stroju twojego widzę — dodał — żeś miał plany na wieczór, proszę cię idź, nie czyni żadnej dla mnie ofiary; znajdziemy się jutro.

— Najmniejszej ofiary nie czynię — rzekł Blumli — wyszedłem właśnie z koncertu, a chciałem odetchnąć świeżym powietrzem: do jedenastej jestem wolny. Zabieram cię więc z sobą, do mnie, a tam rozmówimy się od serca.

Nieopodał stała lektyka p. Blumli, drugą kazał wyszukać dla Simonis'a, gdyż jak się okazało, stał na Pirnajskiém przedmieściu. Pierwszy raz w życiu zapakowany do pudełka, kawaler odetchnął w niém, rad że mu los nadarzył tego ziomka. Zebrał jednak myśli i postanowił jaknajmocniej nie wygadać się z niczém.

Wydobyszy się za mury, lektyki mogły iść obok siebie, ludzie niosący nawykli byli do równego chodu, mogli więc, nie lękając się być podsłuchanemi, dalszą rozmowę prowadzić po francuzku. Obu im przypomniał się kraj i więcéj na ten raz mówili

o Bernie, o młodości, o swych latach spędzonych pod śnieżnemi Alpami, niż o Saxonii i o terażniejszych swych losach.

Lektyki stanęły u bramy pięknego domu; zadzwoniono: otworzyły się wrota i wniesiono ich obu pod wschody, na których dwóch lokajów czekało. Blumli wziął przyjaciela pod rękę i zdumionego dosyć prowadził na górę.

— Nie jesteś przecie żonaty? — zapytał oglądając się na swój strój podróżny Simonis. — Blumli się rozśmiał trzęsąc głową.

— Bynajmniej! — Westchnął potem, spuścił oczy, a wtém drzwi się otworzyły i weszli do bardzo pięknego salonu.

Jedno z przysłowiów, powtarzających się we wszystkich językach, powiada słusznie bardzo: „Jaki pan, taki dwór“... *Ad exemplar* pana urabiają się ci co go otaczają, przyjmują jego upodobania, nabierają niemal fizyognomii. Tak za Augusta Monego już świetność, przepych, zbytek, weszły w życie u Sasów; dwór bawił się w płochę miłości jak pan, sypał jak on pieniędzmi i lubił go o ile mógł naśladować. Tak potem syn jego przejął po nim zamiłowanie w przepychu, zabawach, uctowaniach, w myślistwie. Brühl był swojego czasu największym zbytnikiem i marnotrawcą, pomimo że miliony zostawił po sobie, drugie tyle ich przeżył. Dwór jego liczył się na seciny ludzi, a Hennicke który począł służbę od lokaja, bez czterech w li-

beryi ludzi u powozu nie ruszał się z domu. Najmniejsi urzędnicy zbytkowali na właściwą skalę, upodobanie w pięknej odzieży, klejnotach, porcelanie, cackach kosztownych było powszechném.

W tym względzie porównanie życia i dworu króla pruskiego stanowiło najskrajniejszą sprzeczność. Fryderyk II nie miał nigdy nawet półtora tuzina koszul; chodził w brudnej, buty nosił łałane, na wielkich uroczystościach dworu dla oszczędzenia świec, nie zapalano ich w jednej sali wprzódy, aż goście z drugiej wychodzić mieli, tak że na weselu którejs z księżniczek, długi czas cały dwór stał w ciemnościach oczekując na światło. W bocznych salach palono po jednej świeczce. Wszystko szło na ten sposób, ale 70 milionów talarów leżało na przypadek wojny i Fryderyk przez czas siedmioletniej walki wprawdzie część sreber posłał do mennicy, wprawdzie bił fałszywe talary, ale u nikogo nie pożyczał. Stół, ubranie, utrzymywanie dworu, wszystko było w tym sposobie. Rachunki przeglądał Fryderyk i dopisywał na boku ażeby kanalie nie kradły! Nauczony tym przykładem dwór wprawiał się do oszczędności, opłacano go bardzo skromnie. W Saxonii zaś gdzie Brühl żył po królewsku, gdzie jednej opery przedstawienie kosztowało czasem sto tysięcy talarów, wszyscy chcieli naśladować króla i Brühla... Każdy potrzebował zbytku. I w chwili właśnie gdy się to opowiadanie zaczyna, Saxonia miała doskonałą operę i 15,000 wojska.

Prusy mizerny dosyć teatr, na który chodzili żołnierze i 150,000 ludzi pod bronią; Saksonia miała długów po uszy, a Prusy kapitały. Po skromnych mieszkaniach Berlina, apartament takiego małego człowieczka jak Blumli zdumiał niewypowiedzianie przybywającego Simonisa. Dwóch lokajów kręciło się po pokojach, niezbyt obszernych, ale jak gniazdeczko miękkie i ciepłe, wygodnie i świecaco wysłanych. Zwierciadła, porcelany, kobierce, obrazy, kazały się zamożności domyślać.

Kawaler de Simonis oglądał się jakby wszedł nagle do zaczarowanego pałacu.

— Jesteś tu u siebie? — zapytał ziomka.

Blumli uśmiechał się ciągle smutnie, miał minę raczej znudzoną, niż szczęśliwą.

— Tak jest — rzekł — to moje mieszkanie, i wszystko co w niem widzisz, moje...

— No, to ci wieszuję...

— Ach! — powtórzył Blumli i spuścił oczy...

— Dziękuję ci.

Siedli oba, podano wino, owoce, cukry i ciasta...

— Jesteś więc w urzędzie i widzę, że ważne zajmować musisz miejsce?.. — dodał Simonis...

— Ja? jestem jednym z nadliczbowych sekretarzy ministra — cicho odezwał się Blumli, jakby się tego wstydził — ale z tego stanowiska u nas dochodzi się do wszystkiego.

— I wiele musisz mieć zajęcia?

— A! parę godzin zrana w kancelaryi — od-

parł, urywając żywo Blumli — wieczorami zaś...
wieczorami, muszę być... na pokojach...

— Na szczęśliwego człowieka, który się tak rychło dorobił — rzekł, śmiejąc się Simonis — jakiś mi się wydajesz kwaśny...

Blumli przymuszonym uśmiechem pokrył widoczny zły humor. Nie chciał się więcej tłumaczyć i zwrócił rozmowę.

— Cóż ty myślisz? — zapytał.

— Ja? myślę się rozpatrywać, uczyć, poznać, i nie pilno mi wcale...

Miałem do przybycia tu — dodał, kłamiąc bardzo zręcznie, jak na poczynającego dyplomatę — miałem powód bardzo ważny. Sam osądź! Słyszałeś, że Ammonowie są mojami blizkimi krewniami. Przyjechawszy do Berlina, stawiłem się u starego radcy, który mnie przyjął jak psa w kręgielni i niemal za drzwi wypchnął. Naówczas dałem sobie słowo, że bez pomocy jego potrafię sobie dać radę i postarawszy się o listy polecające, przybyłem tu właśnie, aby mu się kręcić pod nosem... Ta zemsta tak mi się powiodła szczęśliwie, że dziś zaledwie wysiadłszy, jużem się z nim na ulicy rozprawił.

Blumli słuchał z natężoną uwagą.

— Wspomniałeś o listach polecających: za pozwoleniem, mogę wiedzieć do kogo je masz?

Zawahał się nieco Simonis, bo się nawet przed przyjacielem zwierzać lękał...

— Czym mówił o listach? — podchwycił — jeżeli

tak, to była poetyczna amplifikacya, bo mam w istocie jeden tylko i to do Beguélina.

— Do Beguélina! — z lekceważeniem powtórzył Blumli. — Mój biedny Simonisie, ja tu nie znaczę, ale gdybyś list miał do mnie, wyszłoby to prawie na jedno... Do Beguélina! ale cóż taki niby rezydent pruski uczynić dla ciebie może! chyba cię, jako emissaryusza pruskiego skompromitować, gdyż my tu wcale nie lubimy Prusaków... My, to znaczy... Brühl, bo Brühl jest tu wszystkiem.

— Ależ ja także za Prusaka uchodzić nie mogę, kiedy ztamtąd ze strachu głodnej śmierci wynosić się musiałem... — rzekł Simonis.

Blumli zdawał się namyślać.

— Życzę ci dobrze — odezwał się — chcesz się czegoś dorobić? Nie ma innéj drogi, tylko się dać poznać Brühlowi, stać mu się potrzebnym i dworować koło niego...

Blumli spuścił oczy, westchnął i zamyślił się.

— Czy i ty tą drogą doszedłeś? — spytał Simonis.

— Nie inną — szepnął Szwajcar i podniósłszy oczy, zdał się chwilę przyglądać ciekawie Simonisowi. Potém wstał, przechadzać się począł, niby od niechcienia, wyglądając przezedrzwi, czy ich kto nie podsłuchuje i przekonawszy się znać, iż mógł mówić bezpiecznie, siadł blisko, aby prawie do ucha Simonisowi szeptać...

— Przez kobiety, mój kochany, wiele się tu

rzeczy dzieje; wyjąwszy królowę, która się modli i plotkami żyje, reszta tych pań lubi młodzież i szuka w jej towarzystwie rozrywki... Jeżeli serce twe wolne a podwiędłe i nieco zblakłe wdzięki nie czynią ci wstrętu... probuj szczęścia.

Simonis uśmiechnął się, nie mówiąc nic długo.

— He! — rzekł wreszcie — człowiek, co się fortuny dorabiać musi, drożyć się z sobą nie może... Ja nawet wolę starsze panie, bo te do ołtarza nie prowadzą, a zakuć się w wiekiustą niewolę nie miałbym ochoty...

Rozśmiał się jakoś przymuszonym i niezdrowym śmiechem, a Blumli westchnął.

— Tam — rzekł — na pruskim dworze, kobiety nic nie znaczą. Królowa siedzi jak na wygnaniu, Fryderyk nie kocha się nigdy, płeć piękną traktuje jak żołnierzy na mustrze... Tu u nas poczawszy od starej Faustyny, od niemłodej Moszyńskiej i podstarzałej Brühlowej, baby rej wodzą potajemnie; no, i księża — dodał zcicha. -- Inny świat...

— Nie lepszy! — rzekł Simonis — ale pewnie łatwiej się doń wcisnąć i bezpieczniej w nim żyć...

— Ha! bezpieczniej — przerwał Blumli, krzywiąc usta — bezpieczniej? tam jest Kistrzyn i Spandau, a my tu mamy Koenigstein i Pleissenburg... ba! ba! Jak dla kandydata do faworów, dobrzeby ci historią Scyferta powiedzieć...

— Jakiego Scyferta?

— Mógłbym ci go jutro gdzie na przedmieściu pokazać, bo dziś już jest wolny, ale mu się w ulicach pokazywać nie godzi. Lat temu sześć, Scyfert miał apartament daleko piękniejszy od mojego, był sekretarzem do spraw wojskowych przy ministrze i hrabina go bardzo lubiła, bo był tak ładnym, jak ty, chłopcem... Dziś, gdybyś go zobaczył, skóra i kości, żółty, przygarbiony, kaszlący; ma lichy domek na przedmieściu i biędę klepie.

— Cóż zawinił? — zapytał Simonis zdumiony.

— Jakby ci to wytłumaczyć! — odparł Blumli. — Zakochał się w garderobianie hrabiny Brühl, bardzo ładnym dziewczęciu. Doniósł o tém zazdrosny współzawodnik... spotkała go niełaska, poszedł precz z sekretarstwa. Prawda, że nieostrożny: chcąc się mścić na Brühlu, pisał listy do Hollandyi, aby mu psuć kredyt... listy połapano i Scyfert skazany został na śmierć. Hrabina wstawiła się za nim przez pamięć dawnych stosunków i stawiono go tylko pod pręgierzem na Nowym Rynku, a kat go wypoliczkował...

Blumli zbladł, słów mu zabrakło, popił winem szybko i dokończył:

— Tylko sześć lat wysiedział na Koenigsteinie, ale sześć lat w wilgotnej izbie, bez słońca, bez powietrza, bez nadziei, bez słowa pociechy; sześć lat takich, mój Maxie, nie jestże to sześć wieków konania? Rozumiesz ty, co to jest z młodością w głowie, z sercem bijącym, z duszą głodną świata,

sześć lat pazurami drzeć kamień zimnych ścian więzienia?

Simonis się wzdrygnął cały.

— Daj mi pokój z takimi łaskami i z taką do fortuny drogą — rzekł głosem złamanym. — To nie dla mnie. Mówmy o czém inném.

Blumli przerwał rozmowę i począł mówić o piękności okolic, o przyjemnościach życia, jakby i on sam też potrzebował zatrzeć wrażenie własnego opowiadania.

— Jakkolwiekby — dodał — jeżeli tu posiedzisz, prezentować się trzeba Brühlowi i poznać jego i to, co go otacza. Człęk i rzeczy ciekawe... Jako kawaler Max de Simonis, podróżujący dla nauki i rozrywki, będziesz zawsze dobrze przyjętym. Wprawdzie moja protekcyja ci nic nie pomoże, ale nie zaszkodzi przynajmniej.

Po chwili jeszcze rozmowy przerywanój, która wiele dała do myślenia naszemu awanturnikowi, ponieważ godzina nadchodziła, o której Blumli powinien się być znajdować na pokojach ministra, wyszli razem, a Simonis podług drogi wskazanej, pieszo pociągnął do swojej gospody.

Nazajutrz zrana chciał oddać swe listy polecające, wyszukać Beguélina i baronową Nostitz. Zrećźnie bardzo, nie obudzając niczyjój uwagi, oba adresa dostał w aptece na Starym rynku. Beguélin stał niedaleko na przedmieściu Wilsdrufskiem w małym domku z ogródkiem. Bosa dziewczyna

przyszła drzwi otworzyć. Drewniany, lichy dworek, mieścił na lewo kancelaryą rezydenta, a na prawo jego mieszkanie. Sam Beguëlin, który za pozwoleniem Fryderyka razem dyplomatyczne zajmował stanowisko i obok tego sêrami handlował, był starym, niepoczesnym, trêdowatym, łysym człowiekiem, żywego i zgryźliwego temperamentu, skąpym i cheiwym. Chciano Simonisa naprzód oddać na łup kancelaryi, lecz gdy oświadczył że ma list, który do rąk musi oddać, puszczo go do zabrukanego gabinetu pana radcy... Siedział w brudnym przyodziewku, boso, w pantoflach, z okularami na nosie u biurka, pisząc jakieś rachunki. Gdy Simonis wszedł, przyjął go zrazu z krzykiem :

— POCO? czego? co za list? jakie u djabła interesa?

Nie odpowiadając nic na to, de Simonis podał mu papier, a gdy Beguëlin go rozpieczętował i spojrział nań, stał się cud. Zagniewana twarz wyjaśniła się, czoło wygładziło, usta przybrały rozmiary do śmiechu właściwe i z wielką gracyą, gubiąc jeden pantofel po drodze, radca wskazał kawalerowi siedzenie na kanapce czarną włosiennicą pokrytej, sam uprzejmie zajmując przy nim miejsce.

— Przepraszam cię, szanowny kawalerze — rzekł brudną od tłustego sêra i atramentu rękę kładąc mu na kolanie — nasze nieszczęśliwe obowiązki narażają nas na ciągłe opędzanie się nieznośnym

natrętom. No cóż? cyfry nie mam czasu czytać; odcyfruję ją później: co słyszeć w Berlinie?

Simonis odparł, że wiadomości nowych nie przywiózł żadnych.

— Byłem wprawdzie — rzekł dla dodania sobie wagi — w wigilią odjazdu w Sans-Sousi i miałem szczęście N. Pana oglądać; a nawet mówić z nim... ale, o ile mi się zdaje, tam właśnie ztąd, od Drezna oczekują wiadomości.

Beguélin dał znak ręką, wstał, z okularami zasiadł nad cyfrą, szybko ją porównywając z dobytym z szufladki zamkniętej *kluczem*; potem opatrzył drzwi, siadł znowu przy Simonisie i rękę zwinąwszy w trąbkę, puścił mu przez nią w ucho:

— Tu się zbiera na burzę!! tak... nie ma się co ludzić. Austria się łączy z Rosyją, a zdaje się i z innemi dworami na nas... Saxonia może jeszcze nie podpisała traktatu, ale to lada dzień nastąpi; Brühl się targuje, ile mu za to dadzą; bo on też pieczeń swoją przy tém upiecć musi.

Simonis słuchał z wielką uwagą, ale nie odpowiedział nic.

— Polecono mi listy do hrabinéj de Camas, składać na ręce pana radcy — rzekł.

Beguélin skłonił głowę...

— Lecz — dodał cicho Simonis w rolę swoją wchodząc — pozwolisz mi pan radca, abym się tu, jak najmniej pokazywał; bo...

— *Suffit!* — odparł Beguélin.

— Mógłbym się tłumaczyć, żeśmy oba ziomkowie, bo i ja szwajcarem jestem.

— A ja byłem! byłem! — poprawił Beguëlin i machnął ręką.

— Ponieważ nie przed radcą tacić nie chcę — dodał Simonis — muszę i to dodać, że radca Ammon jest moim blizkim krewnym.

Beguëlin zerwał się z kanapy, podniósł nogę, zgubił pantofel i porwał się za łysą głowę.

— A to proszę do niego! — I pokazał na drzwi— u mnie tu nie macie co robić.

Simonis się nie poruszył.

— Przepraszam — odezwał się — stary Ammon jest egoista obrzydły, którego znać, z którym obcować, do którego się zbliżyć wstręt mam... To niegodziwy człowiek...

Zdumiony Beguëlin podniósł głowę do góry, psychnął i nagle zbliżywszy się do Simonisa, podał mu obiedwie ręce.

— *Suffit!* — rzekł — jesteś szlachetnym młodzieńcem. Idź i niech cię bogowie prowadzą po tej chropawej drodze, którą sobie obrałeś.

Już się żegnali, gdy Beguëlin do ucha szepnął gościowi:

— Szpiegostwo tu kwitające: język za zębami, oczy pod powiekami, ręce w kieszeniach trzymać należy, a w pisaniny, bilety i t. p. praktyki się nie wdawać. Kantorki zamykane na klucz nie pomagają... Adieu!!

Ztąd udał się kawaler de Simonis na Nowy-Rynek, gdzie w starej kamieniczce o trzech oknach od czoła mieszkała na drugim piętrze baronowa Nostitz.

Z opowiadania hr. de Camas spodziewał się już kawaler de Simonis znaleźć w niej rówieśnicę swęj protektorki. Kamieniczka do niej należała. Zdaleka na drugim piętrze zobaczył okna poodmykane i klatki w nich ptaszków pełne. W przedpokoju jasnym u okna siedziała niemłoda służąca z pięcioksięgiem protestanckim na kolanach i pończocha w ręku wełnianą. Ponieważ nie dosłyszała, jak się okazało, Simonis musiał bardzo głośno w ucho jej krzyżeć, że przybywał z listem od hr. de Camas. Gospodyni znać to wprzód usłyszeć musiała niż stara Gertruda, gdyż drzwi od pokoju się otworzyły i jejmość maleńka, pomarszczona, w wysoko stojącym czepku białym, przewiazanym w pół wstążkami karmazynowemi, których końce na ramiona jej spadały, wyszła uśmiechnięta zapraszając gościa do pokoju.

Tu było ładnie bardzo, czyściuchno a nawet dosyć wesoło.

Ptaszki w klatkach sejmikowały bardzo głośno, słońce złociło stare mebelki, mnóstwo po ścianach portretów w perukach i czarnych] wystrzyganych sylwetek za szkło oprawnych. W kacie stał staruszek fotelik na cieniuchnych nożkach, a na nim leżała gitara z wstążką niegdyś niebieską. Piesek bononczyk tak tłusty, że zaledwie kołysząc się na

krótkich nóżkach powoli mógł się z miejsca na miejsce przenosić, wystąpił naprzeciw przybyłego, powąchał go i ziewnął. Staruszka w białym czepcu uśmiechając się krzeselko wskazywała. Simonis już jęj był list wręczył, z którym poszła do okna. Wyczytanie go nie kosztowało wiele czasu, żwawa gosposia przebiegła oczyma pismo, usta jęj przybrały uśmiech pełen uprzejmości i zbliżyła się do kawalera.

— Jakże się ma moja Zośka — zapytała — zdrowa? Rheumatyzmy jęj nie dokuczają?

Simonis zapewnił ją o dobrém zdrowiu hr. de Camas.

Ot jak to w naszym wieku, ani ja do nięj, ani ona do mnie dojechać nie możemy, a tak się kochamy.

Mówiąc to przypatrywała się z uwagą wielką nietylko twarzy, ale ubraniu i całej postaci gościa; zdawała się go badać i chcieć odgadnąć.

Pochyliła mu się do ucha.

-- Cóż was tu sprowadza? — spytała, i palec podniósłszy do góry, położyła go na ustach znacząco. Nie czekając nawet odpowiedzi, szepnęła. — No, wiem, wiem; ale bądźcież ostrożni! bardzo ostrożni!

I schyliwszy się bliżęj jeszcze Simonisa, który nagiął się ku nięj, poczęła osłaniając usta rękami nieco drżącemi:

— Nie ma wątpliwości że spisek na Berlin knują.

Tak! tak! już się nawet podzielili całą fortuną Fryderyka. Tak! Rosysi mają się dostać Prusy za kosztą wojny; Szląsk odbierze Austria, Magdeburg i Halberstadt dadzą królowi saskiemu, Szwedzi wezmą Pomeranie, Francya Neufchatel; a i na resztę się znajdują amatorowie.

To mówiąc załamała ręce i jak w tęczę patrząc na Simonisa, głową kiwała.

— Masz to tak być — dodała ożywiając się — ja się nie spodziewam po moim Brandeburczyku, ażeby na to pozwolił... Zobaczymy.

Szybko nachyliła się do ucha Simonisowi.

— Brühl jeszcze nie podpisał. To ja wiem — dodała tajemniczo — ale nie żeby mu na ochocie zbywało. O! nie! chciałby coś dostać za to! Biędne człowieczysko tyle potrzebuje na te zbytki, a bez tych zbytków jakżeby żył.

Kręciła się staruszka na kanapce mówiąc to i coraz przypomniawszy sobie coś, pochylała się do ucha słuchającego.

— Wojska tu nie mają — rzekła — nie mają; jest tam tego z kikanaście tysięcy do parady, ale więcej oficerów niż żołnierza. Nasi grenedyerowie prusecy zjedzą ich na śniadanie!

— Ale sza! sza!

I jakby jęj coś znowu na myśl przyszło, poczęła dopytywać żwawo.

— Słuchajże kawalerze? cóż tu myślisz robić? z kim żyć, którądy chodzić? nawet gdzie mieszkać?

— Mieszkania nie mam jeszcze!

— Brawo! — zawołała baronowa. — Wprawdzie na trzecim piętrze, ale nogi masz młode, dwa pokoje jak stworzone dla was, u mnie tu! Przecież balów dawać nie będziesz?

Simonis ramionami ruszył, staruszka z szuflady dobyła pęk kluczków, wyjrzała do przedpokoju, pokazała je Gertrudzie, która się domyśliła o co chodziło i Simonisa poufale po plecach poklepała odchodzącego z nią.

— Idź, zobacz; podoba ci się: będziesz miał tanio.

Już odchodził, gdy go za rękę pochwyciła.

— Grasz na jakim instrumencie?

— Trochę na skrzypcach i na klawicymbale, ale muzykę porzuciłem.

— Bobyś mi w nocy spać nie dał, a tego ja nie lubię — żywo rzekła pani Nostitz. — W dzień sobie graj ile chcesz, ale wy młodzi macie zwyczaj do księżycy przygrywać, a ja tego znieść nie mogę.

Gertruda poprzedziła Simonisa na trzecie piętro, gdzie znalazł dwa pokoiki z małą antikamerą, całe wesole i miłe. Zachodziło pytanie co miały kosztować, gdyż z innych względów świadectwo staruszki było bardzo pożytecznym.

Niepytana stara służąca oświadczyła mu, że kancelista, który zajmował dawniej to mieszkanie, płacił za niego po trzy talary miesięcznie z usługą. Cena więc przystępną była. Składało się wszystko

jak najszczęśliwiej. Baronowa potwierdziła wracającemu Simonisowi cenę i układ został zawarty pocałowaniem ręki. Poufne informacye dotyczące się nierozlewania wody na posadzkę, nierobienia dziur w ścianach, oszczędzania sprzętów i restytucyi szkła, któreby stłuc się mogło, udzieliła jeszcze staruszka przyszłemu lokatorowi i Simonis pobiegł się przenosić.

Jakoż wieczorem był już we własném swém mieszkaniu i nie czekając dłużej wszystkie pochwyte tu wiadomości spisywał jak najstaranniej dla hrabinéj de Camas, tak że drugiego dnia rano, Beguélin mocno zdziwiony odebrał list do przesłania. Zakłopotał go ten pośpiech widocznie.

— Kawalerze kochany — rzekł — miałbym ci jedną uwagę do uczynienia... jesteś nadto gorliwym, nauczysz ich wymagać wiele, a nie zawsze krowy mléko dają. Przymiemy wiatr nosi po ulicach takie śmiecie czasem, że tego posyłać nie warto. Simonis zmilczał i list został wysłany.

IV.

Był to czas największej ministra Brühla potęgi i nikt jeszcze nie przeczuwał, jak skała Tarpejska Kapitolu może być blisko. Wiedziano, że w Saxonii po ojcu Mocnym, panował August III, spokojny, pobożny, lubiący operę i polowanie, szlafrok i fajkę; lecz widywano go tylko gdy do Hubertsburga puszczał się na łowy, lub w łoży kaplicy, albo w teatrze. Saxonią rządził nie z Bożej, ale z królewskiej łaski Brühl i po kilku próbach strącenia go z tronu, naostatek przyszli wszyscy do tego przekonania, iż póki życia króla, dopóty panowania Brühla.

Król który jadł, pił, spał wyśmienicie, strzelał dowoli i bawił się operą i błaznami swemi, galeryą obrazów a jak najmniej nudną polityką, nie mieszał się do niczego. Zapytywał czasem o pieniądze i usypiał spokojny zaręczeniem, iż jest ich nad miarę i potrzeby.

W istocie z nieporównaną sztuką i zręcznością pieniądze dobywano z pod ziemi. Opodatkowane było szczerlnie wszystko, tak że pono nawet żebracy od jałmużny podatek płacili; nikt mruknąć nie

śmiały, w ostateczności pożyczano grosza u Holendrów, brano go gdzie tylko się nawinał i wprawdzie wojsko było niepłatne, ale opera stała świetnie.

Ostatnie odniesione przez Brühla zwycięstwo nad hrabią Lynar, dowiodło, iż w walkę z nim wdawać się było niepodobieństwem.

Hrabia Maurycy Karol Lynar za cesarzowej Anny poseł w Petersburgu, po ustąpieniu z tej posady, bez zajęcia mieszkał w Dreźnie z tytułem radzcy tajnego. Minister wiedział bardzo dobrze, iż zbierał przeciwko niemu wiadomości i grawamina, które chciał do uszu królewskich przynieść dogodną porą, ale król był obsadzony tak, iż bez pozwolenia ministra nikt do niego dostąpić nie mógł, a Lynardowi zawsze towarzyszył przez grzeszność sam Brühl, wprowadzał go i wyprowadzał.

Wojsko naówczas od dwudziestu ósmiu miesięcy płatne nie było. Lynard znalazł śmiałego pułkownika, który stan armii jak najdobitniej opisawszy, w suplice do tronu wzywał litości pańskiej. Manewrowano tak jakoś zręcznie, iż mimo szpiegów króla otaczających, suplika znalazła się na stoliku w takiej chwili, gdy królowi nie ją przeczytać nie przeszkadzało.

Można sobie wystawić przerażenie Augusta, gdy marząc o operze, paląc fajkę... odczytał nagle to pismo okropne, a tak stanowcze podające fakta, cyfry i dowody, iż ich nie zbić nie mogło...

Król pobladł strasznie i natychmiast kazał przy-

wołać Brühla, który się niczego nie domyślał. Była to chwila odpoczynku. Minister otoczony swojemi, w najlepszym humorze zabawiał się wesoło, gdy paż wpadł wołając go natychmiast do króla. Brühl najpewniejszym był, iż wojna między Włochami Ojca Guariniego i Faustyny wybuchnąć musiała. Ubrał się szybko i zanesiono go na zamek. Jedno spojrzenie na króla dostatecznym było do przekonania, że coś nieskończenie ważniejszego zająć musiało. Król nie mówiąc słowa, podał mu suplikę pułkownika. Kto inny uczułby się przybitym, okazał pomieszenie, dał poznać po sobie trwogę. Brühl zawsze był przygotowanym do odegrania takiej sceny dramatu życia, jaki okoliczności nakazywały. Nie drgnął jeden muskuł jego twarzy. Spokojnie odczytał do ostatniej litery i złożony papier schował do kieszeni.

— N. Panie! — rzekł — wiernie służąc W. Kr. Mości, zasłaniając go piersiami memi, dzień i noc pracując, aby najlżejsza chmurka nie zaćmiła horyzontu, musiałem razem z łaską W. Kr. Mości zarobić sobie na nienawiść zazdrośnych, występnych, niegodziwych ludzi. Ci nie wahają się nawet potwarzać mnie obrzucać, byle obalić mogli i w oczach W. Kr. Mości oczernić, aby mi serce Jego odebrać.

Jestto najnikczemniejsze kłamstwo! ofiaruję się do jutra dostarczyć W. Kr. Mości dowody najautentyczniejsze, iż wojsko żołąd aż do ostatniego miesiąca co do grosza odebrało.

Król spojrział zdumiony i odetchnął.

— Brühl, i to prawda?

— N. Panie, stawię głowę.

— Więc to nikczemna potwarz?

— Albo formalna waryacya! Nie rozumiem — dodał Brühl. — Zaklinam W. Kr. Mość, aby to wieczornego strzelania nie przerywało, ani dobrego humoru: jutro się wszystko wyjaśni.

Skłonił się i wyszedł ucałowawszy podaną rękę królewską. W przedpokojach podwojono najściślej-sze strażę, aby się żywa dusza do króla dostać nie mogła. Brühl kazał się nieść do ministryum wojny. Pracowano tam całą noc, jak? niewiadomo. Dosyć, że z *ostatnich* miesięcy pokwitowali wszyscy płatnicy pułkowi, jako żołd odebrali. W nocy Hennicke zjawił się u pułkownika, który niespokojny czekał skutku swojej suppliki. Otaczała go rodzina, siostry, żona, dzieci w trwodze śmiertelnej.

Hennicke zażądał pomówić z nim na osobności.

— Panie pułkowniku! — rzekł — oto są kwity z zapłaconych wojsku żołdów aż do ostatniego miesiąca. Mam rozkaz aresztowania go i zawiezienia na Koenigstein, dopóki się sprawa podanej przez niego suppliki i oskarżenia nie wyjaśni.

Pułkownik zbladł, ale rzekł: — Jadę...

— Panu pułkownikowi wiadomo — dodał Hennicke — że o ile wrota jadącemu do Koenigsteinu szeroko się otwierają, o tyle wyjść nazad przez nie trudno. Gdyby tego można uniknąć... Idzie o bar-

dzo małą rzecz; półkownik podpisze tylko oto to zeznanie, iż czasami miewa napady melancholii i marzenia czarne: to nikomu krzywdy nie czyni.

— Nigdy w świecie! — zawołał pułkownik.

— Jedziemy więc na Koenigstein...

Rodzina nieszczęśliwego słuchająca pode drzwiami, na samo imię Koenigsteinu przerażona, wpadła płacząc i ręce łamiąc.

Hennicke zbliżył się do żony.

— Pani — rzekł — mnie was żal, niech pułkownik darmo nie ginie. Proścież go niech papiery podpisze, a będzie wolnym.

Dzieci, żona, krewni otoczyli pułkownika, który złamany ich prośbami, zeznanie, iż bywał na umyśle nieprzytomnym, podpisał. Nazajutrz tryumfujący Brühl kwity złożył królowi, wstawiając się usilnie za nieszczęśliwym pułkownikiem, aby mu się nic złego nie stało. Wymógł też na królu, iż mu dano prostą dymisyę z pensyą dożywotnią i naznaczono mieszkanie w dalekiej mieścinie w górach.

Hr. Lynar śmiał się z tego cały wieczór i odtąd prób obalenia Brühla nie przedsiębrał więcej.

Opowiadanie to w parę dni po przyjeździe swym kawaler de Simonis usłyszał od Blumlego. Tegoż dnia ponieważ minister z królem na łowy pojechał był pod Schardau, Blumli przyrzekł Simonisowi okazać wszystkie wspaniałości pałacu i rezydencyi ministra.

W istocie było tam co widzieć i czemu się dzi-

wować. Sama przestrzeń zajęta gmachami, pałacem, ogrodami, galeryą, belwederem, ogromne summy kosztować musiała. Widok ztąd na Elbę i na wyniosłe brzegi okryte lasami był zachwycający.

Trzyście domów z ogrodami zakupić było potrzeba aby na ich ruinach tę monarchiczną wznieść rezydencyę, która Balkonem Drezna nazywano. — Jeden z najzdolniejszych budowniczych Knöfele dawał plany gmachów, na które kosztu ani zachodu w doborze materyału nie żałowano. Brühl miał tu teatr, galeryą, bibliotekę, kioski, posągi i fontanny, jak król na Zwingrze.

Simonis zdumiał się przebiegając sale pałacu, powybijane chińskimi materyami, gobelinami, złotą skórą, wśród których marmurowe medaliony, olbrzymie zwierciadła, a nad niemi sufity malowane, w blasku najżywszych farb jaśniały. Wszystkie kominy były z porcelany, najwytworniejszemi ozdobami okrytėj; wszystkie piece zdawały się starożytnemi jakimiś pomnikami. Porcelana była wszędzie od podłogi począwszy do świecznika u sufitu i figur na gerydonach.

W osobnym składzie mógł admirować osłupiały szwajcar, sławny serwis, który milion talarów był ceniony. Ile tam ludzkiej pracy w tém misterstwie utonęło, ile dni poszło na te zabawki, ile sztuk wyszafowano marnie na niedojrzane drobnostki!

W każdej sali, w każdym pokoju inny zegar kunsztowniejszy coraz ściągał oczy, a wszędzie ka-

pało złoto, bo niem i drzwi, zamki i okna były wykładane.

Sprzęty drogocenne i fraszki same były nieobliczonej ceny.

Blumli, który znał się ze wszystkimi, pokazał mu teatr, zaprowadził do stajen, w których stało trzysta koni i szepnął pocichu, że ta cała ciżba sług należała do pierwszego ministra. Dwunastu kamerdynerów, dwunastu paziów, marszałek dworu, koniuszowie, berejterzy, kucharze, pisarze, lokaje, w liczbie okrągłej stu głów, zapełniali wszędzie przedpokoje i podwórza. Większa część dworzan składała się ze szlachty niemieckiej i polskiej. Wolano naówczas służbę Brühla niż królewską. W kredensach stosy złożonych i srebrnych talerzy, puharów, dzbanów, roztruchanów, przypominały skarbcie królewskie.

Weszli nareszcie do garderoby.

Brühl był jednym z pierwszych, jeśli nie najwybredniejszym z elegantów ówczesnych. Suknie wszystkie sprowadzał z Paryża. Każdy ubiór miał właściwy do barwy i smaku zegarek, tabakierkę, trzcinę i szpadę. Dwie sale ogromne ledwie starczyły na pomieszczenie sukien ministra. Na stole oprawna w safian leżała książka, w której wszystkie te stroje w miniaturach były odmalowane; Brühl wskazywał tylko, który sobie wybierał. Ceniono te dwie sale na pięćdziesiąt tysięcy talarów. Spis, który Simonis mógł przejrzeć, zawierał piećset

ubrań, z których blisko dwóchset szytych, stokilkadziesiąt szamerowanych, sześćdziesiąt przeszło bogatych bardzo, czterdzieści jedwabnych, trzydzieści kilka aksamitnych itp. Do tego należały niezliczonych kształtów kapelusze, stopy piór do nich, futra, zarekawki, massy koronek, przeszło sto zegarków, ośmset tabakierek, szpady, laski, flaszeczki i trzysta flasz wody *de la reine d'Hongrie*, bez której zapasu minister żyć nie mógł.

Przepych był olśniewający, ten pierwszy sługa króla Augusta III, wspaniałej daleko żył niż król Fryderyk IIgi, który chodził w butach podartych. Blumli zaprowadził go jeszcze do osobno stojącej biblioteki w ogrodzie, złożonej z 70.000 tomów, której katalog sam sześćdziesiąt jeden foliantów składały. Nietykany ten skarbiec odziany był cały w safian ponsowy i szamerowany złotem, jak suknie ministra. Brühl musiał mieć wszystko i to co miał, najwspanialszém być musiało. Ponieważ hrabia Henryk von Bunau-Dahlen pod Dreznem mieszkający w Nöthnitz przepyszna słynął biblioteką, przy której Winkelmann był sekretarzem i zawiadowcą, Brühl niedając mu się prześcignąć, skupił księgozbiór i trzymał do niego uczonego Heyne. Ponieważ król lubił i kupował obrazy, minister także musiał mieć galeryę mistrzów, którą tak jak król sztychować kazał.

Galerya mieściła się w budynku osobnym, w którym niekiedy wielkie dawano obiady i wieczerze.

Sala miała długości przeszło półtora łokci, i co sobie naówczas powtarzano ze zdumieniem, była o całe ośmnaście łokci dłuższą od słynnej galeryi zwierciadlanej w Wersalu. Obrazy w złożonych ramach z herbami pana wisiały tylko naprzeciw ogromnych okien wychodzących ku Elbie. Pomiedzy oknami temi ściany wykładane były zwierciadłami do sufitu, a przed każdą z nich na marmurowym postumencie stały posągi i popiersia starożytne.

Król niekiedy przychodził się bawić widokiem tych pięknych płócien, o których wiedział, że mu je Brühl testamentem swym przeznaczył, choć później los zrządził inaczej.

Przebiegając ogród, pałac, gmachy, kawaler de Simonis osłupiał, oniemiał i zaczynał nabierać takiego pojęcia o potędze Brühla i Saxonii, że mu się Prusy wydały zuchwałemi, śmiejąc się porywać na te splendory. Ci co je posiadali musieli przecież myśleć o ich zachowaniu i obronie. Niepojętém i to było dla niego, że gdy w Sans-Sousi i kołach wyższych nad Spreą wszystko się zdawało zbierać na wojnę i do niej gotować, tu nic nie widać było coby ją przeczuwać dozwalało. Zabawy i sprawy podatkowe, to jest ssanie pieniędzy, a utrzymanie karności i posłuszeństwa, były jedyném zajęciem stojących u góry urzędników. Blumli zaraz mu dał uczuć, iż po nawyknięciu do pewnej swobody gęby

i mowy w Berlinie, gdzie król śmiał się z satyr i pamfletów, dozwalał paplać co się komu przywidiąło, byle słuchał i płacił, Saxonii wymaga nowej nauki życia. Tu mówić *de publicis*, a w ogólności co się w urzędowym języku nazywało „*raisonniren*“ najsurowiej było wzbronione. Rezonujący, szczególnie o podatkach i o sprawach polskich, dostawali się bez sądu do Koenigsteinu. *Nicht raisonniren!* było hasłem i maxymą! Za śmiałe słowo Fryderyk karciał czasem kijem, częściej śmiał się z niego, bo słowo dlań nie miało wagi. Sam on słowem tém kunsztownie władał i znał ile ono waży i może, a jak długo trwa.

Nieposłuszeństwo karał śmiercią, paplaniną pogardzał. Tu inny świat, cały zbudowany z fikcy i na kłamstwach, lękał się prawdy pękającej jak bomba, któraby tę budowę wątlą w gruzy obrócić mogła. Z jednej strony był cynizm posunięty do najostatniejszego kresu, bo do bezwstydu i szyderstwa z wszelkiego sromu; z drugiej fałsz ubrany za boginię pełną wdzięku, malowaną całą w szychach, w farbowanych strzępach pokrywających łachmany i uśmiechach sączących z siebie śmierć i truciznę...

Dwa takie światy musiały z sobą wystąpić do walki, choćby Szlązka do zdobycia i utrzymania, Czech do zawojowania, Saxonii do wyssania nie było. Zło w dwóch odmiennych postaciach, musiało wystąpić do boju i niszczyć się wzajemnie. Brühl

był reprezentantem najidealniejszym kłamstwa, Fryderyk cynizmu; ani dziw, że się nienawidzili... Ale Brühl nienawiść swą okrywał głębokiem napozór poszanowaniem; Fryderyk nazwiska nawet pierwszego ministra nie chciał wymówić nigdy, jednego tylko z wierzchowych swych koni przezwał Brühlem. Brühl spiskował przeciwko niemu pocichu, ostrożnie, wykrętnie, ściągając krok stanowczy do chwili ostatniej; Fryderyk gniewny nie chcąc go znać ani widzieć, zemstę zań kładł na barki Saxonii.

Mając za sobą Austryę, Francyę, Rosyę, Szwecyę, pierwszy minister był pewnym, że pokona ła-two Brandeburczyka. Nie trwożyło go to, że nad 15,000 wojska nie miał więcej; kilkakroć sto tysięcy otoczyć miało na dany znak Fryderyka. Spać więc na Brühlowskiej tarasie, w tém złocistém gnieździe mógł spokojnie. Tak mu się zdawało...

W Dreźnie nie zadawano sobie nawet pracy, zbyt skrzętnie się dowiadywać o to, co się działo w Berlinie. Tajemnica spisku i aliansów zdała się doskonale zachowaną. Nie domyślano się wcale, iż Fryderyk miał wszędzie swoich, co mu o najdrobniejszych donosili wypadkach; że z kancelaryi samego Brühla szły kopje wszystkich aktów i listów do Berlina: że najmniejszy ruch, myśl, plan, ledwie się zrodził, był zdradzonym. W Berlinie był niepokój pokrywany pozorem obojętności i zaufania

w sobie, w Dreźnie ślepotą dziwną i zarozumiałość niesłychaną.

Ale nad Spreą oddawna w najściślejszej tajemnicy czyniono przygotowania; bataliony i pułki ciągnęły nieznacznie na granice, małemi oddziałami, nocami, rozpierchłe, tak aby w kraju o nich niewiedzano prawie. Główna armia kupiła się pod rozkazy króla i jego wodzów, w przedpokojach pażowie szeptali już o Szlązku; lecz poza tarasę w Sans-Sousi nie wyszło ztąd nic. W Dreźnie tymczasem kupowano obrazy, gotowano się do nowej opery i król polował, a Brühl pieniądze przepychał, oblane łzami i potem biednych ludzi.

Simonis, który był chłopakiem pojętym, patrząc na to co się tu działo doznawał dziwnego wrażenia. To bezpieczeństwo, ta obojętność zdawała mu się na czemś opartą, a więc straszną. Lękał się więcej o Berlin niż o Drezno.

Sardanapalowski przepych ten, onieśmielał go i przerażał.

Poza nim nie mógł ani się domyślić ani uwierzyć w taką lekkomyślność olbrzymią, w takie zaślepienie niepojęte, jakie w istocie miał przed sobą. Blumli pozapoznawał go z urzędnikami otaczającymi Brühla i Brühlową: byli to wszystko panowie tak dumni, strojni, ukameryzowani, uperfumowani, wyłoceni jak ich pan i pani. Pieniądz zdawał się tu nie mieć wartości, a zdobycie jego było rzeczą silnej woli. Z rozmów pochwytywał, że gdy

potrzeba gwałtowniejsza wypadła, urzędnik akcyzy lub poborca, jechał z oddziałem żołnierzy na prowincyą i wracał z summą żadaną.

Co chwila szeptał mu Blumli: — Oto ten nie miał przed dwoma laty koszuli na grzbiecie, a dziś ma dwóch kamerdynerów i karetę.

Przebywszy ranek cały ze szwajcarem, Simonis zbogacony wrażeniami i pochwytanemi plotkami, pośpieszył do domu, gotując się do obszernej korespondencyi. Już miał wejść na trzecie piętro, gdy drzwi się otworzyły na drugiem i głucha Gertruda dała mu znak, że jęj pani prosi go do siebie.

Staruszkę zastał tym razem już nie w owym domowym czepcu białym ze wstążkami, ale w wysoko napiętrzonej peruczce, ubraną starannie, z mnóstwem pierścieni na palcach i wachlarzykiem w ręku. Stała w progu kiwając na niego, poza nią widać było młodzieuchną, rumianą, śliczną twarzyczkę dziewczeczki lat może ośmnastu, której puder jeszcze świeżości i barwy dodawał. Dalej stał poza nią w mundurze gwardyi saskiej oficer młody, niepowabnej ale marsowej twarzy, blady, żółty, jakby wymęczony, z konwulsyjnymi jakimiś poruszeniami, które mu nie dodawały uroku. Dzikie wejrzenie, wydymanie ust, ściąganie twarzy jakby mimowolne, długo nań bez przykrości patrzeć nie dozwalały. Rzuciwszy nań zdala tylko wzrokiem Simonis poczuł jakiś wstręt i obawę. Za to ta różyczka z oczyma niebieskimi, biała i różowa jak

cukierek, drobnych kształtów, śliczniuchna, zachwycała wchodzącego. Oczu od niej nie mógł oderwać. W pośrodku saloniku stół był właśnie nakryty na trzy osoby, a Gertruda, znać domyśliwszy się sama, czwarte niosła nakrycie.

— Chodźże waćpan, kawalerze de Simonis — odezwała się baronowa—ale chodź: czatowałam na niego. Mam tu gości a czwartego nam do stołu brakło: musisz zły obiad zjeść z nami.

I poczęła go prezentować, a potem wskazując na panienkę, odezwała się:—synowica moja, panna Pepita Nostitz (włoskie imiona były w modzie), tak zapalona Saxonka jak ja jestem Prusaczką. A to —dodała — mój dobry przyjaciel, pan kapitan baron Feulner.

Simonis skłonił się obojgu, ale na piękną Pepitę patrzył jak w tęczę, a że był młody i wiele miał też wdzięku, baronówna obdarzyła go wcale uprzejmém wejrzeniem. W każdym razie wołała pewnie patrzeć na niego niż na niespokojnie wywijającego twarzą barona Feulner'a, który tymczasem cienkiego wusa pokręcał, nie mając co począć z rękami. Staruszka kazała zaraz siadać do stołu i rozporządziła tak, że po prawej ręce miała synowicę, po lewej Simonisa, naprzeciw barona. Gość więc nasz wystawiony był na ogień tych oczów niebieskich, na pozór łagodny, pociągający, ale rodzący niepokój jakiś i prawie obawę.

Panna pomimo młodości swęj, a może właśnie

dlatego, że była niedoświadczoną, patrzała tak śmiało, uśmiechała się tak swobodnie, jakby ją nowy przybysz wcale nie obchodził.

— Mówże nam waćpan — odezwała się stara — gdzieś był? co widziałeś? kogoś poznał?

— Jeszcze myśli zebrać nie potrafię — odparł Max — po tylu wspaniałościach na Brühlowskim dworze, w głowie mi się zawraca.

Staruszka i Feulner spojrzeli po sobie znacząco.

— Tak — trącił Feulner — jeżeli się nie mylę, pan jakiś czas bawiłeś w Berlinie; po tamtej stolicy dziwnie się to wydawać musi. Przyznam się, że dla Saxonii wolałbym koszary niż teatr, i obóz niż galeryę.

Stara pogroziła na nosie.

— Kapitanie, *Nicht raisoniren!* Ostrożnie! Wprawdzie Gertruda głucha, ja milcząca, kawaler de Simonis obcy, ale Pepita, to papla i Prusaków nie cierpi. Myślę nawet, że i mnie kochać nie może jakby powinna, dlatego, że się Prusaczką urodziła.

— Ależ kochana stryjenko — przerwała porywczo ładna panienska — ja tak mało znam świat, że dla nikogo nienawiści mieć nie mogę, a że swój kraj kocham i że mi się tu wydaje lepiej, ładniej, miliej, czyż to grzech?

Staruszka pocałowała ją z daleka.

— Ja tobie wszystko przebaczam.

Gertruda wniosła zupę i rozmowa się przerwała na chwilę, ale oczy kawalera de Simonis prowadziły ją dalej z panną, która się wcale nie obawiała tój wymiany wejrzeń i nie spuszczała powiek przed natrętem. Czy się to kapitanowi Feulnerowi podobało, nie wiem; ale krzywił się straszliwie. Zaczęto mówić o dworze.

Pepita należała do frejlin królowej.

— Cóż tam porabiacie? — pytała stara.

— Modlim się i zbieramy plotki, bo czémżebyśmy żyły — odpowiedziała baronówna — nie wesoło u nas, za to na tarasie u ministra wszystkie wesele się chroni.

— Masz słuszność. O! udało ci się — zawołała staruszka — w istocie i wesele, i życie, i bogactwo tój biednej Saxonii pochłania...

Dziewczę się rozśmiało i przerwało stryjence: —
A! nicht raisoniren!

Baronowa się też rozśmiała. — Masz słuszność, o tём mówić nie wolno; choć stara, mogłabym pójść na wygnanie.

Kapitan Feulner jadł zupę, a z pod oka wpatrywał się w Simonisa... Znalazł zreczność wkrótce, pochyliwszy się ku niemu zapytać:

— Dawno z Berlina?

— Dni parę!

— Tam co słyhać?

— A! — rzekł Simonis — w Berlinie zupełnie nic nie słyhać... oprócz maszerowania żołnierzy...

— A w Sans-Sousi...?

— Jeszcze mniej: charciki króla szczekają.

— Żadnych nowin politycznych?

— Cisza zupełna...

Feulner się zamyślił.

— Dziwna rzecz: u nas nigdy się tak nie krzątało, jak dzisiaj, choć nie ma koło czego.

Spojrzał na Baronowę.

— Nie dziwiłbym się wcale, gdyby tam cisza pokrywała jakąś robotę, a nasza krzątanka osłaniała próżniactwo...

Spojrzenie stariej gospodyni zamknęło mu usta. Pepita spytała Simonisa, czy się bawiono nad Spreą....

— O balach i zabawach nie słychać wcale — odparł Simonis — królowa czasem przyjmuje po obiedzie... u księcia Henryka bywają zabawy huczne, ale na samym dworze nie byłoby się komu bawić...

— A stary Pöllnitz żyje też? — spytała baronowa.

— W najlepszym zdrowiu, może dlatego, że mu król gorzkich pigułek nie szczędzi — rzekł kawaler.

Kapitan Feulner zapytał o generała Lentulus'a i Warnery, baronowa o lorda Marichal, a po nich z kolei imiona Winterfeldta, von Anhalt, Coccei... wrywały się z ust, tak, że widać było, iż dwór Fryderyka nie był pytającym obcy.

— A widziałeśże pan kanclerzową Coccei? — spytała baronowa.

— Miałem raz to szczęście — rzekł Simonis.

— I wiesz waćpan, kto ona jest? — szepnęła pani Nostitz.

— Niegdyś słynna Barberini.

— Tak, tak, słyszeć musiałeś jęj historją — dodała z gadatliwością wiekowi właściwą baronowa — ja naówczas byłam w Berlinie i wiem ja najlepiej. Niech tylko Pepita nie bardzo słucha, to ją opowiem.

Uśmiejnęła się baronowa. — Mówią o Fryderyku, że się nie kochał nigdy, no, ale bałamut z niego, jak i drudzy... Któż nie wie, że z Drezna sobie Formereę zabrał i w Orzelskiej był na zabój zakochany... A pani Wrech...? tylko że u niego miłość zawsze trwa krótko. Już nie wiem, kto królowi zachwalił tak tę baletnicę, która się naówczas popisywała w Wenecyi... tę Signore Barbarę de Campanini, którą u nas przezwano Barberiną. Prawda, że Campanini naówczas już nietylko w Wenecyi, ale w Paryżu i Londynie w teatrze Common Garden zbierała oklaski. Zdaje się, że Bielefeld nią królowi nabił głowę. Pruski rezydent w Wenecyi już ją był umówił i kontrakt podpisał, na 7,000 talarów rocznie, gdy się jęj za Szkota Mackenzie za mąż wyjść zachciało. W Berlinie czekano na nią, a tymczasem... fru! panna uciekła.

Król sobie nie pozwala uchybiać łatwo, nawet

baletniczkom. Bawił naówczas na terytorium pruskiem, przeznaczony posłem do Londynu od rzeczypospolitej weneckiej Cavaliere Campello. Fryderyk zasekwestrował mu bagaże, póki mu Barberini nie wydano. Stał się hałas okrutny. Wzięto jejmościankę pod wartę i rzeczpospolita odprawiła ją do granicy austryackiej, zkad uprzejmie Austriacy ją odwieźli na granicę saską, a Sasi wręczyli ją w całości naszym Prusakom. Mackenzie jechał, wzdychając za nią.

Tymczasem przybyła z matką do Berlina. Kazano jej wystąpić; podobała się królowi: zamiast siedmiu dano jej dwanaście tysięcy talarów i kawaler szkocki został odprawiony.

Barberini nietylko była piękną, zręczną ale roztropną, dowcipną, wesołą i król do niej przychodził na wieczorki. Miała szczęście być zapraszana do „Confidencztafel“ razem z panią Brand i wdową po hrabi Truchsessie. Na maskowych balach u dworu, król też do niej chodził do łoży...

Nie przyznał się do tego Fryderyk nigdy, ale „Charmante Barberina“ tkwiła mu w sercu i listy od niego często odbierała. Kochali się w niej na zabój wszyscy, miała w kim wybierać. Rottenburg, hr. Algarotti, Cavaliere Chazot, bez miary Włochów, Francuzów, Rossyan, Anglików padało przed nią. Prawda, że była urocza... A co Coccei dla niej wyrabiał. Na jednej reprezentacji w teatrze dworskim, Signora tańcowała... Coccei zawsze stawał

w pierwszym rzędzie, żeby żadnego ruchu jej pięknych nóżek nie stracić.

Jednego razu obok siebie spostrzega drugiego takiego zapaleńca, który oczy wywraca i od przytomności odchodzi... Barberini kilka razy spojrzała na niego. Tego już Coccejowi było zanadto. Pochwyił go w olbrzymie ręce i cisnął, jak piłkę na scenę pod nogi barberinie.

Fryderyk patrzył z łoża, wszyscy struchleli; sądzono, że Coccei zginał. Ojciec poleciał na klęczkach błagać o przebaczenie... posłano go tylko do Głogowa do twierdzy, aby ostygł nieco... Coccei jest dziś jej mężem, ale czy on szczęśliwy, i czy ona nie wzdycha, nie wiem.

Staruszka zmordowana zamilkła wreszcie. W czasie tego opowiadania, którego nie wiem, czy Simonis słuchał z uwagą, oczy jego ciągle były zwrócone na piękną Pepitę, tak, że choć mało mówili z sobą, zrobili wszakże, jeśli nie bliską znajomość, to przygotowanie do niej, wiele obiecujące...

Staruszka, która lubiła mówić o przeszłości, już miała począć drugą historyjkę podobną, gdy kapitan Feulner sprowadził rozmowę na domowe sprawy.

Panna baronówna — rzekł — musisz to wiedzieć najlepiej: wszak się nie mylę, ktoś z Wiednia w tych dniach musiał być u królowej?

— Nie wiem dobrze o tém — odpowiedziała baronówna. Zresztą nie byłoby nic dziwnego, bo między królową a jej rodziną muszą istnieć stosunki.

— Słyszałem — dodał Feulner — że nigdy one częstsze i gorętsze, jak w téj chwili nie były. Popatrzał na baronową znacząco.

— Ja o tém sądzić nie umiem — szepnęła Pepita.

Tymczasem obiad skromny zbliżał się do końca, baron zdrowie gospodyni wypił z Simonisem.... przyniesiono owoce...

— Król Fryderyk ma najpiękniejsze w Niemczech gruszki, brzoskwinie i winogrona — odezwała się baronowa — i pewnie ich więcej spożywa, niż którykolwiek z jego poddanych.

Na tém się skończyła pogadanka u stołu, gdyż wstawać trzeba było, a Gertruda dawała do zrozumienia, iż dłużej czekać nie może. Podnieśli się więc wszyscy.

Kapitan zbliżył się do gospodyni, którą na chwilową, cichą rozmowę odciągnął ku oknu, a Simonis korzystał z téj zręczności, aby się zbliżyć do baronównęj i słów kilka z nią zamienić.

Oboje z naiwnością dziecinną niemal nie taili przed sobą, że się podobali sobie. Pepita spytała, czy zabawi w Dreznie; kawaler miał odwagę wyznać, iż radby ją widzieć znowu, a nie wie, gdzie będzie mógł spotkać.

— O! wszędzie! — odpowiedziało dziewczę — a najłatwiej u stryjenki...

Maxowi, nieskłonmemu wcale do łatwego zawrotu głowy, tym razem i serce biło, i młodość czuć się

dała ze swą gorączką. Dziewczę tak było ładne, a tak zdawało się przystępne i miłe...

Wśród bardzo żywej rozmowy, wpadła, śmiejąc się gospodyni i zawołała:

— O! o! proszę mi tylko nie bałamucić synowicy... bardzo proszę.

Z drugiej strony kapitan Feulner wziął go pod rękę i szepnął: Chodźmy: mamy do pomówienia z sobą.

Kawaler się żegnał z paniami, choć niechętnie, gdy baronowa przystąpiła do niego i cicho na ucho dodała:

— Polecam wam kapitana!!! To *nasz* dobry przyjaciel.

Z tém wyszli; kawaler niedobrze zrozumiał, co miało znaczyć to wyrażenie, gdy baron zażądał, aby razem wstąpili na górę. Simonis zgodził się na to chętnie... Milcząco przeszli schody, i gdy się w pokoju na spoczynek wygodny u okna rozsiedli, kapitan, obejrzawszy się dokoła, pochylony ku Simonisowi, mówić zaczął głosem zniżonym:

— Baronowa mówiła mi o panu... wiem, że mu zaufać mogę. Nie potrzebuję od niego żadnych zwierzeń, ale sam usłużyć może potrafię informacją potrzebną...

Simonis zdziwił się trochę...

— Niech to pana ani trwoży, ani zdumiewa — spokojnie począł baron — we wszystkich warstwach, u góry i u dołu, znajdziesz pan ludzi, któ-

rym ten stan kraju dokuczył, i których sympatye są gdzieindziej. Jest nas tu więcej, niż sądzisz, co pracujemy, aby nieznośnemu uciskowi i wyzyskiwaniu kraju przez niegodną gawieź, koniec położyć...

— Myśmy protestanci, dwór jest katolicki; ale niechby był czem chciał, gdyby Boga miał w sercu. Gdybyś przejechał Saxonią i zobaczył jej nędzę, a postawił ją przy tym zbytku i marnotrawstwie jakie tu panuje, pojałbyś dopiero co mamy w duszy. Muzyka odzywa się nam jękiem, myśliwskie rogi chrapaniem konających... Po tych galonach złotych płyną łzy ludzkie. Tak dłużej być nie może. Król nie winien nic, to stare dziecko, które kołyszą, aby nie płakało, a gdy zapłacze, dają mu niedźwiedzia, tak jak dziecinie lalkę...

Baron wstał i odetchnął, a czoło potarł...

— Jestem wojskowym — dodał — wojsko bezpłatne, umiera z głodu... z głodu nęka włościanina i miasta... Wolno mu wszystko, byle się o żołd nie upomniało. Wojsko to nic nie jest warte... Ubrane w paradne mundury, może z daleka błyszczeć, ale dwóch tygodni kampanii nie wytrzyma...

Simonis słuchał nie śmiejąc się odezwać.

— Możesz mi wierzyć, że mówię prawdę i na wiarę słów moich *pisać*.

Tym wyrazem dał uczuć Simonisowi, iż jest wtajemniczonym. Kawaler chciał zaprzeczać, Feulner się rozśmiał...

— Pochwalam waszą ostrożność, ale ona ze

mną nie jest potrzebną — dodał. Zkądżebym wiedział o was, gdyby mi znać nie dano, że otwarcie mówić mogę.

— Na mnie, na wielu innych rachujcie — dodał kapitan. — W Berlinie wiedzieć powinni wszystko. Na nas tu są oczy zwrócone, wy jesteście tu obcy, przez was płynąć tam powinny informacye... Ostrożność jednak nie zawadzi. Słodki Brühl nie waha się sprzątnąć człowieka, gdy mu zawadza, a potem w katolickim kościele i w ewangelickim odprawi zań nabożeństwo...

W przysłym liście piszcie, co słyszycie i widzicie. Zapewnijcie, że traktat w imieniu Saxonii nie jest podpisany, ale ta formalność nic nie znaczy... Brühl związany jest z Austryją i Francją, to nie ulega wątpliwości. Jeśli Fryderyk da im czas wojska zgromadzić i obsaczyć siebie, zginął, a z nim i monarchia pruska.

W ten sposób, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, kapitan Feulner mówił długo jeszcze; wreszcie wziął za kapelusz i pożegnawszy Simonisa, wysunął się od niego...

Rozmowa ich z sobą trwała z godzinę: dzień był jeszcze jasny, piękny, i kawalerowi nie chciało się wziąć do pisania, które rad był odłożyć do nocy. Po krótkim więc wahaniu, wyjrzawszy oknem i widząc, że kapitan był już daleko, Simonis wziął za kapelusz, myśląc pójść obejrzeć okolice. Mówiono mu wiele o bażantarni... Było to wspaniałe

dzieło Augusta Mocnego, jego *Parc aux cerfs*, w którego pustych teraz domkach, dwóch jezuitów i kilku Włochów zamieszkiwało.

Już się spuszczał zwolna ze schodów i minął był drugie piętro, gdy za nim drzwi się otworzyły, zaszeleściła suknia jedwabna i serce mu powiedziało, wprzód nim się obejrzał jeszcze, że piękna Pepita wychodziła.

W istocie onato była... Stara, głucha Gertruda, otulona chustką, służyła jej za towarzyszkę. Simonis się zatrzymał, podnosząc kapelusik i chciał ją puścić przodem, aby mieć przyjemność jeszcze raz spojrzeć w te prześliczne oczy... Panna baronówna przyspieszyła kroku, spojrzała nań i zrównawszy się z nim, po chwili wahania, zaczęła iść powoli, miejsce mu zostawiając obok siebie.

Simonis nie śmiał jej zaczepić słowem, dziewczę było odważniejsze od niego.

— Rada jestem, że się spotykamy, kawalerze de Simonis — rzekła nieco zniżonym głosem... — Przyznam się panu, nie bierz tego ze złej strony, ani zbyt pochlebiaj sobie: obudziłeś pan sympatyą we mnie.

Simonis zarumienił się cały. Pepita spojrzała nań i rozśmiała się dziecinnie.

— Ta sympatyja jest powodem, że pana przestrzedzbym chciała. Tak: przestrzedz... chociaż się wydaję takim młodym trzpiotem, jak mnie pan wi-

dzisz: przy dworze prędko ludzie starzeją. Otóż? jakby to powiedzieć panu?? Stryjenka nadto lubi Prusaków... jej to wolno... lękam się, aby kapitan także nadto się w nich nie kochał. Niezmiernie mi łatwo się domyśleć, co pan tu robisz i poco przyjechałeś w tej chwili.

— Pani! Ja podróżuję! ja nie mam innego celu, nad miłe przepędzenie czasu i naukę...

— Oh! oh! — rozśmiała się panna — a przybyłeś z listem do stryjenki? Nie mówmy o tém: ja dużo widzę, choć młode mam oczy.

Mówią o nas, że tu wszyscy ślepi... że się tak szalenie bawimy, iż nie poczujemy, jak nam pod stopami runie posadzka balowa. Może to być... potrosze; ale są ludzie, co patrzą i czuwają. Stryjence się nic nie stanie: kapitana Feulnera już bardzo mają na oku; wiem o tém ale go przestrzedz nie mogę... Co mi tam!

Panaby mi żal było... gdybyś się tam dostał — szepnęła ciszej — zkąd powrócić trudno... trudno.

Spojrzała mu w oczy...

— Pan jeszcze może nie jesteś w niebezpieczeństwie, ale za jutro nie ręczę. Szkodaby mi was było.

To mówiąc wstrzymała się jakby przestraszona, obie ręce przyłożyła do ust; potem jedną z nich chwyciła rękę kawalera i rzekła żywo:

— Słowo rycerskie, że mnie pan nie zdradzisz!

— Pani, byłebym najnikczemniejszym z ludzi? Przysięgam!

— Bądź ostrożnym...

I szybko, tak że osłupiały Simonis gonić jej nie mógł, zbiegła po schodach na dół nie oglądając się nawet. Gertruda mruczac i chwytając poręcze, przeklinając trzpiotowatą młodość zesłała za nią, a Simonis powoli, nie mogąc przyjść do siebie, spuścił się za niemi i wyszedłszy w ulicę, już ani śladu pięknej panny i jej towarzyszki nie znalazł; ukryły się gdzieś za kamienicami.

Niespodziana ta przestroga, równie jak rozmowa z kapitanem, dawały mu tyle do myślenia, iż nie rychło się poruszył, aby iść dalej. Max nie był nazbyt odważny a z natury przebiegły raczej, nawykł był każdą czynność obrachowywać wprzód bacznie. Wdzięcz en był pięknej panience, lecz przestroga ta szyki mu mieszała; potrzebował surowo roztrzaskać wprzód co mu dalej czynić wypadnie. Uspokajało go to jedno, że na pokrycie skrytych celów podróży, miał znajomość z Blumli i stosunki jakie się mu przyrzekał wyrobić na dworze Brühla. Ostrożność kazała może opuścić mieszkanie u baronowej, ale z niem razem potrzeba się było wyrzec spotkania i widzenia z piękną Pepitą, a niebieskie jej oczy nadto głęboko tkwiły mu już w młodém sercu. Nawet ta przestroga tak śmiała, mocniej go jeszcze przywiązywała do niej. Cóż po-

czać było? Czy wzgardzić niebezpieczeństwem, czy uchodzić od niego?

Nie szło tu zresztą o osobę samego pana kawalera, choć i ta wielce mu była drogą, ale o sprawę, którą zdradzićby musiał, o zawód, jakiby uczynił. Jakkolwiek obrachowany i przygotowany do dorabiania się w świecie jakimkolwiek kosztem stanowiska, Simonis jeszcze poczuwał się do obowiązku wierności téj sprawie, której raz się był podjął.

Na słońcu i owiany powietrzem, spojrzawszy na wesoły świat, odetchnął jakoś swobodniej; groźba w ciemnych schodach na ucho mu rzucona przez ładną panienkę, wydała się czczym postrachem! Pięknej Pepicie przywidywało się chyba. Wszystko co dotąd tu widział, okazywało taką obojętność, taką apatyę jakąś, iż szpiegowanie obcych wydało mu się niepodobieństwem.

Poradzić się nie miał z kim.

Beguëlin nie był człowiekiem do rady i nie budził zaufania; kapitanowi tak świeżo poznanemu zwierzyć się było niepodobieństwem. Simonis rozmyślał jeszcze, gdy na zawrocie z rynku, który przechodził powoli, spostrzegł owego milczącego staruszka, współtowarzysza podróży z zaciśniętymi ustami, z którym razem przybył do Drezna. Przebrany był teraz daleko wytworniej i przedstawiał się jako poważny stary urzędnik, co najmniej radzca gabinetowy, a mina z jaką poglądał na ludzi, świadczyła, że nad nich wiele wyższym się

mniemał. Szedł zwolna, nie śpiesząc, opierając się na lasce z gałką złoconą, jak człowiek, który nie ma nic do czynienia i któremu wcale nie jest pilno. Oczyma powlekał po domach ulicy, przechodniach, a niekiedy machinalnie sięgał do kieszeni, dobywał z niej tabakiery i pociągał hiszpanki, której ślady starannie z kamizelki strzepywał.

Zagadkowa ta postać postrzegła znać i poznała towarzysza podróży, z uwagą w niego wlepiła oczy, i zdawała się nawet chcieć przybliżyć. Simonis nie doświadczywszy w drodze najmniejszej ze strony jego grzeczności, nie myślał wcale zabierać znajomości. Lecz że z zasady był grzecznym dla wszystkich, pamiętając, iż go uczono, jako nigdy przewidywać nie można, kto kiedy komu przydać się może, mijając starego dziadka od orzechów, przyłożył rękę do kapelusza i pozdrowił go idąc dalej.

Stary oddał ukłon ten daleko uprzejmiej niż się po jego obejściu w podróży spodziewać było podobna, przyspieszył nieco kroku i dogonił kawalera.

— Jakże panu podróż posłużyła? — zapytał dziwnym głosikiem cieniuchnym — jak się nasze Drezno podoba?

Zdziwiony trochę Simonis odparł, że czuł się zdrów, i że stolica Saxonii, którą znał mało, wielce mu się zdawała powabną.

— A tak! tak! my Drezdeńczycy możemy się nią pochlubić — rzekł stary. — Jak mnie pan widzisz, z dziadów, pradziadów tutejszy jestem, rzadko

wyjeżdżam, a i tym razem — tu zniżył głos — tym razem przypadkiem tylko byłem w Berlinie, odwiedzić chorego przyjaciela. Co gorzej — szeptnął zafrasowany — będąc urzędnikiem, pojechałem bez pozwolenia, bez wiedzy moich zwierzchników, i radbym, żeby o tej podróży nie wiadano wcale. Dlatego to ośmieliłem się go zaczepić, w przypadku gdybyśmy się gdzie w świecie spotkali, obliguję mocno, abyście mnie nie wydali.

— A! panie — rozśmiał się Simonis — nie mam szczęścia go znać, mało gdzie bywam i wątpię, ażebyśmy się spotkali. Daleko prędzej inni towarzysze podróży...

— O! co! — rozśmiał się stary — to są ludzie ze sfer innych: rzemieślnik, aktorka, z temi się pewnie nie znajdę nigdy razem i o tych mi nie idzie.

— Co do mnie — rzekł Simonis — możesz pan być spokojnym.

— Pan tu długo myślisz pozostać? — spytał stary — i, jeśli wolno spytać, jaki cel jego podróży?

— Na pierwsze pytanie odpowiedzieć mi dosyćby było trudno — odparł Simonis — co do drugiego, odgadniesz pan łatwo. Jestem młody, szukam zajęcia. Nie znalazłem go w Berlinie, któż wie?

— Masz pan znajomych?

— Ziomków — rzekł de Simonis. — Jestem

Szwajcar, nas wszędzie pełno. Piękny kraj nasz mało daje chleba, instytucje republikańskie pozabiają nas dworu. Młodzież nasza służby po świecie szukać musi.

Stary słuchał z uwagą.

— Tak, tak! — rzekł głosem suchym — mamy dwór liczny, a Jego Ekscellencya pierwszy minister żyje też po monarchicznemu. Dlaczego by się pomieszczenie znaleźć nie mogło. Talenta pewnie są...

— Młodość! siły! ochota! — odpowiedział Simonis.

Rozmawiając tak szli dalej ku bażantarni i już się znajdowali wśród pola, które przegradzało las od miasta, gdy w ulicy bocznej zjawił się kapitan Feulner... i niezmiernie zdziwiony, zobaczywszy Simonisa w towarzystwie starego, podniósł obie ręce do góry.

— Jakto, panie radzco, już i wy tego kawalera znacie? a to przedziwnie!

Twarz starego pobladła, jedną ręką dał jakiś znak mówiącemu, drugą machinalnie sięgnął nie nie odpowiadając po tabakierkę.

Simonis stał zdumiony.

— Zupełnie przypadkowe spotkanie — odezwał się powoli radzca — zupełnie przypadkowe: pierwszy raz w życiu! Ani ja nie wiem z kim miałem honor rozmawiać, ani szanowny ten pan.

— A to więc chyba Opatrzność was zbliżyła — zawołał Feulner — pan radzca Mentzel senior; ka-

woler Max de Simonis. Mocno go panu radzcy polecam: jest domownikiem baronowej Nostitz, to dosyć.

Radzcy się twarz nieco rozjaśniła, ale usta stały zaparte. Feulner wnet zmienił przedmiot.

— *A propos* — dodał — ta dzierlatka, która nam przy stole swobodniej się rozgadać nie dozwoliła, przestrzegam cię kawalerze, abyś się jój zbałamucić nie dał. Trzeba być ostrożnym. Dziewczyna, choć synowica baronowej, a raczej jój męża, ale wcale odmienne ma przekonania. Ciałem i duszą przy dworze. A umysł żywy! domyślne dziecko i, zapalone. Więc miejcie się za ostrzeżonego.

Radzca pochylił się do ucha kapitanowi, poszeptali coś z sobą i skłonił się raz jeszcze Simonisowi.

— Ale czy we trzech, moi panowie, bezpiecznie nam tak wędrować o białym dniu? jak myślicie? — zapytał.

— Panowie na to lepiej odpowiedzieć potraficie — odezwał się Simonis — ja się do ich rozporządzenia zastosuję.

Prawdę mówiąc i jemu się nie bardzo chciało narażać, od czasu otrzymanej przestrogi; namyśliwszy się więc dodał:

— Jak tylko taka wątpliwość zachodzi, czy nie lepiej iść z osobna?

Feulner ruszył ramionami: — A zapewne, chociaż to mi wszystko jedno.

— Mnie zaś — mruknął Mentzel — zupełnie nie jedno.

Simonis już podniósł kapelusik i dokoła się zęgnął nadrabiając uśmiechem, chociaż niebardzo był spokojny i niezbyt wesoły.

Na dobitkę stary Mentzel z myślą czy bez myśli, wskazując odkryty z miejsca w którym stali, widok na Szwajcaryę saską, rzekł niby obojętnie:

— Patrzcie panowie, wszak to tam we mgłach, hen! hen!... widzicie, to Königstein.

— Tak, to Königstein — mruknął ramionami ruszając Feulner.

Simonis się mimowolnie zatrzymał.

— Ilu to tam człowiek miał i ma znajomych — mruczał Mentzel jakby dla nauki Simonisowi — baron von Beneda-Netzky, siostrzeniec hrabiniej de Bellegarde, z domu Rutowskiiej: wszak znajomy i wam kapitanie Feulner.

— Towarzysz broni! — bąknął lakonicznie kapitan.

— Jan August Heerwagen, syn radczyni Hausius, już powtórnie; znajomy także.

— Od dzieciństwa! — rzekł kapitan.

— Kamerherr i obristleitnant hr. Kollowrat, synowiec hrabiniej Brühlowej; — hm! — chrząknął stary.

— Czyż być może? — wyrwał się Simonis.

— Jak mnie pan widzisz żywym — odparł

Mentzel spokojnie — ale mój rejestr wspomnień nieskończony.

Hrabia Chrystyan — mówił dalej jakby czytał z papieru — Traugott Holzendorf, syn hrabiego i nadradzcy konsystorza, szwagier syna hrabinęj Cosel, chorąży od dragonów, pewnie znajomy wam, panie kapitanie?

— Towarzysz broni — rzekł z pogardliwym uśmieszkiem Feulner.

— Dalej, czekajcie panowie, mam jeszcze kilku: zaraz — mówił stary stukając laską o ziemię — pułkownik Henryk Levin von der Osten, mówią, że skradł pieniądze pułkowe; ale kapitanie Feulner, czy też to być może?

— Trudno, bo od lat trzynastu pułki nasze żadnych pieniędzy nie widziały.

Mentzel się począł śmiać.

— Nie wiem o tém — rzekł — ale na honor, kilka jeszcze imion przychodzi mi na pamięć.

— Kapitan Petter Ernest L'Hermet, baron du Cailan, za jakąś historią *adulterii et blasphemia-rum!* To jeszcze szczęście — dodał Mentzel — bo *in puncto adulterii*, prosty człowiek głową nakładał wedle prawa, ale baronowie...

Feulner przerwał:

— Potwarz na niego rzucono: to mój przyjaciel.

— Winszuję — dokończył stary — ale to jeszcze nie koniec. Nie liczę pp. von Roebel i von

Zedtwitz, bo ci już muszą być wolni, ale nie mogę opuścić kapitana d'Elbée i junkra Abels, syna mojego dobrego przyjaciela pana radzcy wojennego.

Kończąc to wskazał jeszcze raz na Königstein, zdjął kapelusz i rzekł z przyciskiem:

— To... Königstein. Żegnam panów moich.

Kapitan wszedł w boczną ulicę, a Simonis pozostał sam jeden.

* * *

Była godzina szósta rano. Okno gabinetu pierwszego ministra, wychodzące na ogród i na taras, na Elbę i zielone łąki u jej brzegów, było otwarte; świeże powietrze poranku niem się wciskało: wspaniały widok na Nowe miasto, na dalekie góry ztąd się roztaczał.

Brühl, który tylko co był wstał z łóżka i wdział przepyszny szlafrok z materyi chińskiej, a na głowie miał peruczkę ranną bez pretensyi, jedną z półtora tysiąca, jakie zawsze były w zapasie; patrzył machinalnie na krajobraz, ale twarz miał jakąś posępną i zamyśloną.

Na stoliku leżał list otwarty, do którego kilka razy powracał; brał go w rękę, czytał i rzucał z pewnym rodzajem gniewu, jakby go zrozumieć nie mógł.

Na twarzy wszechwładnego ministra lata ubiegłe mało zostawiły śladu: miała ona jeszcze jakiś fałszywy odbłysek młodości, chociaż zarysowywały

się na niej fałdy i cera przybierała ten pozór miękiego grzybka, którym piętnuje człowieka znużenie i zużycie.

Na zegarze Nowego miasta właśnie dobijała szósta.

Gabinet był widocznie do pracy i dla interesów przeznaczony. Ogromne biuro cylindrowe, w tej chwili otwarte, pełne stało porozrzucanych papierów, na stołach także leżały pliki. Brühl zdawał się oczekiwać na kogoś. Zapukano zlekka do drzwi i gdy się te otworzyły, wsunął się raczej niż wszedł o kiju, nogami już powłóczący, zestarzały, z dobrotliwym uśmiechem na ustach, w szarym, długim cywilnym surducie Pater Guarini.

Brühl podbiegł prędko i chwyciwszy go za rękę, pocałował w nią, a jezuita dotknął ustami jego ramienia i oczy nań podniósł zwolna.

Minister podsunął mu krzesło, które starzec zajął prędko.

— Piękny dzień — rzekł cicho — *belissima giornata*.

— Tak — bezmyślnie odparł minister, który stanął przed nim — ale i piękne dni chmury mają. Nim nadejdą ci, których wezwałem, kochany Ojcze, nie mam dla ciebie tajemnic: spojrzycie co Fleming już mi po raz drugi z Wiednia pisze.

O. Guarini dobył szybko okularów i włożywszy je, z uwagą podane pismo odczytywać zaczął. Na twarzy jego przebiegały niezrozumiałe jakieś wra-

żenia, które pismo wywierało; wykrzywiała się, przeciągała, marszczyła; ale nie rzekłszy słowa, ramionami ruszył i list oddając Brühlowi rzekł: — nie rozumiem.

— Ja także — ręce rozkładając szeroko, zawołał minister — potwarz, intryga, chęć pochłubienia się wielką zręcznością; kłamstwo może.

— Nie, Flemingby nie kłamał — dodał Pater Guarini — słyszałem u królowej, że jej coś podobnego pisano z Wiednia.

Brühl się nasrożył. — Cóż to do królowej J. Mości należy?

— Ona się też do tego nie miesza — rzekł Ojciec — ale gdy jej piszą... Mój Brühl... zdrajców jest pełno, mogą być i u ciebie.

Zamilkł na chwilę i dodał:

— *Dio mi guardi la quella gatta, che davanti mi lecca e di ctro mi sgraffia...* (Niech mnie Bóg strzeże od takiego kota, który z przodu mnie liże a z tyłu mnie drapie).

Zapukano do drzwi i pogodna, roztropna, pełna sprytu, ale niemiłego wyrazu twarz vice-królem zwanego Globiga ukazała się we drzwiach. Z nim razem szedł drugi powiernik ministra, Hennicke.

Brühl odwrócił się ku nim.

— Panie radzco — odezwał się do ostatniego — uczynicie mi tę grzeczność, zapowiedzcie, aby nikogo nie wpuszczano tu więcej. Tajemnica *statutis...* wezwałem panów na poufną radę.

Hennicke na chwilę się wychylił i powrócił niemięj szybko.

— Nim zaczniemy o tém mówić — odezwał się Brühl z powagą przybraną i wymuszoną — proszę panów, abyście te dwa listy hr. Fleminga odczytali. O pierwszym nie mówiłem nikomu lekce to ważąc, drugi nas zmusza do narady.

Globig z wprawą człowieka, który długiego pisma nie potrzebuje całego czytać by odgadł treść jego, szybko przebiegł oczyma podane sobie papiery. Stojący za nim Hennicke, zmrużywszy oczy, oblizując się, również szparko szukał treści... Brwi mu się namarszczyły. O. Guarini wpatrywał się w obu milcząc.

— Krótko mówiąc — podchwycił Brühl — rzecz jest następująca: Fleming donosi nam z Wiednia jako rzecz pewną, niezawodną, dowiedzioną, że wszystkie nasze depesze tajemne, jakie odbieramy od posłów z Wiednia, z Petersburga, Paryża, Londynu, słowem zewsząd... w kopiach są z naszej kancelaryi udzielane sekretnie do Berlina.

Globig wykrzyknął:

— Kłamstwo! to nie może być!

— Nie może być! — ponuro powtórzył Hennicke — a naprzód, jakżeby o tém wiedziano w Wiedniu?

Brühl mówił dalej namarszczony.

— Kancelarya Cesarzowej J. Mości, ma, albo przynajmniej chwali się takimi stosunkami, iż wie

jak trawa rośnie w Berlinie i co J. Kr. Mość Fryderyk II-gi wieczorem w Sans-Sousi, mówi generałowi Lentulusowi na ucho!

Ruszył ramionami.

— Cesarzowa, jak mi pisze Fleming, obawiając się czy wiedeńskie depesze po drodze gdzie nie są przejmowane, nakazała najsurowsze śledztwo; czyniono je w Wiedniu i w Pradze: najmniejszego nie znaleziono śladu.

— Ale i u nas się nie znajdzie śladu — zawołał Globig gorąco — mnie idzie o mój i o honor moich urzędników. To wprost być nie może. Szafa, w której się mieszczą depesze sekretne dyplomatyczne jest pod moim kluczem, klucz ten na chwilę mnie nie opuszcza.

To mówiąc Globig dobył z kieszeni pęk i wskazał misterny spory klucz, który natychmiast schował.

— Depesze — dodał żywo — mogą być gdzieindziej łapane; nie wiem... ale nie z pod tego klucza.

Co więcej, szafa stoi w sali, w której kilku kancelistów pracuje. Tajny kancelista Mentzel prawie jęj nigdy nie opuszcza.

— A jednak... — rzekł Brühl.

— A jednak — powtórzył Guarini — *si muove qualete cosa.*

Hennicke rękami strzepnął jakby z rozpacz.

— Rzecz dla nas najwyższej wagi — mówił Brühl — nieskończonej doniosłości... Jeżeli w Ber-

i złoży półtorakroć sto tysięczną armią. Jakże się potrafi oprzeć napaści ze trzech, ze czterech stron?

Jest zgubiony — mówił żywo Brühl — to rzecz oczywista, na dłoni... ani pieniędzy, ani ludzi, ani żywności nie ma. Zgubiony, powtarzam... Ale trzeba aby nasze plany dojrzały, abyśmy mieli czas nastawić pułapkę na tego szczura.

Guarini patrzył na mówiącego z uwagą, minister się rozgrzewał, zapalał i zwycięstwo już go zawczasu rozpromieniało. Globig i Hennicke słuchali potrząsając głowami.

— Na wszelki wypadek — odezwał się Globig nieśmiało — o naszym wojsku pomyślećby też potrzeba.

— Zawczasem jeszcze — rzekł lekceważąco Brühl — zawczasem. Fleming mi zaręcza, że w ciągu tego roku nic się nie pocznie, mocarstwa sprzymierzone planu jeszcze nie zakreśliły i tak rychło na Prusy nie napadną. Czego się mamy spieszyć? Wojsko nasze jest w stanie świetnym, zaręczał mi to generał Rutowski; sam widzę...

Doradcy zamilkli.

Do wiosny nie mamy się wcale czego lękać; czas jeszcze na wszystko.

Domawiał tych wyrazów, gdy do drzwi pukać zaczęto.

Brühl się rozgniewał.

— Mówiłem by nie wpuszczano nikogo.

Hennicke pobiegł do drzwi i wrócił z kopertą wielką pieczęcią zalepioną.

— Depesza z Wiednia!

Niecierpliwie ją rozpieczętowując Brühl poszedł do okna. Ze zwykłą sobie szybkością przebiegł ją oczyma; O. Guarini, który nań patrzył, dostrzegł, że brwi mu się ściągały.

— Oni tam w Wiedniu jakiejś dostali gorączki—odezwał się Brühl—Fleming mi donosi, że król pruski zapytuje już ich o przyczynę przygotowań wojennych. Zwietrył więc coś... Mogą mu odpowiedzieć przecież, że żadnych nadzwyczajnych nie robią. Ruchy wojsk zawsze się dają tranzlokacją tłumaczyć.

— Wszystko się daje tłumaczyć—szepnął Guarini—*ma questo diavolo* niczemu nie daje wiary.

Minister chodził po pokoju zamyślony, jakby już myślami był gdzieindziej. Globig i Hennicke szeptali między sobą.

— Radzco Globig—odezwał się Brühl—proszę o największą tajemnicę co do naszych depeszy; ale trzeba mieć oka na wszystkich, na wszystkich... Czas abyśmy i my, jak Fritz nauczyli się niewierzyć nikomu.

Hennicke przyszedł coś mu poszeptać do ucha.

Guarini oparty na lasce dumiał milcząco. Globig ręce pod frak włożywszy przechadzał się po gabinecie. Milczenie trwało dobrą chwilę, poczem vice-król z Hennickem pożegnał się i wyszedł.

Brühl ziewając padł na kanapę, na białym ręku składając znużoną głowę.

Ojciec Guarini patrzył nań z jakimś uczuciem, którego natury trudno było odgadnąć.

— A—odezwał się Brühl—służba ta prawdziwy krzyż, ludzie zazdroszczą, nikt nie wie co ona kosztuje i jak cięży. Ma to pozory świetne, a ani chwili pokoju.

— *Onus pro peccatis!* — uśmiechnął się Jezuita — dałbyś pokój, jam to już słyszał... Cóż dziś? opera, koncert, polowanie, strzelanie do celu?...

Brühl spojrział na notatkę leżącą na stole.

— Opera — rzekł.

— A! to moja sprawa potrosze—począł Guarini, ałem ja już ociężał nawet do tego. Namby nowych sił potrzeba, nowych śpiewaków i śpiewaczek.

— Król starych swych lubi najlepiej.

— Ale ci chrypną coraz, jak ja — dodał Guarini i wstał powoli z fotelu.

— O której idziesz do króla?

— Jak zwykle, przed dziewiątą.

Guarini się zabierał do wyjścia, Brühl go przeprowadził aż do drzwi salonu. Zaledwie wrócił do gabinetu, gdy bocznemi drzwiami wsunęła się niepokieszna figurka. Liberya królewska wskazywała, że to był prosty lokaj z przedpokoju, ale lokaje naówczas nadzwyczaj ważne grali rolę.

Z większą daleko uprzejmością, niżby się spodziewać było można, Brühl się zbliżył do wygalowanego słuźalca.

Był to jeden z tych co pod pozorem słuźby Króla J. M. pilnowali, aby się do niego nikt dotcisnąć nie ważył, nikt nie przemówił, nikt papieru nie podsunął. Pocichu poszeptał z ministrem i zniknął.

Szeregiem po tem zjawiać się zaczęli: brat ministra tajny radzca Fryderyk Wilhelm, za nim w. koniuszy dworu Jan Adolf Brühl, generał Brühl, szwagier ich Berlepsch, hr. Kolowrath i mnóstwo innych kreatur tego wszechmogącego człowieka. Każdy jakiś raport, żądanie, radę, plotkę przynosił.

Na srebrnych tacach przyniesiono jeden list od hr. Moszyńskięj, drugi od hr. Sternberg, żony posła austryackiego. Na chwilę zjawił się też z uśmiechem na ustach, piękną i pełną życia twarzą młody syn ministra Alojzy, a gdy wszystko to przeciągnęło, i trzy kwandranse na ósmą zegar wydzwonił, czas się było ubierać. Toaleta zajmowała okrągłą godzinę, a przed dziewiątą Brühl już u króla być musiał.

Gdy czas ten nadchodził, August się niecierpliwił, patrzył na drzwi, brakło mu faworyta i rad też był odbyć swą pańszczyznę, to jest popodpisywać, co mu przynoszono do podpisu.

Ceremonia ta odbywała się codziennie jednako: August zobaczywszy stos papierów, wzdy-

chał, siadał do stolika, próbował pióra i niezaglądając wcale ani pytając o treść aktów, z wielką pilnością a żwawo opatrywał je w podpisy. Z twarzy J. Kr. Mości widać było, iż czuł jak ogromnie pracował. Czasem za dwudziestym „Augustem“ wzdychał i spoglądał na Brühla, Brühl się uśmiechał z kondolencyą.

— Trudy panowania, N. Panie — szeptał. I król westchnąwszy raz jeszcze, pisał dalej z wielkiem poczuciem świętego obowiązku jaki spełniał.

Tego dnia też zupełnie się to prawidłowie odbywało. O. Guarini przypatrując się manipulacyi téj na stołeczku siedział.

Za piętnastym podpisem, jakby go co tknęło, August podniósł dobroduszną twarz i spytał żywo, jak zwykle:

— Brühl, mam ja pieniądze?

— A jakże, N. Panie!

Szło tedy dalej swym trybem.

O Austrii, o przymierzach, o Fritzu i tym podobnych fraszkach wcale tu mowy nie było.

Gdy ostatni arkusz został podpisany, królewska twarz wyjaśniła się wyraziście, oczy zabłysły, rzucił pióro i wstał z pewnym rodzajem tryumfu, po dokonaniu wielkiego dzieła.

— Brühl — rzekł — teraz o najważniejszych sprawach... Potrzebuję pieniędzy; Giovannini mi cuda obiecuje z Bolonii. Ten obraz Bagnacavalli

znam, trzeba mi go nabyć koniecznie; Algarotti ma też piękne rzeczy.

— Algarotti zawiele żąda za nie — odezwał się minister.

— Za takie cuda i arcydzieła sztuki, zawiele żądać nie można! — rzekł August żywo. — Crespi kupił dla mnie Ninusa i Semiramidę, Guido Reniego. Trzeba się za to ks. kanonikowi wywdzięczyć.

To arcydzieło!

I mówiąc to król ręce złożył jak do modlitwy.

— Wszystkie rozkazy W. Kr. Mości będą spełnione — rzekł z niskim ukłonem minister.

— Inne wydatki... fraszka, mój Brühl; ale ty to pojmujesz! to zrzeczności jedyne: drugi raz się nabycie takie nie trafi... Ja to muszę mieć...

— W. Kr. Mość będziesz to miał...

— Dziesięć tysięcy skudów to nic! to bagatela za takie arcydzieło.

Brühl potakująco głowę schylił.

— N. Panie — przerwał zbliżając się Guarini — dziś mamy *Cleofide*.

— A! a! — zawołał August — bardzo lubię tę operę, ale *Solimanna* więcej jeszcze. Hasse w nim sam siebie przewyższył, Amorevoli, Monticelli, Puttini i „la diva“ jak w nim śpiewają!

Twarz królewska przybrała taki wyraz błogości, ekstazy, zachwytu, iż tylko Guarini i Brühl mogli na to pełne, okrągłe oblicze, żywym rumieńcem

oblane, a tak dziwnie rozpromienione patrzeć bez uśmiechu, politowania i szyderstwa.

Rozmowa i zachwyt zmęczyły wreszcie N. Pana, który fajkę sobie podać kazał. Siadł w krzesło i z oddaniem się tej nowej fantazyi, dym z niej łąpczywie puszczać zaczął. Nie godziło mu się błogosławię tego a niewinnego zajęcia przerywać nudziarstwem politycznem. Brühl przystąpił do ucałowania ręki pańskiej i zniknął.

W przedpokoju zaleciwszy mocno, aby nikt nie śmiał pokoju N. Pana zamącić i aby doń niedopuszczano nikogo, Brühl pojechał z zamku do hrabiniej Moszyńskiej.

Nieubłagane lata, które się tak łaskawie obezły z samym Brüblem, nieskończenie surowsze były dla pięknych pań, które niegdyś ozdoby saskiego dworu stanowiły. Ale hr. Moszyńska, mimo dojrzałości piękną jeszcze była, jak żyjąca dotąd jej matka, która dobrowolnie teraz na stolpeńskim zamku dożywała dni swoich.

Była ona Egerią tego Numy w peruce i gdyby nie owe czasy i nałogi, z pod których wpływu i ona oswobodzić się nie mogła, byłaby może łodzią saską pokierowała baczniej i szczęśliwiej niż ten co stał u jej steru, myśląc tylko o pieniądzach na zbytki i pokrycie przed królem tego co się działo w kraju. Około południa już z pałacyku Moszyńskiej, minister do domu powracał.

Tu z przepychem królewskim, z usługą strojną

i wygalonowaną podawano obiad, który się ciągnął godzin parę. Dnia tego właśnie czekały na smakosza sprowadzone z Paryża i Strasburga pasztety, gdyż łakocie zwożono mu z całego świata, a czekolady musiał mieć z Rzymu.

Właśnie wstawano od stołu, przy którym oprócz pięknej jeszcze, majestatycznej hrabiniej, królowała też hrabina Sternberg, a kilku cudzoziemców zaproszonych dowcipami je zabawiało, gdy żona ministra dała mu znak, że z nim ma coś do pomówienia na osobności.

Stosunek tego małżeństwa zmieniły lata również jak fizyognomie: hrabina przestała okazywać mężowi ten rodzaj wzgardy i lekceważenia, jakim go zrazu od siebie odpychała. Pewien rodzaj rozejmu, zawarty został między niemi i żyli na stopie jeśli nie bardzo czułego małżeństwa, to przynajmniej dobrych i wyrozumiałych na wzajemne słabości przyjaciół. Brühl potrzebnym był hrabinie, hrabina niemniej mężowi; zbliżali się więc, oddalali, widywali częściej lub rzadziej; ale powierzchownie było to pożycie dwojga małżonków wielkiego świata, takie, jakich naówczas trafiało się tysiące.

W charakterze i obyczaju ministra była najwyższa grzeszność, okazywał ją nawet tym, na których zgubę pracował; szafował nią dla wszystkich w ogóle i tak był nawykł do niej, że chcąc nawet, może zupełnie grubijańskim i ostrym oka-

zaćby się nie mógł. Dla hrabinęj zawsze był nadskakującym.

I tym razem pobiegł posłuszny na skinienie. Piękna pani stanęła w gabinecie wsparta z wdziękiem na kominie marmurowym. Brühl w wyszukanej pozycyi, gotów na rozkazy stał przed nią.

— Co mi Frania rozkaże? — zapytał.

— Mam prośbę nie rozkaz.

— Prośby jęj są rozkazami...

Hrabina ramionami ruszyła.

— Musisz mieć miejsce sekretarza wolne?

Brühl spojrział zdziwiony.

— Ośmiu ich jest, a dziesięciu na wakanse czeka.

— Niech czekają! — rozkazująco odezwała się Brühlowa — otaczasz się Sasami, którzy ci zdradzają wszyscy... Ja mam młodego, bardzo zdolnego człowieka, którego mi Blumli zalecił. Widziałam go, podobał mi się, ręczę będzie ci użytecznym.

Chwilę milczał Brühl, podniósł powoli głowę.

— Ale czyż koniecznie ma być sekretarzem?

— rzekł — ci panowie nadto o sobie mówić dają. Nie będę ci czynił przykrości, przypominając Scyfert'a.

Hrabina zżymnęła się na to imię i zarumieniła.

— Daj mi z tem pokój — zawołała — chcesz go wziąć czy nie?

— Ale niechże go poznam i zobaczę — rzekł Brühl zafrasowany.

A po chwili dodał cicho:

— Gdybyś też cokolwiek, cokolwiek mogła być ostrożniejszą.

Brühlowa ruszyła ramionami i odeszła od kolumna milcząca, gniew widać było na jej twarzy.

— Mniejsza o to — odezwała się — miejsce dla niego znajdziemy. Proszę mi wierzyć, tu nie idzie o żadne fantazyje, choć mam prawo je mieć i nie zapieram się ich wcale. Waćpan potrzebujesz wierniejszych sług niż ich masz tutaj. Sasi cię wszyscy zdradzają. Głośna to rzecz w Wiedniu, że ztąd depesze przedają do Berlina...

Brühl ręką dał znak gwałtowny, aby zamilkła.

— Ani słowa o tem! — odezwał się — bardzo proszę. Zkąd pani wiesz?

Brühlowa nie odpowiedziała, zakręciła się po gabinecie, wzięła ze stolika wachlarz, przejrzała się w zwierciadło i posunęła ku salonowi urywając rozmowę.

Lecz Brühl nie dał jej wyjść z tym złym humorem.

— Niech mi go Blumli jutro rano przyprowadzi!!

Hrabina na znak zgody głową tylko skinęła i nucąc wyszła do salonu.

Brühl otoczony dworem swym już rozpoczynał rozmowę tak obojętną, jakby mu nic nie ciążyło na głowie.

Cudzoziemców prowadzono do ogrodu galeryę oglądać.

V.

Kawaler de Simonis jeszcze rozmyślał o niespodzianém tego ranka spotkaniu z hrabiną Brühlową, które Blumli urządził, wcale mu o tém wprzód nie mówiąc, gdy kartka nadeszła po obiedzie, że jutro rano przedstawić się ma ministrowi.

Wszystko to działo się jakoś tak szybko, tak mimowoli naszego kawalera, iż sam dobrze nie wiedział, co począć z sobą, a oprzeć się nie ściągając na siebie podejrzeń nie było podobna. Blumli aż nadto uprzejmy, nie obiecawszy mu nic, nie oznajmiwszy rano tego dnia, zaprowadził go z sobą do ogrodu Brühla. Miało to pozór spokojnej przechadzki, wśród której znaleźli się niespodzianie w kiosku. Hrabina Brühl właśnie się po nim przechadzała sama jedna w rannym stroju. Blumli przedstawił jęj swojego ziomka i przyjaciela.

Simonis z pewnych oznak domyślił się łatwo, iż spotkanie było przygotowane, umówione. Rozmowa hrabinę zdradzała co chwila, że o nim wiedziała wprzód.

Chociaż duma i ton pański, nigdy owęj niegdys tak pięknej, a dziś jeszcze dosyć miłej Frani, nie opuszczały... dla kawalera de Simonis okazała się bardzo uprzejmą. Ładny chłopak ujął ją widać młodością swą i łagodnym twarzy wyrazem. Zaczęła go rozpytywać o przeszłość, z której cały ostatni rok spędzony w Berlinie, utaił jakoś kawaler, pokrywając go ogólnikiem — podróży po Niemczech; potem badała o zdolności, o upodobania, o powołanie, jakieby był życzył obrać sobie. Simonis, zawsze nadskakujący kobietom, tym razem jeszcze był staranniej grzecznym dla żony pierwszego ministra. Usiłował się jej podobać, może już nie w widokach i rachubach przyszłości, ale przez próżność samą. Udało mu się to zupełnie: hrabina się ożywiła, pół godziny trzymała go na rozmowie, paliła go oczami czarnemi, które nie straciły blasku, czarowała dowcipem, była naprzemiany złośliwą, czułą, mądrą, smutną i wesołą; a że w tym rodzaju kobiety kawaler de Simonis w życiu jeszcze nie spotkał, wziął to zjawisko za coś cudownego.

Gdy hrabina wreszcie, rzuciwszy nań urok ten, odeszła rada z siebie, Simonis długo stał w miejscu, jak wkuty, nie mogąc się ruszyć, nie umiając przemówić i Blumli musiał go uderzyć po ramieniu, aby do przytomności przywrócić.

Spojrzeli sobie w oczy: Blumli śmiał się z po-

litowaniem starego strzelca, który spogląda na pierwszy raz w pole wychodzącego fryca.

— Kochany Maxie—rzekł— a jakżeś ty młody jeszcze!!!

— Jakto? dlaczego? — odparł Simonis.

— Jesteś zachwycony...

— Ale jakże nim być nie mam!!! Kogóżby ten blask nie olśnił...

Blumli ramionami ruszał, wziął go pod rękę i wyszedł z nim do ogrodu.

— Mój drogi Maxie—rzekł—niezmiernie szczęśliwy jestem, żem ci mógł sprawić przyjemność, chociaż postąpiłem podstępnie trochę. Nie miałbym sumienia teraz, gdybym cie nie ostrzegł o niebezpieczeństwie. Hrabina Brühl, to wszystkim wiadomo, kochała raz w życiu człowieka, który umarł na Koenigsteinie. Z tą miłością zmarło jęj serce, odtąd miewa fantazyje. Możesz być bohaterem jednego z tych małych poematów... ja byłem nim też i widzisz, jakie z tego szczęście wyniosłem. Życie mi obrzydło, świat zmierziłem... Seyfert, o którym pewnie słyszałaś, z pokoju hrabinięj, gdzie spędzał słodkie godziny, dostał się pod pręgierz na Nowym Rynku... o innych nie mówię.

Zamilkł: Simonis szedł z głową spuszczoną.

— Proszę cię, nie odejmuj mi złudzenia — rzekł — jeśli to ma być złudzeniem tylko...

— Gorzej, niż złudzenie, bo nader smutna rzeczywistość, pokryta trochę świecideł. Lecz młodość

jest ciekawą nowych krajów... dlaczegożbyś i ty nie miał się puścić, jak Förster na odkrycia, jeśli się rozbicia okrętu nie lękasz i zjedzenia przez dzikich.

Przechadzali się jeszcze dosyć długo, aż Simonis powrócił do domu, pożegnawszy przyjaciela. Tu ledwie miał czas zebrać myśli, gdy odebrał bilet, oznaczający na jutro godzinę przedstawienia się ministrowi.

Opanowała go jakaś niepewność i trwoga, jak ma postąpić. Pod nogami jego coraz grunt się zdawał mniej bezpiecznym. Z jednej strony groziło odkrycie jego posłannictwa, z drugiej tajemne doniesienie do Berlina o stosunkach, które tam mogły wzbudzić podejrzenie. Hrabina w rozmowie z nim napomknęła już, iż mógłby łatwo za jej pośrednictwem otrzymać posadę sekretarza, o którą się tak ubiegano. Wiodła ona w najgorszym razie do stanowiska urzędowego, do dostatków, do dostojeństw. Simonis w razie, gdyby mu ofiarowano to miejsce, ani wiedział, czy je może przyjąć, i czy je bezpiecznie odrzucić. W tej niepewności, nie mając nikogo, zbiegł na drugie piętro do baronowej, aby jej wszystko wyznać i z nią się poradzić.

Była to godzina, w której szanowna matrona, pieska trzymając na kolanach, po obiedzie odprawiała drzemkę w Sorgenstuhlu wygodnym...Prze-rywać się jej nie godziło nikomu.

Wygodne to krzesło stało obok saloniku w sy-

pialni, od której drzwi były przymknięte. O tém wszystkiém pukając u wnijscia, Simonis nie wiedział wcale, a że głucha Gertruda drzemała także, pukać musiał długo, nim się pocichu otworzyły drzwi i baronówna Pepita, która także czekała na przebudzenie stryjenki, ukazała się w całym blasku zdumionym oczom pana Maxa.

Nie mogło na świecie być skuteczniejszego lekarstwa przeciwko urokom hrabinéj Brühlowej, nad tę świeżą, jak podmuch wiosny twarzyczkę, z której tryskał dowcip i szlachetność. Simonis stanął jak przykuty...

— Stryjenka śpi—odezwała się baronówna w pół cicho — ale za pięć minut Fidel się obudzi i ona także nigdy nie drzemie dłużej. Jeśli pan chcesz widzieć się z nią, chodź i cichuteńko posiedź ze mną w saloniku.

Simonisowi zdało się to znowu najwyższém szczęściem.

Miał tę młodzieńczą żywość wrażeń, które dozwalają co pół godziny uwielbiać inną piękność z najmocniejszém przekonaniem, że obojętność byłaby grzechem... Niebieskie oczy Pepity, zupełnie zatęrzyły wspomnienie owych czarnych, około których niestety, snuła się już tkanka pajęczą przyszłych zmarszczek. Weszli więc razem do saloniku pocichu.

Baronówna czuła się w zastępstwie gospodyni, powołaną do bawienia gościa.

— Gdzieżeś pan był? kogo poznałeś? — zapytała...

Simonis przyznał się prawie do wszystkiego, do przyjaciela Blumli, a nawet do rannej rozmowy z hrabiną i jutrzejszego przedstawienia u Brühla.

— Jakże pan to pogodzisz? — zapytała go śmiało Pepita — z innemi obowiązkami?

I spojrzała mu w oczy z dziecinnem zuchwalstwem.

— Z jakimi? — zapytał Symonis.

— Z temi, o których mu mówić nie wolno, choć mnie się ich niepodobna niedomyślać.

— Simonis stał zmieszany, udając że nie rozumie; Pepita śmiało patrzyła mu w oczy. Nie było to płoche dziecko, pomimo pozorów niedoświadczonej młodości. Matka surowa wychowała tę jedynaczkę, wlewając w nią swoją duszę i Pepita dojrzałą była od rówieśnic swoich. Umysł jej poważny dziwił wszystkich, a kawaler Simonis, jeszcze nie mając zręczności poznać go lepiej, już ulegał jego sile, i dziwnie się czuł małym, oniesmielonym przy tém dziewczęciu.

Pytanie, które mu zadała, było dalszym ciągiem przestrogi na schodach rzeczonój. Oczy zwrócone nań, z politowaniem jakimś go badały.

— Nie wymagam od pana wyznań żadnych — dodało dziewczę — ale mi was żal szczerze. Możecie uniknąć niebezpieczeństwa, o którym mówiłam; ale

jakże z dobrej woli, rzucać się chcecie w otchłań taką? I co was zmusza do tego?

Zapytanie było zuchwałe, a młodość dziewczęcia czyniła je niepojetem.

— Będę z panem bardzo otwartą, bobym pana uratować chciała—mówiła, zmierzywszy go oczyma baronówna. — Nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, ażeby odgadnąć, z czem pan tu przybyłeś. Stryjenka jest rodem z Prus, sprzyja Prusakom i życzy dobrze Fryderykowi. Wszyscy, co ztamtąd do niej wylądowują, są posłańcami Fryderyka. I pan nim jesteś.

— Pani! — przerwał Simonis—pani się mylisz: król mnie tu nie posłał.

— Król, czy hrabina de Camas, od której list miałeś, to wszystko jedno — żywo kończyła Pepita. Przybyłeś tu nas badać, o nas donosić...

Simonis się zarumienił.

— O! przecież ja was nie wydam — zawołało dziewczę — bobym stryjenkę zgubiła... a was mi żal bardzo.

— Pani!—zaprotestował Simonis.

— Nie mów pan nic: nie uwierzę—mówiła baronówna — to jasno, jak na dłoni. I w tém położeniu będąc, starasz się o miejsce u ministra, o wciśnięcie tam, o zdobycie naszych tajemnic, aby je wydać nieprzyjacielowi.

Simonis stał struchlały: słów mu zabrakło, twarz jego bladością się okryła.

— Cóż mi do tego? — odezwała się, lekko ruszając ramionami Pepita — co mi do tego? Powinnabym milczeć i nie wdawać się wcale w sprawy cudze; ale powtarzam: młody pan jesteś, żal mi go. Niesiesz głowę swoją na ofiarę nie dla kraju, bo to kraj nie wasz: nie dla wiary, nie dla rycerstwa i sławy: ale dlaczego? dlaczego?

Założyła ręce i pilno patrzyła mu w oczy. Nigdy w przykrzejszém położeniu nie był jeszcze Simonis, nawet gdy kuzyn Ammon za drzwi go wypędził grubiańsko. Stał i milczał...

Piękna Pepita z założonemi rękami, jak sędzia surowy, nie spuszczała go z oka; niekiedy lekliwie spojrzała tylko ku drzwiom, za któremi spała stara baronowa, jakby się lękała jęj przebudzenia i chciała mieć czas dokończyć tęg przykręj rozmowy.

Simonis miał kapelusz w rękę...

— Pojmuję zresztą — odezwała się baronówna — służbę czyjąkolwiekbadź, gdy się służyć musi; ale dwom razem, dwom nieprzyjaciołom służyć, jest to narażać się na to, aby jeden z nich na was się pomścił.

O! żal mi was! żal mi was! — dodała potrząsając główką.

— Daję pani słowo — zebrał się na odpowiedź Simonis — że u nikogo nie przyjąłem służby, a u hrabiego Brühla ani się jęj mieć spodziewam, ani podobna, żeby mi ją ofiarowano.

— Owszem, masz pan wszystko za sobą: jesteś

cudzoziemcem — z bolesnym uśmieszkiem dodała piękna panna. — My Sasi nawykliśmy do tego, że nad nas przenoszą wszędzie Marcolinich, Cerrinich, Piattich, Chiaverich, Guarinich i nie wiem tam kogo jeszcze.

Tytułem dla was, że nie tutejsi jesteście. Jeśli jutro Brühl wam da miejsce, na których nie zbywa, cóż dalej kawalerze de Simonis? komu się sprzeniewierzycie?

Nielitościwe dziewczę mówiło z coraz większym zapałem i niemal ironiczną pogardą.

Pod pręgierzem jej oczów stał nieszczęśliwy wijąc się i męcząc.

— Pani — zawołał — nic się jeszcze nie stało: ja jutro zaprezentuję się ministrowi, a wieczorem opuszczę Drezno.

Dziewczę spojrzało nań.

— O! téj siły mieć nie będziecie? — rzekła. — Cóż mnie do tego, radziłabym wam tymczasem tylko jedną obrać drogę i prostą, bo dwoma nigdzie nie zajdziecie.

To mówiąc odwróciła się szybko i przeszła w drugi koniec salonu. Simonis odebrawszy tę naukę, stał w milczeniu ponurém. Kilka razy spojrzał ku niej, ale jej oczów nie spotkał; unikała widocznie wejrzeń jego, patrząc po ścianach i przyglądając się ze zbytnią uwagą sylwetkom na nich pozawieszanym. Kawaler się namyślał co ma począć i już nawet zabierał się do wyjścia nieczeka-

jąc przebudzenia baronowój, gdy drzwi od drugiego pokoju otworzyły się powoli: wtoczył się najprzód tłusty Fidel, a za nim zdziwiona nieco gośćmi, którzy czekali w salonie, staruszka. Zobaczywszy synowicę w jednym końcu pokoju, a kawalera u okna, parsknęła śmiechem i załamała ręce.

— A cóż to za skromna i grzeczna młodzież, że się nawet bez pozwolenia starszych, zbliżyć nie śmie do siebie — poczęła staruszka. — Doprawdy! Oczom mi się wierzyć nie chce! Miałażbym wnosić z tego, że się państwo aż nadto blisko wprzódy spotkali i chcecie tylko starego gderliwego oszukać Argusa?

Pepita przyszła wesoło pocałować w rękę staruszkę, rzucając z ukosa szyderski wzrok na kawalera.

— Obawialiśmy się rozmową przerwać sen baronowój! — rzekła.

— I dawnoż to trwała ta cicha zabawa?

— Przybyłem przed kwadransem — odezwał się kawaler.

— A ja przed pół godziną — dodała Pepita.

— Cóż słyhać u królowój? — spytała baronowa ciekawie — ty wiesz jak ja plotki lubię, a nigdzie ich niema tyle jak u N. Pani.

-- Nic, oprócz że znowu żydóweczkę z Lipska chrzcic będziemy.

— Którażto od przeszłego roku? — zapytała staruszka.

— Zaraz, zaraz! W marcu w roku przeszłym chrzciliśmy matkę z córkami, pamięta stryjenka? Zaraz po śmierci księżnej Lubomirskiej, w czerwcu parę znowu, we wrześniu dziewczynkę, a w grudniu po narodzinach naszego księcia Antoniego jeszcze jedną.

— I królowa to wszystko wyposaża?

— Nie sędzę, żeby jej to za złe wziąć można — odparła Pepita.

— Tak! — mruknęła staruszka cicho — nawróconych obsypują złotem, a z biednych chrześcian ostatni grosz ciągną.

— Ale nie królowa — szepnęła Pepita.

Baronowa zamilkła, Simonis patrzył się w okno, ażeby się do rozmowy nie mieszać.

— A wy, kawalerze — spytała gospodyni — jakże się tam wam powodzi?

— To ja stryjence powiedzieć mogę — odezwała się Pepita.

— Wy, a to zkąd?

— My u królowej wszak wiemy wszystko. Kawaler de Simonis dziś zrana miał szczęście prezentować się hrabiniej Brühl, a jutro ma się przedstawić ministrowi. Jeżeli się nie mylę, czeka go na dworze J. Ekscelencyi świetna karyera.

Baronowa spojrzała zdziwiona, jakby żądając potwierdzenia: Simonis stał ze spuszczonei oczyma.

— Ale, kochana stryjenka — dodała głośno Pepita, patrząc z boku na delikwenta. — Dziwne

mi się to wydaje. Kawaler de Simonis przybywa z Prus, jakże tak odrazu nawykłemu do berlińskiego powietrza ważyć się na karmienie saskiem, które jest zupełnie inne?

— Jak o tem stryjenka trzyma?

Baronowa kiwała głową.

— Ty bo jesteś złośliwa i długojęzyczna, ty żmijko — rzekła zmieszana — gdybyś nie była moją synowicą, nienawidziłabym cię, ale że kochać muszę... wybaczam tę paplaninę.

— Właśnie przybyłem tu — odezwał się Simonis — aby prosić o radę pani baronowej. Kazano mi się prezentować ministrowi.

— Więc już o was wiedział? cóżby to znaczyć miało? — niespokojnie spytała staruszka.

— A! w tem niema nic dziwnego — odezwał się Max — niespodzianie wcale zastałem tu, oprócz innych ziomeków moich, także przyjaciela lat młodych, niejakiego Blumli, który jest sekretarzem przy ministrze. Czasem tacy gorliwi bardzo przyjaciele niewygodni bywają. On mnie wprowadził wczoraj do kiosku i zaprezentował ministra żonie, i on, nie pytając mnie wcale, wyrobił na jutro audyencyę u ministra.

— A o czem pan nie wiesz, a co już u królowej po obiedzie wiadano, to że hrabina wstawiała się do męża, aby pana wziął do swego boku.

I Pepita uśmiechnęła się szydersko. Stara baronowa dziwnie pokręciła głową.

— Teraz, proszę stryjenki pozwolić mi puścić trochę cugle wyobraźni — mówiła Pepita. — Pan kawaler de Simonis nie napróżno rok jakiś przeżył w Berlinie, musi tam mieć dobrych znajomych, serdecznych przyjaciół, ziomków... musi też do nich pisywać! to rzecz naturalna! Będąc u tego boku ministra, z którego wiele widać, nuż się wypisze w liście do Berlina z jaką wiadomością ciekawą... Ponieważ w Wiedniu wiedzą wszystko co kto czyta w Berlinie, list przyjdzie w kopii do Kaunitza, od niego do Fleminga, od tego do Brühla i kawaler de Simonis dostanie bezpłatnie pokoić w Koenigsteinie.

To mówiąc dygnęła i rozśmiała się głośno. Kawaler de Simonis stał ze spuszczoną głową, stara zacisnęła usta i zamyśliła się głęboko nie mówiąc słowa.

Pepita zaś wypaplawszy się z tem co na sercu miała, zbliżyła się do ściany i zaczęła pilnie bardzo przypatrywać się sylwetkom.

Milczenie trwało chwilę. Dziewczę, które czuło jakie wrażenie uczynić musiało, udało, że nieprzywijażuje wagi do słów swoich i zwróciło się do stryjenki.

— Ten rok już niedorównywa przeszłemu — rzekła. — Gdybyś pan tu był w przeszłym przyjechał, gdy grano Artemizę Hassego, w której trzystu tancerzy występowało w balecie!... albo gdy w styczniu, w zapusty przedstawiono *Ezio* (Aetius)

z takim przepychem... Nawet stryjenka dała się zaprowadzić do łoży. Oprócz Włochów artystów, mieliśmy na scenie szesnaście koni, ośm wielbłądów, muły, wozy; całą stajnię i menażeryą. Cudne to było i nie więcej jak sto tysięcy kosztowało.

Wprawdzie — dodała, szczebiocząc ciągle — ja taka jestem dziecinna, że wykradłszy się do Gewandhaus'u, gdy grano dla ludu... pana von Habenichts, więcej się nim bawiłam niż zwycięzcą nad Atyllą; ale ja...

— O! ty! ty! — przerwała stryjenka grożąc — kto ciebie zrozumie, kto twój jęzorek wstrzyma i kto ci da pomiarkowanie.

Pepita przybiegła pocałować ją w rękę i gderanie skończyło się uściskiem.

— Wiesz jednak, kochany kawalerze de Simonis — rzekła stara — ten trzpiot paplać tak co mu ślina do gęby przyniesie, czasem i do rzeczy coś powie. Otóż i dziś...

Spojrzała nań dając mu znak.

— Co wy na to?

— Właśnie na wypadek, gdyby... czego się nie spodziewam, zbyt gorliwy przyjaciel miał mi w istocie postarać się o nieproszone miejsce, radzić się chciałem, co mam czynić?

Pepita milcząc z założonemi na piersiach rękami patrzyła na niego i na stryjenkę; czekała co powie baronowa: ta byłaby może wcale inaczej ra-

dziła Simonisowi, gdyby nie synowica i wszystko co poprzedziło pytanie.

— Nad tem się namyślić potrzeba — rzekła cicho.

Domawiała tych wyrazów, gdy w przedpokoju hałas się wszczął jakiś, jak gdyby cisnął się ktoś, kogo dopuścić nie chciano. Usłużne dziewczę wybiegło do Gertrudy, ale nie wróciło rychło. W przedpokoju słychać było głos gruby mężczyzny, sprzeczący się ze sługą.

Niespokojna baronowa sama już gotowa była wyniść się dowiedzieć, gdy żołnierz w dosyć nędznym ubraniu, w zabłoconych butach wparł się do salonu, obejrzał z obawą jakąś, dostrzegł gospodynię, wcisnął jej prędko w rękę kawałek papieru i prędej jeszcze uszedł; tak, że nim baronowa oddaną kartkę otworzyć czas miała, słyszeć już było stukanie jego ciężkich butów po schodach.

W tem wszystkim było coś tak przerażającego, niezwykłego, że nawet powracająca od Gertrudy śmiała Pepita, blada była i przestraszona.

Baronowa drżącemi rękami, rzuciwszy się na fotel, usiłowała brudną rozerwać kartkę, którą jej żołnierz oddał. Ale przestach i zdziwienie nie dozwoliły jej tak łatwo, ani rozpieczętować, ani bladego pisma odczytać. Domyślała się już w tem czegoś takiego, czego przy Pepicie nie rada była czytać, a ciekawe dziewczę stało nad nią oczyma usiłując odkryć co na kartce stało.

— Moje okulary! — odezwała się baronowa.

Pepita chciała iść po nie, ale stara ręką ją zlekka odtrąciła i weszła drżącym krokiem do drugiego pokoju drzwi zamykając za sobą.

Pepita i Simonis zostali znowu sam na sam, a Fidel powlókł się za panią. Wtem lekki wykrzyk dał się słyszeć z gabinetu baronowej i jakby ciężkie upadnięcie na krzesło. Pepita pobiegła do stryjkenki. Przez drzwi otwarte Simonis mógł tylko dojrzeć staruszkę na fotelu, w ściśniętej ręce trzymającą konwulsyjnie papier, z obawy zapewne, aby Pepita go nie pochwyciła.

— Co się stało? co stryjence jest?

Baronowa miała czas się opamiętać.

— Nic, nic; bądź spokojna: moja stara przyjaciółka, dawna sługa, Barbara Tuchlaubin chora.

Pepita spojrzała stryjence w oczy i nie odpowiedziała nic. Czy uwierzyła nowinie, trudno było poznać; minkę zrobiła dziwną, jakby urażoną trochę... Simonis widząc, że wcale tu nie jest potrzebnym, chciał odejść; ale widząc, że się żegna, pani Nostitz dała mu znak potajemny, aby pozostał. Posłuszny zatrzymał się nieco, a baronowa ochłonawszy wróciła do salonu, synowica spojrzała na zegar, potem na Simonisa i ze stolika chwyciła chusteczkę, którą narzuciła na włosy.

— Ja muszę iść — rzekła. — Niech stryjkenka nie troszczy się zbyt Tuchaubiną, ja jej pošle doktora.

I zdala tylko główką skinawszy Simonisowi, wybiegła żywo.

Po jej wyjściu czas jakiś panowało milczenie, staruszka zdawała się wyczekiwać, aby Pepita wyszła z domu i dopiero usłyszawszy drzwi zamykające się za nią, zwróciła się łamiąc ręce do Simonisa.

— Nie wiecie nic! dziś w nocy Feulnera wzięto i na Koenigstein zawieziono. Któż wie co znaleźć u niego mogli? On był tak nieostrożnym.

— Ale wczoraj jeszcze — zawołał strwożony i zbladły Simonis — jeszcze wczoraj...

— Dają mi znać! nie ma wątpliwości... kawalerze de Simonis, bądź mi pomocą: potrzeba palić papiery; mogą napaść i na mnie. Ktoś nas zdradził!

Simonis podał rękę drżącój staruszce i z nią razem przeszedł do gabinetu, musiał wydobyte z osobnej szkatułki papiery palić z nią na kominku, stojąc na straży, aby Gertruda nie weszła w czasie tego palenia, bo baronowa i jej się obawiała. Gdy ostatni kawałek listu dogorzał i popioły zostały zgniecione, baronowa odetchnęła. Lecz po wzruszeniu doznaniem, ani rozmawiać, ani radzić już nie mogła i skinieniem ręki pożegnała gościa, który wyszedł na palcach.

Na progu znalazł się Max jeszcze mniej pewien tego co ma począć i więcej przelekły niż gdy tu szedł, aby od baronowej zasięgnąć światła. Nie

mając po co wracać do mieszkania, z gotowym listem do hrabiniej de Camas, który miał w kieszeni, pociągnął do Beguélina. Chciał go się pozbyć co prędzej.

Wywiezienie Feulnera, z którym niedawno zabrał poufałą znajomość, kazało mu się obawiać wszystkiego. Każda twarz nieznojoma, z którą się spotykał, każdy człowiek, idący za nim zdawał mu się podejrzanym: oglądał się z trwogą. Przyszło mu na myśl dziwnie prorocze zakończenie rozmowy ze starym Mentzlem, wyliczającym kapitanowi wszystkich wysłanych do Koenigsteinu. Była to jakby przepowiednia!!

Pospiesznym krokiem, o ile znajomość miasta dozwalała, mniejszemi uliczkami przerznął się do dworku Beguélina. Obawiał się go nie zastać, ale z okna po prawej stronie wyjrzał radzca i drzwi mu sam otworzył.

Blady był i poruszony mocno.

Milcząc wpuścił go do swojego gabinetu, i nie rychło po przywitaniu usta otworzył. Simonis też musiał niezbyt wesoło wyglądać.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Co słyhać? — rzekł Beguélin.

— Nic nie wiem, oprócz, oprócz że niejakiego kapitana Feulnera na Koenigstein zawieziono — rzekł Simonis — a przyznam się panu, że mnie to tembardziej obeszło, iż właśnie z nim byłem zabrał znajomość.

— A! a! a! — wykrzyknął Beguélin: obejrzał się dokoła.

— Nie dobrze jest — rzekł — coś zwąchali.. mnie i nas wszystkich śledzą; do nikogo się zbliżyć, zagadać nie mogę nawet. Jesteśmy my wszyscy Prusacy tu jak zapowietrzeni! Cóż u kata! wojna nie wybuchła żadna! Stosunki dyplomatyczne nie są zerwane!

Ledwie tych słów domawiał, gdy do okna od dziedzińca zapukano szybko. Beguélin pochwycił Simonisa za barki i nie mówiąc słowa, wepchnął go przez ciasne drzwiczki do drugiej izby, zamykając je na klucz.

Kawaler de Simonis znalazł się niespodzianie w obszernej, drewnianej salce, jakby naprędce skleconej, w której z jednej strony leżały sery, bo niemi Beguélin z Neufchatelu handlował, z drugiej książki kancelaryjne. Zapach tłustości i stęchlizny papierowej pomieszany razem, wcale nie był przyjemny. Chwilowe to więzienie, oświetlone małemi dwoma okienkami zakratowanemi u góry, smutne było i brudne. Próżne pudła, porwane sznurki leżały na ziemi; sięść nawet nie było na czem.

Od kancelaryi Beguélina dochodził głos żywej rozmowy.

Simonis nie uczuł się wcale grzesznym oko przykładając do dziurki we drzwiach i nadstawiając pilnie ucha.

Głos był mu znajomy, nie rychło jednak po-

trafił szczupłym otworem dojrzeć tego staruszka Mentzla, który tak dziwnie prorokował kapitanowi. Stał on tu blady, przełękły, oglądając się i łamiąc ręce.

— Jestem zgubiony panie radzco! zgubiony przez was! tak! przez was, którym za psie pieniądze służyłem. W waszej kancelaryi cesarzowa ma szpiegów, wszystkie depesze, które ja wam dałem, jej posłano; kazała Flemingowi ostrzedz Brühla. Już dziś zamki opatrywano, mnie egzaminowano, szafę badano... Rozumiesz to pan?...

— Ale rozumiem -- rzekł Beguelin.

— Oni mnie powiesić gotowi! — dodał Mentzel ręce łamiąc — za te nędzne wasze pieniądze.

Bezmyślnie Szwajcar powtórzył: — A gotowi, a gotowi!

— I ja nawet uciekać nie mogę! ja mam żonę, dzieci, dom, familją...

Załamał ręce.

— Kusiliście mnie jak djabli — wołał Mentzel zapominając się i głos podnosząc. Opierałem się. Nie mogłem przecież téj zamczystej szafy palcem otworzyć, toście mi dwa razy po pęku kluczków przysyłali z Berlina, póki licho nie nadało i jeden z nich nie otworzył. Więcej jak cztery razy nie sięgnąłem do téj nieszczęsnej szafki, i to trzeba było niedzieli czekać lub czwartku, a południowe godziny wybierać, kiedy w izbie nikogo oprócz mnie nie było. Daliście mi słowo, że depesze w kieszeni

u króla zostaną, że nikt o tém wiedzieć nie będzie, a sekretarz Plassmann posyłał je p. Benoit, a Funka depesze petersburskie już w Wiedniu znają. I coście mi za to dali? co?

— A, ja nie wiem! — rzekł Beguëlin — wyscie się sobie układali z baronem Maltzanem; ja umyвам ręce...

— Ale ja ztąd nie wyjdę krokiem bez tysiąca talarów! — zawołał Mentzel — to darmo! Któż wie? gotówem żonę i dzieci porzucić, aby życie ratować. Brühl mnie zetnie lub powiesi, albo ćwiertować, albo kołem bić każe. Ja! ja!...

Zabrakło mu tchu.

— Tysiąc talarów! ale ja nie mam pieniędzy! To do mnie nie należy. Idźcie sobie do hr. Bees'a, do Ammon'a, do djabła — krzyknął Beguëlin — ja wam nie dam nic... nic... nic...

Mentzel stał przybity, usta mu się skrzywiły, zacisnął pięści, przyłożył je niemal do twarzy radzcy, potrzymał tak chwilę, plunął i drzwiami trzasnąwszy wyszedł.

Beguëlin zamyślony stał chwilę, dopóki pukanie we drzwi Simonisa nie przypomniało mu, że powinien był otworzyć więźniowi. Nie spieszył z tém jednak, dopóki nie był pewien, że Mentzel, który przez ogrody się tu wdrapał, nie odszedł bezpowrotnie.

Naówczas wypuścił kawalera, przepraszając go.

— Spodziewam się, że mi tego za złe nie we-

źmiecie — rzekł — z tym djabłem Mentzlem nie można sobie dać rady. Nie chciałem, aby was widział u mnie. Gdy go złapią i dadzą na męki, gotów śpiewać wszystko co wie i co mu na język ślina przyniesie.

Simonis zbierał się na odpowiedź, gdy na mostku prowadzącym do dworku od ulicy, stąpanie żywe słyszeć się dało i nim Beguélin po raz wtóry z serami zamknąć pośpieszył kawalera, wszedł Ammon.

Zobaczywszy krewniaka zdumiał się mocno. On i Beguélin byli w stosunkach najnieprzyjemniejszych, zetknęli się więc jak dwa jeże. Simonis, który jeszcze się był nie pozbył listu, stał na boku. Zamiast się zwrócić ku radzcy, Ammon wprost skierował się na kuzynka.

— A waćpan tu co robisz? — zapytał.

— Nie widzę obowiązku tłumaczenia się — rzekł Simonis.

Ammon obrócił się do Beguélina.

— Mam w interesie urzędowym do pomówienia z waćpanem. Zlecenie jest pilne. Nie mogę go spełnić przy tym jegomości, a czekać aż mu się podoba wyjść, nie mam czasu.

— Ja także mam tak jak urzędowy interes do radzcy Beguélina — odezwał się Simonis — i oddalić się nie mogę.

— Fanfaron! patrzcie go! — krzyknął Ammon
Z siedmioletniej wojny. — T. I.

— on ma interes urzędowy! Ktoby go takiemu świszczypałce polecił...

Beguélin przybrał postawę poważną.

— Przepraszam pana radzcę — rzekł — kawaler de Simonis w istocie jest mi poleconym z Berlina.

— Co za kawaler? z kądże wziął u diabła to kawalerstwo? Przyśniło mu się: prosty Simonis...

— Panie radzco! — zawołał Max.

— Mości Maxie — odparł Ammon.

Zanosiło się na scenę nieprzyjemną, gdy Beguélin szybko kantorek swój zamknął na klucz i odezwał się:

— Kawaler de Simonis zaczeka tu na mnie, a radzcę proszę do biura.

Nie mówiąc słowa, Ammon rzucił tylko okiem wzgardliwie na kuzyna i wyszli.

Max padł na krzesło znużony i gniewny. Wszystko co się z nim działo od wyjazdu z Berlina, wprawiało go w rodzaj gorączki. Czuł, że to przejście do czynnego życia, niemal siły jego przechodziło. Żał mu było spokojnej izby u cukiernika i dni tam na marzeniach spędzonych. Po kwadransie tych rozmyślań ujrzał wreszcie oddalającego się Ammona i Beguélin powrócił chmurny. Nie czekając dłużej Simonis list mu wręczył.

Radzca zważył go na rękę.

— Mam polecenie od hrabiniej do pana — rzekł — jest to właśnie chwila, gdy wszystko co się tu

dzieje niezmiernie nas obchodzi. Trzeba się dociśnąć do wojskowych, na dwór, do Brühla. Każde słowo pochwycone drogocenne.

Wiemy, że na papierze mają trzydzieści tysięcy wojska. He? ale nas upewniają, że nie ma go więcej w istocie nad połowę, a generałów półtorasta, oprócz Rutowskiego nie wiele wartych. Waćpan się musisz prawdy dobadać, to wasza rzecz...

— Ale niebezpieczeństwo...

— He? — spytał Beguëlin — albożes waćpan nie wiedział jadąc tu czem to pachnie?? Zresztą, niebezpieczeństwo niewielkie, byles się waćpan wykrecał kilka tygodni jeszcze.

— Jakto, kilka tygodni? — spytał Simonis.

— A tak! — odparł Beguëlin, ręce zakładając w kieszenie. Za kilka tygodni: (tu do ucha mu się nachylił) my tu panami będziemy.

Simonis zamilkł ze zdumienia. Beguëlin śmiał się...

— Jak mnie waćpan żywego widzisz — rzekł — dlatego ja moje sery radbym spieniężył wprzódym nim nasi przyjdą, bo je gotowi wziąć nawet ode mnie w kontrybucyi. Juźciż wolałbym, żeby je na kwitki wzięli u kupców niż u mnie. Zobligujesz mnie, miły kawalerze, jeśliby ci się trafiło kupca mi na sery nastreczyć.

Nie śmieję się z tego, że dyplomacya pruska serami handluje; bardzo nam licho król płaci, nie

tak jak August Brühlowi. Co pan chcesz? u Herzberga na korytarzu mleko sprzedaje baba na jego rachunek, a hrabiemu Lusi w Londynie pozwolono olejem handlować: ¹⁾ czemubym ja nie miał serem?

Beguélin rozśmiał się i pozbywając Simonisa, skłonił i drzwi mu otworzył.

¹ Historycznė.

VI.

Mrok był w ulicy, gdy nasz Max wydobył się od radzcy handlarza serami i odetchnął lżej, odbiegłszy spory kawał od jego dworku. Był już pewnym, że dnia tego przygody szczęśliwie przebrnął. Mentzel jednak ze swemi żalami i zdradzoną tajemnicą, kapitan Feulner wywieziony, Pepita, która go odgadła i zawstydziła, Brühlowa z oczyma czarnemi, jutrzejsze posłuchanie u ministra, uwiijały mu się po głowie. Szedł tak ze spuszczonemi oczyma, kierując się machinalnie ku domowi, gdy nagle uczuł się potraconym.

Naprzeciw niego niosło dwóch w kanarkowych frakach tragarzy lektykę, która go właśnie mijala. Z okna wychyliła się głowa w kilkopiętrowej peruce i okrzyk się dał słyszeć: „Halt! halt!”

Tragarze stanęli, Simonis mimowolnie się zatrzymał przez ciekawość, chociaż ani przypuszczał, ażeby miał być przyczyną zatrzymania lektyki. Wpatrując się dopiero uważniej w twarzyczkę zbyt jaskrawą, białą i różową, aby naturalnemi kolory

tak jaśnieć mogła, poznał w niej swą towarzyszkę podróży, czułą Doris, która przybywszy z nim ową budą, w Dreźnie dobiła się lektyki... Była nawet bardzo wystrojona, a na twarzy, o ile róż i bieli-dło dozwalały, malowała się radość jakaś i rozpromienienie.

Lektyka stała już na miejscu jak wryta, a panna Doris wychylona z niej domagała się gwałtownie od towarzysza podróży, aby się do niej przybliżył.

— A! jakżem szczęśliwa, że pana spotykam! Chodź pan... słówko tylko! muszę panu opowiedzieć moją historję. Powiodło mi się nader szczęśliwie. Znalazłam tu przyjaciółkę dawną, od serca, która mi miejsce wyrobiła w teatrze. To kobieta, która co chce może... Przez nią ja wam nawet dać mogę protekcyę.

Tu się uśmiechnęła.

— Tak! tak! Pocziwa Mina mnie przytuliła. Wiecie kto jest Mina?...

— Nie, pani — rzekł Simonis, trochę szczerbiotaniem tem onieśmielony i przestraszony — nie wiem kto jest Mina.

— Tak, boście wy tu obcy! Przecież to cały świat wie, że minister oprócz żony, której kochać nie potrzebuje, bo ją tam inni za niego kochają, ma hr. Moszyńską w sercu, hr. Sternberg w uwielbieniu dla rozrywki w czarnych godzinach Terenię Albuzzi, a najulubieńszą mu ze wszystkich jest moja Mina, Mina Tennert.

Żebyś wiedział pan, jaką kamienicę postawił dla Miny.

Tu nachyliła mu się do ucha.

— Nie bardzo ona mu jest wierną, ale jemu o to nie idzie; chce gdy się zmęczy znaleźć twarz wesołą i szczebiotanie miłe. Mina umie go doskonale rozerwać, a Mina jest moją przyjaciółką od serca. Kochamy się jak dwie lesbianki.

Kawaler wyrażenia tego nie zrozumiał, i radby był zwierzeń dalszych uniknąć; zbywał więc milczeniem pannę Doris, gdy ta obawiając się, aby jej nie uszedł, zatrzymała go chwytając ręką.

— Jadę właśnie do Miny, a waćpan mi musisz towarzyszyć: nic nie pomoże.

— Kiedykolwiekbądź, ale nie dziś! — zawołał Simonis.

— Nieodmiennie dziś! koniecznie dziś! Wieczorem u niej nikogo nie będzie. Minister ma jakieś kłopoty, które go zatrzymują w domu. Powiem panu pod sekretem: Mina się kocha w sekretarzu Brühla, w Szwajcarze Blumli. On wiele może, ja pana z nim poznam.

Simonis aż drgnął, chciał się właśnie z Blumlim zobaczyć.

— A! jeśli Blumli będzie, służyć! — zawołał.

— Widzisz! widzisz waćpan jak jesteś niegrzeczny, dla mniebyś nie poszedł, a dla tego...

— To mój przyjaciel, rodak.

Doris skinęła na tragarzy.

— Idź waćpan przy mnie! — rzekła. — Jak mnie pan dziś znajdujesz? Nieprawda, że mi w tych włosach do twarzy? Fryzyer królewski zaklinał mi się, że nie dałby mi lat dwudziestu!

Tu westchnęła.

— Winnam Minie, że mi i wesołość i młodość wróciła.

Tak szczebiocząc i nie puszczając Simonisa od siebie, Francuzka zaprowadziła go domu zajmowanego przez sławną śpiewaczkę Wilhelminę Tennert.

Jak Albuzzi, dla której Brühl wzniósł sławną rotundę, panna Tennert miała jeśli nie pałac, to wcale okazałą kamienicę z ogrodem na Wildruffskiem przedmieściu. Tam gdzie minister spędzał czasem wieczory, nie mogło być zbyt ubogo i skromnie. Na mniejszą skalę był to pałacyk wielkiej pani lub słynnej artystki. Na wschodach u dołu stały dwie marmurowe postacie, trzymające lampy w podniesionych do góry rękach. Były to napół obnażone kobiety, obwite wieńcami kwiatów i liści. Dwóch lokaików w liberyi seledynowej przyjęli goście na dole. Doris wyszedłszy z lektyki wiodła jeńca swojego na pierwsze piętro. W przedpokoju stał lokaj w takichże seledynach i peruce przepysznej, ten otworzył im drzwi do niewielkiego saloniku, który był prawdziwym cackiem. W białych ze złotymi promykami ramach, okrywało go obicie aksamitowe w kwiaty bukietami rzucane. Do tej bieli, złota i kwiatów stosowało się wszystko, ramy zwiercia-

deł porcelanowe, komin podobny, pajak z kwiatów, ptaków i motylów, sprzęt okryty takimże atłasem.

Pod oknami w ogromnych wazonach z porcelany rozpierały się bujno wyrastające kwiaty żywe, a wpośród nich stała właśnie piękna Mina, rozmawiając z Blumlim.

Mina, choć już dawno minęło jej lat dwadzieścia, trzymała się jeszcze jakby więcej nad nie nie miała. Był to typ prawdziwie niemieckiej piękności: włosy złoto-blond, oczy niebieskie, cera biała i przezroczysta, wzrost ogromny, coś niby przypominającego Tusnelde dziką, której dłoń mogła napiąć łuk i dźwignąć pałkę w potrzebie. Majestatycznie wyglądała, lecz niewieściego wdzięku jej brakło i chłodna otaczała ją atmosfera. Nie można było nie uznać ją piękną, a Simonisowi zdało się, iż w tej piękności, chyba znudzony minister dla odmiany się mógł zakochać. Mówiono, że głos miała bardzo ładny i potężny.

Zobaczywszy ją Doris rzuciła się ku niej z ognistemi objawy przyjaźni, jak gdyby się lat kilka nie widziały. Blumli zobaczywszy idącego za nią Simonisa, niezmiernie się zdumiał.

— Złapałam tego pana, którego poznałam w podróży, bardzo miłego, aby go tu przyprowadzić, kochana Mino. Spodziewam się tembardziej, iż mi tego nie weźmiesz za złe, bo jest przyjacielem twojego przyjaciela.

Piękna Mina obejrzawszy Szwajcara zdala, do-

syć go zimno powitała. Nie była w ogóle rada gościom mając u siebie swego Blumli. I Blumli jakoś chłodno przyjął Simonisa, ale Doris nie zważając na nic, w najlepszym humorze gospodarowała już po salonie.

Kawaler wytłumaczył się w kilku słowach przed panią domu i Blumli wziął na stronę.

— Nie mogłem się oprzeć tej babie — szepnął mu w ucho — widzę, że nie jestem tu gościem pożądanym, ani ja, ani ona; lecz potrzebowałem kilka słów pomówić z tobą i natychmiast się wymknę.

Gdybyś i starą tę doryndę zabrał z sobą! — zawołał Blumli — ale takiego heroizmu wymagać po tobie nie mogę.

— Jakimże sposobem stało się, iż jutro już mam być ministrowi przedstawiony? — zapytał Simonis.

— Najprostszym w świecie: wpadłeś w oko hrabinie, kazała, aby cię poznał i dał ci miejsce u dworu.

— Ale ja, ja miejsca przyjąć... ja nie umiem — zmieszany odparł Simonis.

— Dlaczegoż? — rzekł zadziwiony Blumli — odpychasz szczęście, które cię spotyka. Hrabina ci się podobała, jesteś wolnym, obowiązki sekretarza będziesz zdaje mi się pełnił więcej w jej kancelaryi niż w naszej. Cóż może być pomyślniejszego!

— Będę otwartym — odezwał się Simonis — namyśliłem się. Nie życzę sobie losu Seyferta, pręgiusza i Koenigsteinu. Jestem młody, za serce ręczyć nie mogę.

Blumli nań patrzył z uwagą.

— Nie rozumiem cię — rzekł — coś innego stać musi na przeszkodzie; znam cię z dawniejszych czasów i z pierwszej rozmowy, byłeś innym. Cóżto? nastraszo cię?

— Tłumacz to jak chcesz!

— Już cię stary skelet Dorydy nie zbałamucił! — rozśmiał się Blumli. — Ha! postąpisz jak zechcesz, zmusić cię przecież nie mogę, ani ja namawiać będę. Przedstawienie się ministrowi do niczego nie obowiązuje.

Simonis zmilczał i rozmowa na chwilę przerwana została. Dosyć zręcznie potem kawaler nasz potrafił ją przeprowadzić na przedmiot inny. — Cóż to jest com słyszał w mieście? szepnął cicho — aresztowano jakiegoś Feulner'a.

Blumli ruszył ramionami.

— Chleb powszedni — rzekł obojętnie — kapitanów codzien szlą do fortecy, bo dowodzą wielce, o tym coś bąkają, że się z Prusakami wachał, a my dziś na to jesteśmy drażliwi. Wyobraź sobie — dodał — iż nam Prusacy depesze kradną z przed nosa. Brühl jest bardzo grzeczny, ale kto się w jego białe rączki dostanie, tego można pożegnać na zawsze.

Piękna Mina dopomniała się o swojego faworyta i odebrała go Simonisowi, dając mu w zamian niebezpiecznie dnia tego ożywioną Doris, której przy kawalerze przychodziły śmieszne reminiscencye młodości. Simonis nie mając ochoty grać w nich żadnej roli, zabawił krótko i umknął jak mógł najprędzej.

Księżyc przyświecał mu w drodze do kamienicy pani baronowej. O tej porze wszystkie już domy w mieście oprócz publicznych lokalów, były pozamykane, ale kawaler obyczajem drezdeńskim, opatrzony był kluczem, który mu wrota otworzył.

Noc przeszła więcj na niespokojnych marzeniach niż na śnie, który ledwie nad rankiem skleił powieki.

Posłuchanie wyznaczonem było na niezbyt wczesną godzinę; Simonis skromnie ale ze smakiem przybrany czarno, poszedł do kancelaryi do Blumli. Było to właściwie ognisko, z którego rozkazy na całą rozchodziły się Saxonię.

Brühl kierował tylko głównemi rozporządzeniami, środki wykonania zostawując podwładnym. Tych ośmiu panów sekretarzy panowało w istocie z mocą nieograniczoną. Znać było to uczucie ich potęgi po twarzach młodych panów, wyrażających najzupełniejszą wzgardę dla rodzaju ludzkiego.

Gdy Simonis wszedł na próg, oczy wszystkich zwróciły się na niego raczej ciekawie niż życzliwie. Widzieli w nim współzawodnika a może niebez-

piecznego faworyta. Wprawdzie panowie ci kręcili się tu z rękami pod poły fraków i za żaboty u kamizeli pozakładanemi, niekiedy spoglądali na robotę młodych kancelistów, ale interesa bieżące wcale się ich nie zdawały obchodzić. Mówiono o Faustynie, o Teresie, o Minie i o mnóstwie innych kobiet, o teatrze, o polowaniu, tylko nie o nudnych sprawach administracyi.

Simonis wszedł w chwili, gdy z rozkazu ministra wykomenderowywano jednego z radzców, dając mu w pomoc szwadron konnicy, dla ściągnięcia zaległego podatku w górnych powiatach, gdzie ludność odmawiała należnej panu daniny, pod pozorem nieurodzaju i głodu. Rozkazy były wyraźne: podatek ściągniętym być musiał dla samego przykładu i wpojenia tej zdrowej zasady, którą Brühl się zawsze kierował: *Nicht raisoniren*. Rezonowaniem zwała się każda wymówka, od spełnienia świętych obowiązków.

Z okien później mógł się Simonis przypatrzeć jak radzca jechał otoczony konnicą, wioząc za sobą pisarzy dla protokołów, pachołków dla przytrzymania rezonujących i gawieź sądową, aby forma legalna w domierzeniu słusznej kary była zachowaną. Blumli, chodzący jak inni z rękami w kieszeniach, o naznaczonej godzinie udał się z kawalerem de Simonis do gabinetu ministra.

Brühl niezmierną i bardzo słuszną przywiązywał wagę do pierwszego wrażenia, jakie miał wyrzeć

na obcym człowieku. Wszystko u niego było obra-
chowanem: tło na jakim się miał malować, akce-
sorya obrazu, wyraz twarzy, strój, poza. Tym ra-
zem siedział w fotelu rozparty z nogą założoną na
nogę, cały w jedwabiach, szytych srebrem, w ko-
ronkach, w peruce, którą amorki chyba fryzować
musiały, a której wdzięk nie uwłaczał powadze.
Ciężar spraw kraju i polityki europejskiej spoczy-
wał na czole osłoniętem lekką chmurą.

W białej, pulchnej rączce trzymał na kolanie
spartą tabakierkę emaliowaną. Przed nim leżał stos
listów. Nieinaczéj byłby usiadł do portretu dla po-
tomności. Gdy Blumli drzwi otworzył i Simonisa
wprowadził, minister zrazu nie posłyszał nic i nie
spozstrzegł, zatopiony w głębokich kombinacjach
polityki europejskiej, którą był pewnym, że ukryty
w Saxonii kieruje; dopiero za zbliżeniem się ich,
przybrał nader uprzejmą postać i z gibkimi ruchy,
pełnemi elegancyi, dając poznać w sobie człowieka
wielkiego świata, godnego dworu Ludwików, przy-
jął Simonisa protekcyjnalnym uśmiechem. Machi-
nalnie otworzył tabakierkę, patrząc w niebo, pal-
cami rozstrzępionemi, aby na nich solitery tego
dnia będące na dyżurze widać było; wziął szczyptę
i poniósł ją roztargniony, rozmawiając, do pięknego
nosa. Usta tymczasem wyginały się z całą gamma
stłumionych różnych wyrazów, udegrywając z wdzię-
kiem nieporównanym.

— Bardzo się cieszę z poznania pana — rzekł cedząc powoli — bardzo się cieszę.

Oczyma tymczasem egzaminował młodzieńczą postać filuta, który z mniejszą wprawą grał, już jak wirtuoz wielkich nadziei, swą pierwszą rolę na dworze. Brühlowi wydał się skromnym i naiwnym.

— Bardzo się cieszę -- powtórzył minister. — Kraj Helwetów dostarcza nam najzdolniejszych we wszystkich zawodach urzędników, artystów, uczonych. A pan jakiemu się powołaniu chcesz poświęcić? — dodał z uśmiechem.

Simonis się namyślał nieco.

— Właśnie chciałbym samego siebie doświadczyć i wypróbować — rzekł skromnie — jestem młodym i niewprawnym.

— Wyznanie pełne skromności — ciągle się w niego wpatrując mówił minister — daje to o wacpanu najlepsze wyobrażenie. Cieszyłbym się, gdybym mógł go tu zużytkować.

— Byłoby to dla mnie największem szczęściem, w usługach tak znakomitego męża stanu, jak wasza Ekscellencya, pierwsze stawić kroki, ale nie czuję się do tego zdolnym.

To mówiąc, skłonił się dziękczynnie. Brühl uśmiechnął się; skromność przypadła mu do smaku.

— Ja też bardzobym rad zdolnego i tak pełnego nadziei młodzieńca mieć przy sobie — odparł zbliżając się — ale powiedzże mi kawalerze otwarcie, do czego się przykladałeś.

— Ja? wasza Ekscellencya ciężkie mi do odpowiedzi dajesz pytanie — rzekł żywo Simonis — uczyłem się potrosze wszystkiego, a umiem niewiele. Kilka języków posiadam nieźle, lubię muzykę, rysowałem trochę, nie jest mi obcą matematyka; lecz wszystko to potrzebuje bezwątpienia wprawy i dopełnienia.

— A! — zawołał Brühl — jakże z kaligrafią? charakter wyraźny?

— Starąłem się o to — odparł Simonis.

Minister, który znać był nawykł, że mu się inni kandydaci zbyt przechwalali, zdumionym był nieco.

— Będę miał miejsce w mojej kancelaryi — rzekł — możebyś je waćpan chciał zająć przy korespondencyi zagranicznej.

Simonis skłonił się nisko.

— Wielkie to i niespodziane dla mnie będzie szczęście, pracować pod zwierzchnictwem tak wielkiego ministra, którego Europa cała wielbi i podziwia; ale Wasza Ekscellencya raczysz mi dozwoląć choć miesiąc czasu, abym się obeznał ze stosunkami miejscowemi.

— Prawdziwie, zachwycasz mnie waćpan taktem i rozumem nad wiek! — zawołał Brühl. — Proszę bardzo, masz waćpan od dziś dnia wstęp wolny do mnie, dla obeznania się z porządkiem, a rozpocznesz pracę, gdy zechcesz.

Zażył tabaki, strzepnął starannie koronkowe

mankietki i spojrział w zwierciadło boczne, które mu poświadczyło, że postawę i minę miał Richelieu'go lub Mazarina.

— Masz waćpan familią? — spytał.

— Nikogo oprócz siostry, którą w Berlinie zostawiłem.

— Stosunki? znajomych...

— Bardzo mało, a głównie pan Blumli jest i był łaskawym moim opiekunem. Nie będę też tuił przed waszą Ekscellencyą, JMość pan radzca Ammon jest mi krewnym, ale on mnie a ja jego nienawidzę.

— A! a! — zawołał zdumiony Brühl — a toż dlaczego? Radzca Ammon jest człowiek wielce szanowny.

— Tak, ale mnie przybyłego po radę przyjął jak włóczęgę, a uczucie osobistej godności nie dozwala mi mieć z nim stosunków.

Brühl się zamyślił i machinalnie sięgnął do tabaki.

— Wielka szkoda — rzekł — wielka; na ten raz byłoby mi się to wielce przydało. Ale, zdaje mi się, że ja panów do siebie przybliżę.

To mówiąc spojrział na zegarek...

— A zatem, szanowny kawalerze — dodał — zrozumiemy się *vous-êtes des nôtres*, daję panu tylko urlop na miesiąc.

Simonis zaczął dziękować, ale Brühl już się od-

wrócił, ręką okazując, że tego nie wymaga. Po-
biegł z pośpiechem do biurka, jakby przestraszony
nawałem pracy, która go czekała: Simonis wy-
szedł.

Zaledwie się zamknęły drzwi, minister papier
wzięty do ręki rzucił i głęboko się zamyślił. Gdzie
myśli jego błądziły: któż odgadnie? Wzdychał nie-
kiedy. Zbliżała się godzina w której dziś wyjątkowo
u króla być musiał, bo N. Pan po niego przysy-
łał, dając mu znać, że czeka w interesie niecier-
piącym zwłoki.

Już miał zadzwonić o lektykę, gdy bez zapa-
kania wpadł wysokiego wzrostu, piękny i Augusta
Mocnego twarzą i postawą przypominający, w woj-
skowym mundurze mężczyzna. Był to generał Ru-
towski, syn ostatniego króla, wojskowy z powoła-
nia i z upodobania, żołnierz, galant, rycerz; któ-
rego nawet Brühl szanował, bo nie obawiał się
z jego strony żadnej intrygi, a rachował nań
w przypadku wojny.

Na téj nieumiejącej nic ukryć twarzy człowieka,
charakteru z natury otwartego i żywego, każde
wrażenie malowało się jak w zwierciadle. Spoj-
rzawszy nań Brühl poznał odrazu, iż coś musiało
go zburzyć i zaniepokoić. Nie mówiąc słowa Ru-
towski wziął za rękę ministra i poprowadził go do
okna.

— Kochany ministrze — rzekł — wiesz ty do-
kładnie co knują w Berlinie?

— Jakto? cóż oni knuć mogą? to my (*entre vous*) knujemy; ale ten nieszczęśliwy Fryc obsaczony jak niedźwiedź, co on może?

— Pewien jesteś tego?

— Kochany hrabio! racz pomyśleć: my tego człowieka mamy w matni... Ale cóż mogło was tak zaniepokoić?

— Powiem ci: mam wiadomość z Berlina — rzekł Rutowski — mam ją pewną. Fritz skupia czterdzieści tysięcy wojska, które nim my się zbierzemy ku obronie, do Saxonii wkroczą.

Brühl szczerze się rozśmiał.

— Ale kochany hrabio jesteście znakomitym wodzem, nie przeczę; godnym uczniem Wiktora Amadeusza: jednak w polityce chyba uczniem. Możnaż wkroczyć niewypowiedziawszy wojny?

Byłoby to przeciwko wszelkim prawom, *pacis et belli*. Nie mamy z kochanym sąsiadem naszym najmniejszego zatargu, siedzą u nas jego rezydenci i agenci; uśmiechamy się do siebie przez granicę.

Jakżeby mógł, jakżeby śmiał?

Rutowski pomyślał.

— Tak, to prawda — rzekł — ale znaszże ty Fryderyka II-go? — zapytał.

— Pochlebiam sobie, że Jego Grubiańsko-Królewską Mość znam choć trochę — odparł minister. — W chwili, gdy pół Europy się na przyjaciela JMPana de Voltaire szykuje, nie zdaje mi

się, aby dobrowolnie chciał się postawić sam *hors la loi*? Pogorszyłby sobie sprawę — rzekł Brühl z uśmieżkiem — i moglibyśmy mu nawet Brandenburgią odebrać, ogłosiwszy go *au ban de l'Empire*. Ale mój hrabio — dodał — to są czeze, dziecinne strachy. Austrya go tego roku nie zaczepi, a sam, ręczę wam za to, wojny nam nie wyda; król Fritz nadto jest przebiegły, by mógł się tak unieść. *Allons donc!*

Rutowski pomyślał trochę.

— Masz słuszność — odparł podając mu rękę — ja dyplomata nie byłem, nie jestem i być nie chcę. Jestem żołnierzem! Nie rozumiem tych spraw, uląłem się niepotrzebnie. Ale, ale jakże chcesz, doniesiono mi to z takimi szczegółami...

— Naprzykład? — zapytał Brühl szydersko trochę.

— Doniesiono mi, że wojska część jedna ma pozostać pod wodzą feldmarszałka Lewalda na obronę kraju i stolicy, jeśliby weszli Rossyanie. Główne siły rozdzielone są na trzy korpusy, z których jednym dowodzi książę Brunświcki, drugim sam król, trzecim książę Bevern.

Brühl się uśmiechał.

— I te trzy korpusy na nas mają być przeznaczone?

Zaczął się śmiać coraz głośniej.

— Ha, chyba na rok przyszły.

Rutowski stał zmieszany.

— Wście to naturalnie daleko lepiej odemnie wiedzieć powinni — rzekł — jestem więc spokojny i przepraszam, żem was napróżno nudził.

Brühl chwytając go za rękę, poskoczył ku niemu.

— Generale — zawołał — na miłość Bożą, ani słowa o tem przed królem JMością, aby go napróżno nie męczyć. Jestto wprost niemożliwe.

— A! wiesz przecie, że plotek nie noszę! — odezwał się Rutowski.

Podał mu rękę i wyszedł żywo. Brühl ramionami ruszył, spojrział na zegarek; godzina królewska się zbliżała: zaledwie miał czas kazać się zanieść na zamek.

— Kłusem! — zawołał na tragarzy i dwaj silni chłopcy ponieśli lektykę jak piórko.

W przedpokoju minister prawie się przeląkł niespodzianie postrzegłszy oczekującą ciżbę, ale obawa trwała chwilę tylko, wprędce bowiem rozpoznał, że ta gromada osób składała się przeważnie z dzieci Muz i Apollina, z artystów i znawców sztuki. Stał wśród nich z włosami na ramiona rozpuszczonemi i żywemi oczyma, Rafael Mengs, obok niego skromny, szydersko jakoś uśmiechnięty Dietrich; dalej professor i miłośnik starożytności Lippert i wielki znawca kunsztu, erudyt i intrygant, spekulator i krytyk zarazem, niegdyś jeden z sekretarzów Brühla, dziś dyrektor akademii Heinecken. Oprócz

nich kilku Włochów, Anglik Hamilton, malarz scen myśliwskich i inni.

Brühl spojrział na to zgromadzenie, zwołane bez jego wiedzy i zapytał Heineckena:

— Co to jest?

Król nas zawołać kazał: nie wiemy — odparł dyrektor.

Nie czekając dłużej i zostawując tych panów w antykamerze, minister wbiegł do królewskiego pokoju. August zamyślony siedział w fotelu, naprzeciw którego na ogromnym trójnogu stał obraz: było to owo sławne Guido Reniego dzieło nabyte przez kanonika Luigi Crespi z Bolonii od rodziny margrabiego de Tanara.

Na widok Brühla król jakby rozbudzony powstał.

— Brühl! opóźniłeś się — zawołał — tu idzie o rzecz największej wagi. Czy są wezwani znawcy?

— Czekają na rozkazy Waszój Kr. Mości.

— Wprowadzić ich, chcę raz mieć stanowczy wyrok w tej mierze.

Szambelan stojący u drzwi, otworzył je i skinął na oczekujących, którzy z kolei wsunęli się do pokoju, oddając niski pokłon królowi i stając rzędem jedni za drugimi.

August przybrał twarz uroczystą.

— Panowie — rzekł — chcecie się bacznie przypatrzeć arcydziełu temu, ręki cnego Guido Reniego. O autentyczności wątpliwości nie ma. Bo-

skiego mistrza znać na nim dotknięcie. Ale rodzi się wątpliwość straszna, okropna, niepokojąca. Dyrektorze von Heinecken, profesorze Lippert, patrzcie. Tradycya rodziny Tanarów, mówi, że obraz wystawia Salomona i królowę Sabę; tymczasem słyszałem drugich gorąco obstających przy tem, że to jest Ninus i Semiramis.

Wszyscy oczy na obraz zwrócili, milczenie wielkie uroczyście jakieś, ledwie oddechami uczonych mężów przerywane, trwało minut kilka. Król patrzył po twarzach, twarze nie mówiły nic. Każdy oczekiwał zdania pańskiego, aby się do niego zastosować, a z własnem ani się myślał odezwać. Nie szło nikomu o to czy to był Salomon i Saba, czy Ninus i Semiramida, ale wszystkim chodziło o to wielce, ażeby się Najjaśniejszemu nie sprzeciwić.

Brühl usta wydawszy, zatopiony był napozór w kontemplacyi obrazu, chociaż w istocie o czem innem myślał. August III-ci powoli obracając głowę patrzył po tych osowiałych mężach, zdających się co najmniej, ważyć losy świata. Wszystkich fizyognomie, wyjąwszy nieco szyderską Dietricha, były nadęte, zadumane, pomarszczone od wysileń mózgowych. Król uśmiechając się oczekiwał. Nareszcie odezwał się:

— Brühl, ty się znasz; hm? Co mówisz?

— Przychyłam się do zdania W. Kr. Mości — zawołał żywo minister.

— Ale ja właśnie zdania nie mam — rzekł król uśmiechając się.

— Ja także wyznaję — odparł Brühl — zdania mieć nie mogę. Jakżebym śmiał je mieć, gdy W. Kr. Mość, daleko większym będąc znawcą, nie raczysz go wyrzec.

— Hm! otóżto; ale jak sądzicie?

Brühl obawiając się skompromitować ruszył ramiionami.

— Pan dyrektor Heinecken mógłby być w tój mierze sędzią najlepszym — odezwał się Brühl, spoglądając na niego.

Heinecken był jednym z najzręczniejszych dworaków; powołany, skulił się, zgarbił, głowę skłonił, ręce roztworzył i koniec końców, rzekł: — To kwestya!!

— Tak, to kwestya!! to kwestya! — zawołał król uśmiechając się — wielka i ważna kwestya, ale kto ją nam rozwiąże?

Spojrzano na profesora Lipperta, bo każdy rad był pierwsze słowo zrzucić na kogo innego. Lippert to zrozumiawszy jako podstęp i zdradę, ramiionami ruszył, na bok odstąpił i krótko rzekł: — Nie wiem!

August ręce zacierał i śmiał się.

Na widok tego uśmiechu, zaczęli się i inni uśmiechać pocichu, a nareszcie Dietrich prychnął. Ze zgrozą obróciły się nań oczy: trzymał dłoń przy ustach.

— Dietrich! ty szyderco jakiś! niedowiarku; chodź mi tu zaraz — zawołał król. — Co ty mówisz? he? z kogo się ty śmiejesz?

— N. Panie! — nisko się kłaniając rzekł malarz — proszę mi przebaczyć. Śmiałem się ze wszystkich, oprócz majestatu W. Kr. Mości i Jego Ekscellencyi.

— Ale cóż ty mówisz? — nalegał król.

— Ja? — spytał Dietrich.

— Tak, ty.

— Ja? — zamyślił się ponuro i westchnął malarz.

— N. Panie — rzekł — ja mówię, że czy to jest Ninus i Semiramis, czy Salomon i królowa Saba; obraz, arcydzieło i to mi wszystko jedno.

Król w ręce plasnął.

— Bravo! Dietrich, bravo! *e vero!*

Ślicznieś powiedział bardzo, ale tu idzie o katalog, tu idzie o wyrozumienie przedmiotu, tu idzie o dojście prawdy.

— N. Panie! — odezwał się Dietrich — starożytni malowali prawdę nagą i wychodzącą ze studni; ale mnie się zdaje, że ona zawsze tak w szlafroki pozawijana, tak osłonięta i spowinięta, że jej jeszcze nikt na oczy nie widział.

August III-ci aż się za boki wziął od śmiechu. — O! jakież on przedziwny ten Dietrich, jaki on przedziwny!

Malarz skromny już się wyrejterował w tył i schował za drugich.

Na przodzie stał jakoś Anglik Hamilton, znakomity malarz, władający jednak daleko wyborniej pędzlem niż językiem, a do tego dystrakt.

— Panie Hamilton, co wy na to? — spytał król — he?

Anglik głową zaczął kiwać, rękę jedną podłożył pod łokieć i sparł brodę na drugiej: myślał.

— Nie wiem N. Panie — rzekł — może to być Salomon i Semiramis, a może być Ninus i królowa Saba!! Wszystko może być.

Król homerycznym parsknął śmiechem z omyłki, inni prychnęli tak jakby na panewkach proch spalał. Anglik pomiarkował, że się szkaradnie omylił i poprawił się z wielką powagą:

— Przepraszam, może być Ninus i Salomon, albo Semiramis z Sabą.

Śmiech jeszcze większy, Hamilton się nasrożył i cofnął. Nastąpiło głucho milczenie.

August spojrział po zgromadzeniu prawie zafra-sowany.

— Tylu tu widzę mężów uczonych, panowie, nie może być, ażeby żaden z was nie miał o obrazie zdania. Proszę o nie, bardzo o nie proszę, moi panowie; będę za nie wdzięcznym.

Professor Lippert pokiwał głową.

— N. Panie! — rzekł — obraz nabyty jest od rodziny Tanaro.

— Tak — rzekł król — i mieliśmy z nim kłopotu nie mało; gdyby nie ten poczciwy ks. kanonik Crespi, któremu trzeba posłać za to wazon porcelanowy, gdyby nie on, nie miałbym tego obrazu. Tak jest, przywiązywano do niego cenę nadzwyczajną, niedosyć, że chciano 10,000 skudów, co się dało zredukować do 3,000 dukatów w złocie, ale młody markiz de Tanara zaprotestował przeciw sprzedaży tej familijnej pamiątki, tego drogiego klejnotu i nie chciał go wypuścić. Kanonik Crespi musiał u J. Świętobliwości Ojca Świętego wyrabiać breve, a *Academici Clementini di Bolognà* wydali zgodne świadectwo, że to dzieło Guida. Ale cóż mówisz? profesorze...

Familia de Tanara musiała mieć tradycję: wszak dla niej obraz był malowanym! Akademicy Clementini musieli w świadectwie wyrazić przedmiot.

Evero! — zawołał król żywo. — Tradycya mówi o Salomonie, świadectwo o Salomonie, ale jest kwestya, jest kwestya.

Wszyscy znowu oczy zwrócili na obraz i stali niemi, Brühl się skłonił.

— N. Panie! — odezwał się — nie ma tu między nami znawcy nad W. Kr. Mość, a co nasz pan wyrzecz, to będzie sądem ostatecznym.

Król głową potrząsał i chytrze się jakoś uśmiechnął, szepnąwszy cicho:

— Ja nie powiem!!

Położenie dworaków stawało się niesłychanie przykrem. Z tym dowcipem, jaki go charakteryzował, minister odgadł swojego króla, milczenie według niego, nie mogło co innego znaczyć nad Ninusa i Semiramidę.

— N. Panie — odezwał się po namyśle — gdybym miał odwagę przyznać się do mojego zdania!

— Miej ją! proszę! — wtrącił król.

— Sądzę, że i familia zapomniała i akademicy się omylili: To Ninus i Semiramis.

Wszyscy spojrzeli na ministra, podziwiając jego odwagę. Król rozpromieniony w ręce uderzył.

— I ja tak trzymam! — zawołał wybuchając nareszcie.

Szmer się rozległ pomiędzy przytomnymi. Tak jest Ninus, niezawodnie Ninus i Semiramis, powtarzano.

Wejrzeniem objął król zgromadzenie, nie było najmniejszej opozycji; wszyscy teraz utrzymywali, że to nie mógł być Salomon ale Ninus, że niepodobieństwem było, aby w kobiecie malarz Sabę stworzył nie Semiramis. Tylko Dietrich ten szyderca, co umiał wszystkich mistrzów malować a sam sobą nie był nigdy, uśmiechał się dziwnie i krył w kątku.

Professor Lippert wystąpił na poparcie z erudycją, Heinecken z prawdopodobieństwem, Menge z charakterystyką.

Król usiadł w krześle uspokojony zupełnie i rad z siebie.

— Panie dyrektorze Heinecken, proszę obraz w katalogu poprawić, aby mi tam nie stał Salomon z Sabą, rozumiesz. Dzięki Bogu, ważne to pytanie stanowczo rozstrzygnięte zostało: dziękuję panom.

I August uprzejmie ręką ich pożegnał. Z kolei tedy od najstarszych począwszy, szeregiem poczęli się kłaniać majestatowi i schyleni tyłem cofać do drzwi, za którymi każdy dopiero swobodnie odechnął.

Dietrich popatrzał po towarzyszach szydersko, nieco, skłonił się i pierwszy zbiegł ze wschodów.

VII.

Kawaler de Simonis jakoś nierychło dnia tego potrafił się wydobyć z pałacu Brühlowskiego: zaproszono go tu na obiad do stołu dworzan i sekretarzy, przy którym prezydował marszałek dworu. Obiad był wytworny, wino doskonałe, humory wyborne i młodzież potem wybiegła do ogrodu. Max mógłby być zupełnie zadowolonym z przepędzonego tu czasu, gdyby nie jedna okoliczność. Przy stole siadł obok Blumli, ale z drugiej strony, niemal gwałtem się wcisnął młody chłopiec, który mu natarczywie patrzył w oczy i natrętnie szukał jego znajomości. Simonisowi wydało się to jakoś podejrzaniem, bo nie mógł w żaden sposób odgadnąć powodu, dla którego ów młodzieniec zupełnie obcy, tak się do niego cisnął. Od Blumlego się dowiedział, że to był Polak, syn dosyć zamożnego szlachcica, który gwałtem niemal go oddał do dworu Brühla. Minister, który miał dlań jakieś obowiązki z tych czasów, gdy się o szlachectwo polskie starał i Ocieszyńskie sobie pochodzenie wyrabiał, wziął chłopaka do Drezna.

Znali tu wszyscy tego pana Ksawerego Masłowskiego, którego chociaż ich tam na dworze bardzo było wielu, zwano *Kat exochen* polaczkiem. Zrazu był przyjechał do Saxonii z podgoloną głową, przy szabelce, w kontuszu i żupanie; ale że na dworze Brühla noszono się po europejsku, musiał w końcu przebrać się jak drudzy. Taka była wola pana stolnika, ojca pana Masłowskiego. Na dworze dziwną Ksawerek grał rolę, bo niebardzo tu kogo szanował, głowę do góry zadzierał, żartował ze wszystkich, i choć po francuzku mówił jak hiszpańska krowa, a po niemiecku jak owca hiszpańska, łamanym językiem, nitki na nikiem pocziwój nie zostawił. Kraj mu się wydawał osobliwy, ludzie śmieszni, stosunki dziwaczne, po szlachecku się zapatrując na to ramionami tylko ruszał i drwił.

Blumli, który się go i obawiał i nie lubił, bo był śmiałek okrutny i zawalidroga, ostrzegł zaraz Simonisa z kim miał do czynienia, żeby się miał na ostrożności, bo Masłowski do nikogo nie zwykł się był czepiać darmo.

Kawaler więc grzecznie się go zbywał przez cały obiad, sądząc, że chłodem odpędzi. Nie było to tak łatwo, Masłowski kroku od niego nie odstąpił, a gdy się przenieśli do ogrodu i Blumli odszedł nieco, pochwycił Simonisa jak swojego. Tym razem Szwajcar sądził, iż łagodnością i uprzejmością go rozbroi, przestał się więc wrywać.

Masłowski był słuszny, blondyn z nosem ma-

leńkim garbatym a ustami wydętymi i oczyma wysadzonymi na wierzch. Okrutna się buta malowała w tój twarzyczce. Śpiczastą nieco głowę z dziwnie do góry zaczesanemi włosami, nosił zawsze zadartą. Mały wąsik blond, który lubiał pokręcać, i którego dla stroju francuzkiego nie chciał poświęcić, zdobił mu wargę wierzchnią.

— Cóż szanowny kawalerze — odezwał się do ogrodu wyszedłszy Masłowski — jak się panu ten niemiecki kraj podoba?

— A! bardzo — rzekł Simonis.

— Bardzo? ja się panu przyznam, że mnie niekoniecznie. My oba jesteśmy republikanie, a to przecie zupełnie co innego; szlachty ani widać: sami lokaje i urzędnicy.

Kawaler zmilczał nieco.

— No i lutry mało nie wszyscy — rzekł Masłowski — w katolickim kościele dzwonu powiesić nie wolno, jak u nas na bożnicy.

Ruszył ramionami, rozśmiał się pokazując białe zęby i dodał:

— Ale dziewczęta ładne!

Simonis, gdy raz wpadli na tę materję, wcale nierezonującą i nieprzedstawiającą niebezpieczeństwa, odetchnął wolniej.

— Ja tu mało kogo widziałem! — rzekł.

— Ale! ale! — przerwał Masłowski — nie tracisz pan czasu. Wszakże pan już znasz najpię-

kniejszą ze wszystkich i niemal ją codzień widujesz.

— Ja? kogo? — spytał zdziwiony Simonis.

— Ano pannę baronównę Nostitz, która jest przy królowej frejliną. Oprócz tego juści pan i z naszą hrabiną zabrał pono znajomość.

Szyderski uśmiech Masłowskiego, pokręcającego węża, nie podobał się Simonisowi.

— Hrabina jeszcze hoża baba — mówił szlachcic — wcale niczego jak się wyczupurzy; a Pepita choćby na sobie i listka babuni Ewy nie miała, byłaby jak anioł ładna! Tego to panu zazdroścę, że ją tam u stryjenki widujesz...

— Ale zkądże pan o tem wiesz? — spytał Simonis.

— Ja? widzi pan — mówił szlachcic — ja tu nie mam nic do roboty, ojciec mnie oddał dla przetarcia się i przecieram się... Patrzą, szpiegują i kpią. Ciekawy jestem! Cóż mam robić? Do czego próżnowanie nie doprowadzi. Wszystkie ładne panny znam, a co Pepitę choć Niemkę, przyznaję się, że uwielbiam. Gdyby nie była taka dzika, ja bym ją nauczył po polsku.

Simonis się uśmiechnął.

— Mówiłeś pan, że mi zazdrościsz, ale do prawdy nie ma czego, ja ją ledwie kilka razy widziałem.

— Kilka razy! ale swobodnie! a ja tylko ją
Z siedmioletniej wojny.—T. I.

oczyma gonić muszę; rozmowy ani sposobu. Śliczne stworzenie — dodał Masłowski, wzdychając.

— Kochasz się waćpan w niej? — spytał Simonis szydersko.

— A nie wiem — rzekł Masłowski — ale bardzo być może, iż... wypadnie się zakochać. Prawda, że Niemka, no, ale szlachcianka i taka bestya ładna i niegłupia.

— I śmiała — dodał Simonis.

— A to nic nie szkodzi, ja sam śmiałe lubię. Przyznam się panu — przebąknął Masłowski — że tój pannie winienes, żem się tak mu do boku przyczepił. Chciałem was ostrzedz. Jakby wam ochota przyszła koperczaki do niej stroić, to między nami byłaby awantura.

Simonis stanął i popatrzał mu w oczy.

— Cóż to ma znaczyć? — spytał śmiejąc się.

— Czy pan kiedy w życiu spotkałeś szlachcica polskiego? — odparł drugim pytaniem Masłowski.

— Nie — rzekł Szwajcar.

— No, widzi pan, co kraj to obyczaj; my szlachta naszój rzeczypospolitój od nie wiem wielu lat mieliśmy i mamy przywilej sami tylko bronić kraju. U nas chłopów w wojsku nie ma: oni sobie ziemię orzą. Otóż od dzieciństwa nawykłszy do szabli i żołnierki, mamy ten nałóg, że gotowiśmy się bić o lada co. Co robić! dłonie świerzbią!

— A! — rzekł Simonis — ja też nie źle się fechtuję i strzelam.

— A ba! daj ty mi pokój z fechtunkiem — rozśmiał się Masłowski — ja z różnami waszemi nie mam do czynienia, choć i tegom się uczył; u nas na szabelki. To mi gra. Szpada to śmiech, a szablą jak płatnie...

Zamachnął Masłowski.

— Ale dajże mi waćpan pokój, mój rycerzu szablowy — odezwał się ze śmiechem Simonis — ja ci przecież w drogę nie wchodzę.

Masłowski podał mu silną i szeroką dłoń.

— Widzisz kochany kawalerze — rzekł — mnie się zdaje, że starzy i młodzi, kto żyw w baronów nie kochać się musi.

Ruszył ramionami i począł poświstywać.

— Ja kłótni, uchowaj Boże nie szukam, ale się napieram do przyjaźni waćpana. Wiesz dlaczego?

— Cóż to takiego?

— Oto dlatego, że mi ta przyjaźń da sposobność uczęszczać na trzecie piętro kamienicy, w której na drugim ta dziewczeczka czasem przebywa. Mogę obrachowawszy się dobrze, idąc spotkać ją na wschodach.

Simonis się śmiał, śmieli się oba.

— Zeby ojciec wiedział o tem — rzekł Masłowski — dopierożbym się miał zpyszna. Gdy mnie na to przecieranie się w świat wyprawiał, choć mi to nie było do smaku wcale, zapowiedział najuroczyściej, że jeśli się w Saxonii z babami wdam w amory, sto bizunów na kobiercu.

Simonis aż odskoczył.

— Kochany Szwajcarze — rzekł seryo bardzo Masłowski — u nas sto bizunów jest porcyą bardzo umiarkowaną. Ja ci ręczę, że dają i po dwieście. Zaś mniej dwudziestu pięciu, szkoda zakasywać rękawy i szarawary.

Ale z drugiejj strony, bracie republikaninie — mówił dalej pan Ksawery — trzeba wiedzieć, że u nas wielcy panowie, kiedy im przyjdzie fantazyja skórę trzepać, często płacą potem po dukacie od bizuna.

Simonis słuchał już nierozumiejąc.

— Co chcesz — ciągnął dalej Masłowski — u nas świat inny, jakże ty chcesz, ażeby mi się tu podobało. Wcale inne obyczaje: tu wszystko w kątku i pocichu.

Schylił mu się do ucha.

— Słyszałeś o Koenigsteinie? o Pleissenburgu, o Stolpen? Tam i naszej dużo szlachty rekolekcyje odsiadywało. W Stolpen król starą kochankę posadził, gdy mu się sprzykrzyła, a do Koenigsteinu codzień wożą. U nas tego niema. Prawda, tu świat polerowany bardzo, ale gęby na kłódki pozamykane. U nas mówić wolno co komu ślina do ust przyniesie; u nas, ale ty tego nie zrozumiesz kawalerze de Simonis. My ludzie trochę dzicy, prawda, ale u nas każdy Pana Boga chwali jak chce, co ma na sercu to wypowie i sejmy mamy, na których się wykrzyzczyć można co dusza zapragnie.

— Tak, o sejmach słyshałem — odparł Simonis — u was jeden szlachcic zrywa sejm gdy zechce.

— Tak jest i jeżeli go w miejscu nie rozsiekają, to mu nic.

Kawalerze de Simonis — przerwał nagle Masłowski — czy nie myślicie wy iść do domu? ja bym was rad przeprowadził.

Rozśmiał się Szwajcar, wymawiając od tego honoru, a że Blumli nadszedł, skłonił się Masłowskiemu i wymknął z nim razem.

Blumli chmurną miał twarz.

— Chodź do mnie — rzekł — tu niebezpiecznie mówić, a do pomówienia mamy.

Z ogrodu więc przez pałac znowu się dostali na Nowy Rynek i skierowali ku mieszkaniu Blumli.

Tu, gdy się znaleźli sami, tak, że ich podsłuchać nie było można, Szwajcar schylił się do ucha Maxowi.

— Coś dziwnego krąży w powietrzu — rzekł — jakieś pogłoski chodzą niezrozumiałe; Brühl udaje wesołego, tai się z czemś, ale niespokojny. Ludzie co od granic jadą, wciąż plotą o wojsku pruskim, jakoby już zbliżającym się trzema korpusami ku granicom naszym.

Dopóki się życie ciągnęło jak było, nieraz sobie człowiek sprzykrzył; teraz gdyby uchowaj Boże na wojnę się zanosło, co będzie z nami?

— To jedno — mówił Blumli — ale nie mniej trwoży, że u nas zdrajców się i szpiegów pruskich

namnożyło. Najmniejsze podejrzenie, człowiek zginąć może.

Simonis udał bardzo obojętnego.

— Feulner tam coś do Berlina donosił, wzięli go na Koenigstein, a dziś, ale zachowaj to przy sobie, osób nie znasz, dziś uganiają się za Mentzlami, z których jeden podobno depesze Prusakom wydawał. Oba Mentzle zniknęli. Brühl się wścieka, bo długo nie wierzył w zdradę, bo Flemingowi odpisywał, że to nie może być, a jeśli depesze nasze ma Fryderyk i wie co myśmy mu życzyli, no to około nas źle być może.

Blumli westchnął.

— W Dreźnie oprócz trocha gwardyi, żołnierza i załogi nie ma; co nam pomoże forteca i mury, kiedy na nich dział nie widać. Myśmy do baletu gotowi choć jutro, ale do wojny ani za roku.

— Ależ wojna tak rychło przyjść nie może.

Towarzysz ruszył ramionami.

Wtem hałas posłyszeli za sobą i Blumli odciągając Simonisa ustąpił z drogi spostrzegłszy dwór, który w wielkiej paradzie ciągnął na strzelanie do celu do bażantarni.

Na przepysznych koniach strzelcy nadworni, myśliwstwo, jägermeisterowie, dalej król, synowie jego starsi, królowa, kilka pań, Brühl i jego żona, generałowie, dygnitarze; wszystko to poważnie bardzo ciągnęło z tem przejściem się uroczystością zajęcia, jakby przystępować miano do niesłychanej

ważności dzieła. Na twarzy króla pogodnej, zamysłonej, było jakieś Nemrodowskie namaszczenie, strzeleckie jakieś niby kapłaństwo.

Biada temu, ktoby patrząc na to odważył się ironicznym uśmiechem tę kalwakatę powitać: Brühl srodzeby ukarał zuchwalca. Gawiedź co prędzej ustępowała z drogi, a czapki i kapelusze leciały z głów; dworska służba przodem jadąca czuwała, ażeby ulice były oczyszczone.

Procesjonalnie tak, zwolna przeciągnęli wszyscy w milczeniu, a dwaj Szwajcarowie z odkrytymi głowami zatrzymali się dając orszakowi miejsce. Mimowolnie porównywał Simonis Sans-Sousi do Drezna i sam nie wiedział coby był wybrał. Tu w istocie był majestat jakiś, tam tylko siła pewna siebie i szyderska, tu zdzięciaciała powaga, tam nagrający się z całego świata cynizm z kijem w rękę. Łatwo było przeczuć, że człowiek, który uroku tego nie poszanuje, bezsilną pychę zwycięży. Lecz przyznać trzeba było, iż dla oka ślicznie się to wydawało, a etykieta dworu, wielkiego mu dodawała blasku.

Gdy dwór przeciągnął cały, milcząc dwaj młodzieńcy poszli za nim ku domowi Blumli i wkrótce oba zamknięci w nim gwarzyli przy butelce wina.

VIII.

Późno wieczorem wrócił Simonis znużony do domu, w którym już wszyscy spali, rozmyślając nad wcale nieosobliwym położeniem swoim. Mijał milczące drugie piętro, gdy stara Gertruda otworzyła drzwi, wyjrzała ostrożnie i poznawszy go przy świetle ogarka, który trzymała w ręku, dała znak, aby szedł za nią.

Zdziwił się nieco Simonis tak późnem zaproszeniem, lecz posłuchał go. Staruszka siedziała w wieczornym dezabilku i ogromnym czepcu ze wstążkami na swoim fotelu i drzemała. Świeca okryta umbrelką paliła się na stoliku.

Zobaczywszy Simonisa dała mu znak, ażeby usiadł naprzeciw.

— Cóż tam słychać? — zapytała pocichu, jak gdyby Gertruda nie była głuchą — co mówią w mieście? Jestem bardzo niespokojną. Feulnera wzięli, a choć się nie wygada pewnie, zawsze u niego coś znaleźć mogli; Mentzel uciekł, ale czy go nie dogonią? czy go nie wyda kto?

Nareszcie i o waćpana mi idzie — dodała ciszej — tak, o waćpana...

— O mnie? — spytał zdziwiony Simonis.

— Czyś się waćpan podpisywał na listach do hrabinęj de Camas? — zapytała baronowa.

Zbladł Max. — Dlaczego mnie pani pyta o to?

— Bo zdaje mi się, że na listy czatowano i schwymano je.

Simonis ust nie mógł otworzyć.

— Pani to zkąd wie?

— Wiem — zimno odezwała się baronowa — wiem... to dosyć.

— Ale ja dziś rano byłem u ministra, który mnie przyjął jak najlepiej.

— A wieczorem listy waćpana są u niego na stoliku.

— One szły przez Beguélina — zrywając się z siedzenia, odezwał Simonis.

— A Beguélin więcej myśli o serach swoich jak o listach. Waćpan, jeśli tak jest, nie masz chwili do stracenia: idź na górę, zabierz co konieczne, resztę oddaj Gertrudzie; każe zanieść na strych. Gdy zapukają do wrót, nie czas już będzie.

— Lecz gdzie się ja skryję?

Staruszka mimo wieku, zachowała zimną krew i przytomność.

— Idź waćpan na górę, spal jeśli co masz; zabierz pieniądze, weź płaszcz, zmień kapelusz: dam ci kartkę do Serba, mojego starego sługi,

który mieszka w chatce nad Elbą między rybakami. Dopytasz się do niego. Spiesz...

Simonis zawahał się z początku, staruszka wskazała mu na drzwi.

— Spiesz! — powtórzyła — idź a pamiętaj, jeśliby cię złapano, nie mów nic o mnie. Żlebyś mi się wywdzięczył. Stare moje kości już ani więzienia ani męki nie wytrzymają.

Max zerwał się z miejsca żywo i copędzej pobiegł na górę. Zaczęty list spalił przy ogarku, który mu dała Gertruda, złoto swe pochował w kieszenie, płaszcz narzucił na ramiona; westchnął, łza niemężka zakręciła w oku i już biegł na dół. Staruszka podała mu drżącą rękę do pocałowania.

— Idź waćpan: idź, idź...

Simonis co tchu zbiegł na dół, drzwi ostrożnie otworzył; na rynku nie było widać nikogo: księżyc świecił i plac stał pustkami.

Nie dobrze sobie zdając sprawę z tego co uczynił, puścił się ku Frauen-Kirche i dla odetchnięcia a zorientowania przyparł u jednego z jej ganków.

W tejże chwili z przyległego gmachu, który dawniej część kościoła zakrywał, i w którym mieścił się odwach główny, ujrzał wychodzących sześciu żołnierzy, oficera i urzędnika, który temu oddziałowi przodował. Za żołnierzami włókł się w płóciennęj odzieży człowiek, który trzymał łańcuszki w ręku. Simonisowi zrobiło się jakoś mdło, zakręciło mu się w głowie, nie mógł z miejsca ruszyć,

choć chciał uciekać. Widział jak żołnierze skierowali się do bramy domu baronowej i jak urzędnik do niej stukać zaczął.

Nie było wątpliwości, straż ta po niego szła; musiał więc co najrychlej umykać z placu i za Pirnaską bramą szukać przejścia gdzieś nad Elbę, aby tam znaleźć schronienie. Nieznającemu dobrze miejscowości, wyprawa ta była niesłychanie trudną i ryzykowną.

Tonący brzytwy się chwyta. Simonis nie wiedząc już dokąd bieży, począł szybko mijać rynek i wpadł w pierwszą jaką napotkał ulicę; z tej puścił się w inną i niebardzo bacząc dokąd idzie; dobierając tylko jak najciaśniejsze i najciemniejsze uliczki, o które w ówczesnych miastach nie było trudno, zupełnie się zbłąkał. Zdało mu się wszakże, iż tu był bezpiecznym. Okiennice wszędzie były pozamykane, bramy zaparte, mało gdzie świeciło się w oknie: w zaułkach oprócz kilku psów, błąkających się nie spotkał żywej duszy. Idąc po tej stronie na którą cień padał, nie lękał się, aby księżyc w pełnym blasku mógł go zdradzić. Niekiedy nastawiał ucha, chcąc szmery dalekie usłyszeć i rozpoznać, ale te na chwilę tylko zaszumiawszy tonęły gdzieś w głębiach. Zdawa czasem skrzywienie drzwi otwierających się chwytał i trzask zamykania, niekiedy jakby ostrożne stąpanie po bruku. Przystając, to idąc, rozmyślił się wreszcie, że w jakimkolwiek kierunku, iść należy, nie zmieniając go, aby

tak do dnia nie błądzić i na patrol jaki nie natrafić. Prawdopodobnie nie znalazłszy go w kamienicy, musiano szukać w mieście; ostrożność więc zachować musiał największą.

O! jakże sobie w tej chwili wyrzucał, że się dał w tę sieć wpędzić, z której nie wiedział czy wyjdzie z całą głową! Dom stary w Bernie, siostra, młodość, Berlin, stancyjka u cukierników, Carlotta: wszystko mu teraz ze łzami na pamięć przychodziło. Strwożony włókł się pod murami i płotami, rozglądając czy nie rozpozna położenia; gdy wreszcie trafił na większą jakąś ulicę. Ale na niej posłyszawszy śpiew wesoły, cofnął się w cień i czekał. Środkiem szedł właśnie młody człowiek, jedną ręką w bok się wzięwszy, drugą spierając się na lasce; kapelusik na lewem uchu, mina gęsta a humor jak po węgierskiem winie. Simonsowi zdawało się, że coś podobnego gdzieś widział niedawno i nie mylił się, było bowiem pan Ksawery Masłowski. On i kilku młodzieży szlacheckiej ze dworu Brühla i N. P., sprawili sobie po teatrze niemieckim w Gewandhauzie traktament w winiarni u Czecha Hreczki, przy uliczce Kreuzkirche. Tamci się jakoś porozchodzili, a Masłowski powracał do domu, i żeby mu smutno nie było, polską na całe gardło śpiewał piosenkę.

Szwajcarowi, zobaczywszy kogoś ze dworu Brühla, zimno się zrobiło, choć noc aż nadto była parna; przylepił się do muru w przekonaniu, że go prze-

chodzień nie postrzeże: ale wśród ulicy pustej, nie mając co robić z oczyma, Masłowski przeglądał niemi wszystkie kąty. Dojrawszy nieruchomo stojącego człowieka, rad, że może trafić na awanturę, nie zastanawiając się wprost puścił się na niego z krzykiem *Wer da?*

Zrazu Simonis chciał uciekać, ale siły i determinacyi mu zabrakło; wziął się więc już do szpady, gdy Masłowski przypadłszy tuż poznał go i rozśmiał się na całe gardło.

— A ty tu co robisz, Szwajcarze? mnie pod sekretem mówiono, że cię wieczorem na odwach za coś miano wsadzić i wybierałem ci się tam oddać wizytę.

— Na miłość Boga! nie zdradzicie mnie! — zawołał Simonis — wy Polacy macie naturę szlachetną. Chciałżebyś się znęcać nad nieszczęśliwym!

— Niech Bóg uchwaja — zawołał Masłowski — na złość tym szöldrom bronić cię będę; ale powiedzże mi prawdę, rękę na sercu położywszy, sumiennie, uczciwie, coś zbroił?

Simonis był w takim położeniu, że nie miał już nic do stracenia: rodzaj gorączki go opanowywał.

— Szlachetny młodzieńcze — rzekł — przybyłem z Berlina, to starczyło, aby mnie posadzić.

— A jak na teraz, to dosyć posadzenia, ażeby do sznurka się wzięli — krzyknął Masłowski. — Ale przyznaj się: tyś pruski, hę?

Szwajcar się zawahał.

— Słuchajże! Bóg widzi, mnie to zupełnie wszystko jedno: jak tylko Niemiec, gatunku nie mogę rozpoznać. A tak mnie to bawi, że oni się z sobą tłuc będą! A jak mnie to bawi! Gdybym mógł, tobym z obu stron podzegał! Bądź ty sobie pruski, saski, austriacki, a mnie co do tego? jak tylko im pomagasz, żeby się z sobą jedli, to cię kocham!

Lecz wiesz co, kawalerze szwajcarski — dodał ciszej — cóż ty myślisz z sobą? Ciebie szukają, a jak znajdą, nie ma żartu. Brühl słodki jest, ale jemu człowieka sprzątnąć, jak mnie wypić kieliszek. Ty się musisz skryć, i pomagaj Prusakom niech Sasów tłuką, a potem jeśli ci z tem będzie lepiej, pomóż Sasom, żeby Prusaków wytłukli. Jak ich mniej będzie świat nie przepadnie.

Maszże ty już jaką dziurę?

Simonis się jeszcze wahał.

— A! gadajże tchórze — zawołał Masłowski — żaden Polak nigdy nie zdradził.

— Mam — odparł Simonis — ale do niej sam nie trafię, bo miejsca nie znam ani ludzi.

Obejrzał się pan Ksawery: w ulicy żywej duszy nie było.

— Dalekoto? — zapytał.

— Nad Elbą, między rybakami — rzekł Simonis.

— Hm! — odparł szlachcic — ja co innego

mam na myśli: niech sobie ta dziura zostanie na wszelki wypadek na później. Gdzie ty tam w śmierdzącej chacie o cebuli i razowym chlebie wytrwasz? Ja ci powiem co zrobimy. Ja się nikogo w świecie nie lękam. Stoję sam jeden u wdowy, nawet nie starój, u niejakiój Fuchsowój: oto ztąd niedaleko kilkadziesiąt kroków. Fuchsowa mnie drze, ale nie zdradzi i dałaby się posiekać za mnie. Nie pierwszy to raz u mnie się kto przytuli i przemieszka kilka dni. Powiem babie: „*Verstehen*“ język za zębami *halt!* Będzie milczała, choćby ją pieczono.

— Nie będziesz się lękał? — spytał Simonis.

Masłowski oczy otworzywszy szeroko, odstąpił kroków kilka.

— Ja? żebym się szołdrów zląkł? A! niedoczekanie ich! Szwajcara, jakby się zawzięli, mogą poturbować i połaskotać koło szyi, ale polskiego szlachcica? ha! ha! Co mi zrobią? wsadzą do Koenigsteinu? Ano, wielka rzecz: ojciec uwolni. Chodź!...

To mówiąc pociągnął go z sobą, a dla większej pewności pod rękę go ujął i tak prowadził do pani Fuchsowój. Masłowskiego ojciec, pan stolnik był człowiek majątny; kilka razy już długi synowskie płacił, działało się więc panu Ksaweremu u Fuchsowój jak nie można lepiej.

Jak tylko do bramy zaczął kluczem świdrować, służąca w pantoflach zbiegła ze światłem, a na

pierwszem piętrze czekała gospodyni, średnich lat, nieszpeta kobiecina, wygadana, śmiała dworka. Gdy ją zobaczył Masłowski, zaczął zaraz łamanym językiem witać ją i oznajmywać, że prowadził z sobą przyjaciela, że ten kilka dni u niego spocznie: ale o tem powinno być cicho.

Fuchsowa oczyma tylko ciekawie zmierzywszy młodego chłopca, usty i rękami zaręczyła uroczyście, że spełni polecenie grafa. Masłowski jak wszyscy majątniejsi Polacy, dostał ten tytuł od Fuchsowój; potwierdzili go potem tragarze, którym dobrze płacił i kupcy u których brał na kredyt.

Mieszkanie pana Ksawerego nie było paradue, a po saskich w porządku utrzymanych, wydawało się tem co dotąd Sasi zwać zwykli *Polnische Wirtschaft*. Nieład panujący tu, dwa razy tyle kosztował, co gdzieindziej najwyszukańszy porządek. Fuchsowa nieśmiała zaprowadzać u niego żadnych reform bo Masłowski się gniewał.

Wśród dosyć porządnych mebli stały buty pod krzesłem jednym, na drugim wisiał przyodziewek, na trzecim ręcznik; miednica stała na stoliku wśród papierów, świeca przy talerzach z owocami; na ówieczkach tu i owdzie wisały piękne i nie piękne rzeczy; na kanapce leżała biała poduszka: na łóżku w drugim pokoju stało pudło.

— Przepraszam cię, kochany kawalerze Simonis — począł wchodząc Masłowski.

— Na miłość Boga! nie wymawiajcież mojego nazwiska — krzyknął Szwajcar.

— A! prawda; ale jakże was będę nazywał? he? Po imieniu?

— Ani po imieniu.

— Ochrzcijże się, kim chcesz być.

— Włochem nazwij mnie.

— Terrini, znałem jednego, który się tak nazywał, to mi łatwiej będzie — podchwycił Masłowski. — A zatem Signor Terrini, przepraszam cię za nieporządek u mnie. Niemcy się z niego wyśmiewają, ale te szoldry nie rozumieją bestye tego, że ja szlachcic wolny, nie chcę być niewolnikiem moich rupieci i dla nich się męczyć: pal ich diabli! Niech każda rzecz tam leży, gdzie ja każe, nie gdzie jakiś głupi wymaga porządek.

Pomimo to będzie ci wygodnie, możesz nogi położyć na stole, kiedy chcesz; u mnie wolno wszystko... mojem godłem: *libertas!*

To mówiąc, Masłowski wskazał na drugi pokój, gdzie stało łóżko.

— Gość jesteś, zdejmę pudełko i oddaję ci łóżko: sam się prześpię na kanapie. Jeśli jesteś zmęczony, zrzuć łupinki z siebie i idź prosto w bety, a ja sobie radę dam: bądź spokojny.

Simonis jednak dalekim był od tego uczucia. Ucisnął rękę Ksawerego z wdzięcznością.

— Ale jutro?... jutro co będzie?...

Z siedmioletniej wojny.—T. I.

— Jutro ja idę na służbę — rzekł Masłowski — dla samój niepoznaki, muszę. Fuchsowój zapowiem, że tu nie ma nikogo; musi uwierzyć, bobym babie uszy natarł dopiero. Zamkniesz się na klucz i jesteś jak u Boga za piecem.

— A jeśli się wyda?

-- Jakimże sposobem ma się wydać?

— Któż to przewidzi?

— To nie może być.

— Lecz, gdyby...

— A no? gdyby; widzisz kochanie, moje okno z sypialni, hę? wychodzi do ogrodu... Ofiaruję ci dwa prześcieradła, które masz czas skrócić i związać, spuścisz się i drapniesz prosto nad Elbę. Mówiono mi, że tego sposobu doskonałego używał kompatriota asindzieja Blumli, ile razy go Brühl zastał nie w porę u Miny i takiej nabył wprawy, iż go to potem nic nie kosztowało.

Masłowski śmiał się i już zaczynał rozbierać.

— Idź spać kawalerze Simonis, u mnie się nie ma czego obawiać! Jabym was dlatego samego bronił, że im pomagasz do ciupaniny! A! gdybym wojny między niemi doczekał, to dopiero będzie satysfakcja. Dobranoc kawalerze, kładź się, ja tu na warcie! Dobranoc!

IX.

Ostatnich dni sierpnia, ktoby był po dłużej niebytności przyjechał do spokojnego Drezna, mógłby go nie poznać. Jakieś niezwyczajne, rozbudzone życie krążyło nietylko w ulicach miasta, ale w najodleglejszych jego zakątkach. Twarze, które spotykano, potrwożone były, zdziwione, niektóre uśmiechały się szydersko, inne krzywiły smutnie. Kupki mieszczan gromadziły się tu i owdzie, szeptano między sobą żywo, a na widok wojskowych i urzędników rozpierzchały się w mgnieniu oka. Z okien domów, na najmniejszy hałas wyglądały ciekawie głowy w perukach, czepkach i szlafmycach. Od zamku kiedy niekiedy wyjeżdżał konny gwardzista, pędził ciężkim kłusem ku Pirnajskiemu przedmieściu i znikał. Około pałacu Brühla ruch był większy jeszcze niż gdzieindziej, lektyki i powozy stały przed nim, odchodziły, powracały, posłańcy bez kapeluszków biegali z zamku i do zamku; kobiety szczególnie były w gorączkowym ruchu.

Hrabina Brühlowa siedziała u królowej, mini-

ster był przy królu, a w jego salce czekało nań niecierpliwie mnóstwo osób. Wszystkich twarze były zafrasowane, namarszczone, Hennieke chodził z głową zwieszoną. Globig i Stammer kłócili się z sobą. Wnoszono i wnoszono pliki papierów. Generałowie przybiegali, dowiadywali się i odjeżdżali. Niekiedy przez most od Nowego Miasta wpadał na koniu kurjer wprost przed pałac Brühla i szybko ze skórzaney torebki dobywszy listów, oddawał je na dole, a z rąk do rąk chwywane dostawały się w mgnieniu oka do sali, gdzie je Globig bez ceremonii rozpieczętowywał; służba jak oparzona biegała, wołana, odwoływana, wylękała. Nigdzie dnia tego nie było porządku a rozkazywał kto chciał. Słuchano jednych, zapominano o rozkazach drugich, frasunek opanował do najmniejszego pachołka.

Wśród tego dworu oszalałego niemal jakąś trwogą, Masłowski z rękami w kieszeniach, z miną napozór seryo, w istocie szyderską, chodził przysłuchując się, przypatrując jakby go to niesłychanie bawiło.

Nie wydawał się jednak z tem uczuciem i przed towarzyszami przesadne rozwodził żale.

Do osób, które na Brühla już oczekiwały, w tej chwili przybył jeszcze generał Rutowski. Z posepnem czołem rozepchnął tłumy te, nie patrząc prawie na nie; zapytał o ministra, niecierpliwie się zżymnął usłyszawszy, że go nie ma i otworzywszy

sobie gabinet, padł w nim na krzesło przy stole, głowę opierając na ręku.

— Słuchaj-no — rzekł do jednego z kamerdynerów — jak tylko minister wróci, dać mu wiedzieć o mnie.

Ale ministra nie było, godziny porządkowe zmieszane zostały, nikt nie wiedział kiedy się co zacznie i skończy. Pomniejsza służba korzystała z tego szczęśliwego składu okoliczności, po kątach wysuszając butelki i ściągając niekontrolowane słodycze. Nikt ich teraz nie pilnował.

Wśród tego szmeru i wiru, nagle stała się cisza, a potem gwar, ruch, zamęt, wrzawa podnosiły się jeszcze. Wołano :

— Jego Ekscelencya.

Drudzy poprostu — Brühl.

W istocie minister wysiadał z lektyki i nie widząc nic, nie słysząc, nie zważając na to co się koło niego działo, biegł na wschody. Twarz miał gniewem wywróconą, bladą i zestarzałą nagle; jeden mankiet koronkowy wisiał u rękawa oddarty, peruka była w nieładzie.

W sali powlókł oczyma po twarzach przytomnych i jakby nie widział nikogo, wpadł do gabinetu, w którym siedział Rutowski.

Za nim też wcisnęli się hr. Loss, kanclerz Stammer i prezydent konsystorza Globig, wszyscy wicekrólami zwani. Zmienione ich twarze zwiasto-

wały przestkach; Loss trzymał papiery w rękę tak drżącym ze wzruszenia, iż latały z góry na dół.

Za nimi nadbiegł z zamku dążący generał adjutant baron von Spörken. Stosownie do temperamentów, twarze tych panów były blade jak marmur, żółte jak wosk, czerwone jak piwonie: baronowi von Spörken krew o mało nie tryskała z oczów, Rutowski poważny i smutny, miał majestatyczny spokój ojca, którego był obrazem.

Brühl stanął w pośrodku i odetchnął.

— Panie generale — rzekł do Spörkena — zmiłuj się, rozporządź, nakaż, pilnuj, aby mi do króla nikogo, ale co się nazywa nikogo z wojskowych niedopuszczano.

— To się rozumie, bądźcie spokojni — rzekł Spörken.

Oczyrna jakby obłąkanemi Brühl powiódł po ścianach i siłą woli odzyskał przytomność i krew zimną, przynajmniej pozornie.

— Rzecz jest niesłychana, w dziejach niepraktykowana, niepojęta, która wszelkim kombinacyom kłam zadaje, bo się wszelkiemu prawu urąga. Słyszeliście panowie?

Rutowski podniósł głowę.

— Tak jest; co chwila gońcy to potwierdzają — mówił Brühl, coraz usiłując się spokojniejszym okazać — tak jest. Król Fryderyk niepomny praw narodów, nie wypowiedziawszy nam wojny, nie mając najmniejszego powodu do najazdu, trzema kolumnami

wkracza do Saxonii. Oto są z Berlina doniesienia jak najdokładniejsze. Ma czterdzieści tysięcy ludzi. Książę Ferdynand Brunświcki wszedł do księstwa magdeburgskiego a kwatermistrz i przednie straże na Halle, Lipsk, Borne, Chemnitz, Freiburg, Dip-pelswalde zmierzają ku Dreznu. Król sam z wyborem żołnierza idzie po lewym brzegu Elby przez Wittembergię, Torgau, Meissen, zapewne na Kesseldorf. Książę Bevern od Frankfurtu nad Odrą, przez Elsterwerdę, Budziszyn, Stolpen i Lohmen, dąży w okolice Pirny.

Rutowski porwał się z krzesła łamiąc ręce.

— A my przeciwko tym trzem oddziałom, mamy zaledwie...

— Trzydzieści tysięcy żołnierza! wybornego żołnierza — przerwał Brühl, porywając papier ze stołu. — Tu stoi rachunek. Trzydzieści tysięcy...

Rutowski szybko z za munduru dobył inny papier.

— Hrabio, mylisz się i uwodzisz! — krzyknął — nie mamy połowy tego. Piętnaście tysięcy z ciurami, ani jednego więcej.

— To być nie może! — odezwał się Brühl.

— Tak jest! tak jest! Na papierze mieliście ich trzydzieści, ale ja wiem, że połowy nie ma przy regimentach.

— Austria — zawołał Brühl.

— To drugie złudzenie — przerwał Rutowski śmiało — z nami będzie to samo co z księciem

Karolem Lotaryngskim pod Kesseldorfem; Austrya tak nas poświęci, jak jego dała na ofiarę.

— Nie może to być, nie może — począł Brühl.
— Dwór cesarski, mam najpewniejszą wiadomość, wysłał siły znaczne do Czech. Korpusem jednym dowodzi Broun, ten stanie pod Kolinem, drugim Piccolomini pod Königsratzem.

Generał Wied, wykomenderowany zostanie do Peterswaldde, aby nam podał rękę. My też wojsko nasze musimy zgromadzić w tej stronie.

— A Drezno? — spytał Rutowski — a król? królowa?

— Drezno! uśmiechając się, — zawołał Brühl — pan hrabia się lękaś o Drezno! Drezna nikt się tknąć, nikt się do niego zbliżyć nie waży, choćby w niem nie było jednego człowieka. O Drezno ja jestem spokojny.

— A ja nie — rzekł Rutowski.

— Panie hrabio — odezwał się minister — proszę przypomnieć sobie, że gdy za ś. p. ojca waszego, Karol XII-ty zajmował i nękał Saxonie całą, gdy mógł najłatwiej opanować stolicę, przecież się nie ważył nogą stąpić na próg jej, a gdy tu przybył, to z uszanowaniem i w gościnę. Jużciż Fryderyk nie będzie zuchwalszym od Karola XII-go?

— Wasza Ekscelencya nie znasz Fryderyka, a ja służyłem w wojsku pruskim i znam ducha, jaki tam panuje — mówił Rutowski. W Karolu XII-ym, jakkolwiek zdziczałym, było coś rycer-

skiego, było poszanowanie pewnych praw i przyzwyczajności. Fryderyk, który się z Pana Boga śmieje, z religii drwi publicznie, nie wierzy ani w piekło ani w niebo, a teraz już nawet, ani w pana de Voltaire swojego przyjaciela; nie poszanuje nic i wejdzie wszędzie, gdzie siłą wejść będzie mógł bezkarnie.

— Nie sędzę — rzekł Brühl głosem niepewnym.

— Mamy pierwszy dowód tego na wkroczeniu do Saxonii — dodał Rutowski.

— Król JMość już podpisał list, który natychmiast wyślemy.

— List! — ruszając ramionami, mruknął von Spörken — wyślijcie armaty, ale list! list nie po skutkuje pewnie.

— Zobaczmy — odparł Brühl — to są strachy człowieka, który sam się boi. Fryderyk II-gi wie, że naprzeciw siebie ma nie jedną Saxonję: ale Austryę, Francję i Rosyję; wie, że jest zgubiony. Wiem, jakie są jego plany: chce nas tą groźbą zmusić, abyśmy szli z nim przeciwko Austryi.

Rutowski pokręcił głową tylko.

— Nigdy w świecie z Fryderykiem — dodał Brühl — za nic w świecie. Król JMość na to się nie zgodzi.

— A tymczasem Saxonja padnie ofiarą — rzekł hrabia.

— To chwilowa kryzys — gorzko odparł mi-

nister. — Fryderyk zgubiony, zrozpaczony, targa się jak hyena w klatce zamknięta, ale darmo! Prusy zostaną wymazane z rzędu mocarstw europejskich.

Rutowski ruszył ramionami znowu i milczał.

— Radźmy, panie generale — odezwał się po małym przestanku Brühl. — Mojem zdaniem i zdaniem generała Nostitz, wszystkie nasze siły należy zgromadzić w obozie pod Pirną. Tam będziemy czekali, oparci o Königstein, dalszych wypadków. Fryderyk nie będzie śmiał. Generał Wied poda nam rękę, a przez niego utrzymamy komunikacye z Bourem i Piccolominim.

Obejrzał się Brühl: nikt się nie sprzeciwił. Rutowski stał zamyślony.

— Jakże wy sądzicie panie hrabio — spytał minister.

— Ja nie chcę mieć głosu, aby nie brać na siebie odpowiedzialności — rzekł Rutowski. — JK. Mości służyć chcę i będę, ale w takim położeniu w jakim się znajdujemy, z piętnastu tysiącami na czterdzieści, bez przygotowania, zaskoczeni niespodzianie, możemy bronić honoru tylko nie Saxonii.

— Panie hrabio! pan widzisz wszystko zbyt czarno. Za naszemi piętnastoma, przeciw Prusom staje kilkakroć sto tysięcy sprzymierzonych.

— Za pozwoleniem — przerwał Rutowski — traktat podpisany?

Brühl się zawahał.

— W tem była cała moja przebiegłość i polityka, aby go nie podpisać i nie dać pozorów do wojny. Traktat jest tak jak zawarty. Gdybym go podpisał, Fryderyk jutro miałby jego kopię, a tak...

— Wie tylko coście pisali do Wiednia i to mu wystarcza — zakończył hrabia — nie mówmy o tem. Na słowa dziś już nie ma czasu: co robić. Robić! robić! — dodał Rutowski — rozkazy! rozkazów trzeba.

— Tak jest — potwierdził baron Spörken.

— Obóz pod Pirną — odparł Brühl — pozycja jest doskonała! obronna, położenie nad które nie znajdziemy szczęśliwszego. Całe siły nasze pod Pirną. Pan generał zechcesz obmyśleć...

Rutowski nie mówiąc słowa, wziął za kapelusze leżący na stoliku.

-- Idę, wyśełam rozkazy.

Brühl z pewnym niepokojem przeprowadził go do progów.

Spörken począł chodzić po gabinecie. Hr. Loss, Stammer i Globig rozmawiali pocichu; Brühl powrócił czoło ocierając i padł na krzesło.

— Tak — rzekł — nie przeczę, jesteśmy w chwilowym zakłopotaniu, ale kosztem tym pozbedziemy się raz tego nieprzyjaciela, któryby nam wiekuiście wpity siedział do boku. *Il faut en finir une bonne fois pour toutes.* Nigdy plan szczęśliwszy nie był obmyślany, nigdy zwycięstwo nie mogło być pewnością. Niech wchodzi do Saxonii; bardzo do-

brze: obsaczymy go tutaj i weźmiemy. *S'en est fait de la Prusse!*

Gdy to mówił, twarz mu się stopniowo wyjaśniała.

Hr. Loss stał przed nim zadumany.

— Jak myślicie, archiwa sekretne należałoby wywieźć do Königsteinu — zapytał.

— Po co? — rzekł Brühl.

— A jeśli wnijdą?

— Dokąd?

— Do Drezna.

Brühl się rozśmiał.

— Mówcie panowie co chcecie, jest to rzecz tak niemożliwa, tak niemożliwa...

Wszyscy zamilkli.

— Król chce sam być w obozie pod Pirną — rzekł zwracając się do Spörkena Brühl — napróżno usiłowałem go od tego odciągnąć. Mój Boże! ile go to zdrowia i spokoju kosztować będzie? Powiedział mi, że jeśli Prusacy natrą, sam gotów do nich strzelać; ale Prusaków nie zobaczymy.

Rozśmiał się Brühl.

Marszałek dworu wszedł w tej chwili oznajmując, że obiad stygnął oddawna.

— Jeść zawsze potrzeba — odezwał się Brühl wstając — proszę panów z sobą do stołu.

I podawszy rękę hrabiemu Loss, wyszedł, układając twarz do salonu, w którym hr. Moszyńska i hr. Störnberg i cały dwór jego nań oczekiwał.

Gdy się to działo w pałacu pierwszego ministra, około zamku gęstsze niż kiedykolwiek stały straże. Służba była przebrana najtroskliwiej. Po kurytarzach ukryte czatowały warty, na wschodach i w przedpokojach snuły się różne postacie, kosemi oczyma, mierzące nie tylko przechodzących przez pokoje, ale nawet ukazujących się w dziedzińcu.

Król August III-ci siedział w swem krześle zadumany nieco, ale ukołysany już tak obietnicami posiłków przez Brühla, planem jego przeciw Prusakom, przedstawionym mu doskonałym stanem armii saskiej, której dla króla było zawsze trzydzieści tysięcy, iż myślał już więcej o księdzu kanoniku Crespi, o kupnach Algarottego, o galeryi, o polowaniu, o różnych potajemnych przyjemnościach życia, które O. Guarini pod warunkiem tajemnicy rozgrzeszał, niż o Fryderyku II-im i Prusakach. W duchu też był przekonany, że ten Fryderyk nie mógł mu być tak nieprzyjaznym, że można go było ująć, ukołysać tymczasem, a potem do Brandeburga odesłać, żeby mu się niewiedzieć czego nie zachciało. August III-ci czuł się tak silnym, iż chwilowy kłopot domowy nie zdawał mu się groźnym. W ostainim razie alboż nie miał jeszcze Krakowa i Warszawy, i puszczy polskie i niedźwiedzi i wilków, a nawet żubrów, gdyby mu się ich koniecznie zachciało...

Wprawdzie szlachta polska nie wszystka mu

była do smaku, naród był burzliwy i krzykliwy, zuchwały i niegrzeczny, a jednak między niemi byli ludzie choć do rany przyłożyć. Pałac saski nie był nazbyt niewygodny... toż za Wilanowem i za Pragą lasy, a w lasach zwierzyny moc.

I dumał król, fajkę paląc a wzdychając niekiedy nad niezmierną niegrzecznością Fryderyka.

A w zamkowej ulicy pod bramami zbierały się potajemnie kupki ludzi. Szeptano sobie na ucho i spoglądano ku oknom zamkowym.

Nieopodal ztąd w sklepiku naprzeciwko, pod orłem białym, gospodarz pan Weiss, otyły, połyskujący Niemiec, z rękami na żołądku, rozmawiał z sąsiadką panią Krause.

— Powiadam ci panie Weiss, żem w zamku słyszała... idą Prusacy; król Fryderyk nasz, ewangelik...

— Co waćpni w głowie — uśmiechnął się Weiss — on ewangelik, poganin. Wiem to najlepiej. Mają swój osobny kościół w Berlinie, do którego się zgromadzają nocami dla odprawiania swych obrządków. Kozła na ołtarzu czczą ze złoconemi rogami.

— Ale pfe! — zawołała pani Krause — to nie może być!

— Wiem najlepiej od duchownych: z Francyi przyjeżdża ich arcykapłan.

— Otóż za to Pan Bóg karze! za to — odezwiała się pani Krause. — Już były w tym roku

znaki. Czy nie pamiętacie co się u nas działo w styczniu z 13-go na 14-ty? Sądny dzień! Dachówki leciały jak liście, kominy się sypały, okna wrywało, koło Wilsdrufskiej mur wywaliło. A w lutym znowu jaka była burza? Czy kiedy co podobnego ludzkie oczy widziały?

— Tę pamiętam, bo w kilka dni potem spaliło się w Kaïtz jedenaście domów — westchnął Weiss. — Ale do Drezna, niedoczekanie ich, Prusacy nie przyjdą — dodał — mury mocne.

— Kto ich wie, jeśli z kozłem mają do czynienia, a czary na posługi... — I westchnęła Krausowa, dygnęła i poszła.

Około ratusza kilku mieszczan rozglądało się po ulicach.

— Kuryery latają jak oparzone — rzekł jeden.

— Trzech na Pirnajską bramę posłano; sam widziałem — odpowiedział drugi.

— Gdzież, mówią, Prusacy? — spytał trzeci.

— Kto to może wiedzieć? Plotą ludzie tak, że człek głowę traci. Gadają jedni, że już w Lipsku, drudzy, że w Meissen, inni, że w Stolpen.

— Nie może to być: wojny słyszę nie wypo-wiedzieli — rzekł jeden polityk.

— A co myślicie — odezwał się z boku inny — gdyby Saxonię i zajęli, alboby nam było gorzej?

Syknał któryś. — Bo już chyba nie może być gorzej, ale drudzy znak dali, aby milczał.

W tem Beguélin się zjawił, znajomy kilku.

— Panie Braun! — rzekł szybko — bierzże swój ser, na miłość Boga!

— A kto go będzie jadł, jeśli wojna przyjdzie?

— O to nie ma biedy — wtrącił drugi — spytaj lepiej kto go będzie płacił? Zjeść, zjedzą!

— Panie radzco — zapytał zcicha Braun — prawdażto, że wasi nam Saxonią zajmują?

Beguélin stanął jakby niesłychanie zdziwiony.

— Kto? gdzie? oszaleliście czy co! ja nic nie wiem.—I odszedł szybko.

Do późnej nocy trwał ten ruch niespokojny w ulicach. Wieczorem, że się bez rozrywki obejść niepodobna, król w Jägershofie wyprawił sobie strzelanie do celu. W Gewarghausie dworscy komedyanci niemieccy, grali przedziwnie wesołą sztuczkę.

Lecz tego dnia pan Ksawery Masłowski nie potrzebował dla rozrywki iść do teatru: dosyć mu było w pałacu Brühla i w ulicach przysłuchiwać się i przypatrywać skutkom ogólnego popłochu. Ktoby go był widział prychnącego kiedy niekiedy gdy śmiechu wstrzymać nie mógł, myślałby, że istotnie coś nadzwyczaj szczęśliwego mu się trafiło.

Wychodził właśnie z pałacu zamyślając iść wcześniej do domu, aby nieszczęśliwemu Simonisowi dotrzymać towarzystwa, gdy Blumli się do niego przyłączył.

Zmieniony był i smutny. Zrana z powodu Si-

monisa, musiał przebyć złą chwilę: posadzono go o współnictwo, przetrząsniono mu dom i papiery i tylko opiece hrabinęj, która zań zaręczyła, winien był, iż cały wyszedł a swobodny.

— Patrzajże panie Ksawery — rzekł do niego — com odpokutował za tego człowieka? Ale któżby się był tego po nim spodziewał!

— W istocie — odparł Masłowski — miał taką minę, jakby trzech zliczyć nie umiał.

— I niezręczny, w dodatku! — zawołał Blumli — dać się złapać na pierwszym kroku.

— Jako złapać? — przerwał Masłowski.

— Jego jeszcze nie złapano, ale listy — mówił Blumli — a co się z nim stało?

— Jak się wam zdaje? co się z nim stać mogło? — spytał Masłowski.

— Kto go wie! Wymknął się pewnie z pomocą baronowéj lub baronównéj.

— Taby go była nie ocaliła — rzekł Masłowski — nadto dobra Saxonka.

Blumli mówiąc szedł ciągle, jak gdyby w zamiarze odwiedzenia Masłowskiego. Panu Ksaweremu zaczynało być przykro.

— Idziecie do domu? — spytał Szwajcar.

— Ja? niekoniecznie: wolałbym się powłóczyć jeszcze.

— A jabym się do was wprosił w gościnę na kilka godzin — dokończył Blumli — do domu nie

chcę iść. Któż wie? może im przyjść fantazyja i pomnie przysłać, tymczasowo na odwach wsadzić: wolę u siebie nie być.

Masłowski się zmieszał widocznie.

U mnie taki nieład! — rzekł — Fuchsowa właśnie zabrała się szorować i robić porządek.

— Musiała go skończyć — rzekł Blumli — jużciż Polak niegościnnym być nie może. Czyżbyście mnie u siebie przyjąć nie chcieli. Czy się obawiacie?

W dwie drażliwe struny trącił Szwajcar: w gościnność i odwagę. Masłowski aż się rzucił.

— Nie mówcież mi tego! — zawołał. — Idę przodem o dwa kroki, abym Fuchsowej nakazał corychlej izbę oczyścić: proszę za mną.

Pobiegł pan Ksawery i pędem skoczył na górę, drzwi znalazł zamknięte i pięściami bić w nie począł. Nie rychło jednak Simonis mu otworzył.

— Zamknij się w sypialnym pokoju — krzyknął pośpiesznie go popychając. — Nie mogłem się odczepić od Blumlego, który tu idzie. Ruszaj i siedź cicho!

Zaledwie drzwi się zamknęły za kawalerem, który do alkowy umknął, Blumli był na progu.

— Fuchsowa dziś nie robiła porządku, chwala Bogu — odezwał się Masłowski — zajęta jest Prusakami. Całe miasto o nich gada. W sypialnym tylko pokoju nastawiała mi konewek i balij.

— Siadajcie!

Masłowski posłał po wino i owoce i siedli tak gwarząc, a gospodarz z wielką pilnością chodził około drzwi zamkniętych, lękając się, aby Blumli nie przyszła fantazyja zajrzeć do balij i konewek. Jakby naumyślnie Szwajcar rozwodził się nad niegodziwą zdradą Simonisa, nad podwójną rolą, jaką odegrywał, nad kłopotem, jaki z tego powodu miała stara baronowa. Słowem, nie żałował go wcale, a ukryty w izbie obok wszystkich tych narzekań słuchać musiał.

— A! — zawołał w końcu Blumli — gdyby mi popadł w ręce! Nie zaręczam cobym zrobił? Dla oczyszczenia samego siebie oddałbym go Brühlowi; przecieźby go nie powiesili, a niechby się raz strachu najadł, drugi raz byłby ostrożniejszy.

Hrabina mówiła mi dziś rano, że gdyby wpadł w ręce sprawiedliwości, prosiłaby męża o surowość: jest oburzona.

Wśród tej rozmowy, zdawało się Masłowskiemu jak gdyby okno w alkowie brzęknęło, jakby ruch jakiś dał się w niej słyszeć. Zagadywał jak mógł Szwajcara i głużył go, lecz zbyt blisko drzwi siedzieli, żeby rozmowa ujść miała uszu nieszczęśliwego.

Dwie długie godziny tak przeszło.

— Teraz, gdy już noc nadchodzi — odezwał się Blumli — pójdę do Miny, ona mnie przechowa. Wątpię, żebym tam dziś Brühla zastał: nadto ma na głowie.

Pożegnali się; Masłowski go na wschody wyprowadził i co najprędzej wrócił do pokoju, aby Simonisa uwolnić. Otworzył alkowę, spojrzął: okno stało na oścież... począł szukać po kątach, nigdzie Simonisa ani śladu, tylko koniec skreconych prześcieradeł białą przywiązany do listwy, a spojrzawszy w ogród dojrzał pan Ksawery końców sznura na gałęzi starzej gruszy.

— Skorzystał z mojej instrukcyi doskonale — rzekł wciągając prześcieradła — a jeśli go teraz gdzie pochwycą, jam nie winien!...

I rozśmiał się na całe gardło.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



Najnowsze dzieła wydane nakładem księgarni
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie.

- Chłędowski Kazimierz.** Królowa Bona, obrazy czasu i ludzi, 2 tomy. rs. 1 k. 50
- Chomętowski Władysław.** Synowie hetmańscy, opowiadanie historyczne, 2 tomy. rs. 2 k. 40.
- Dmochowski F. T.** Krótki zbiór historii polskiej, podług najnowszych źródeł opowiedziany. Wyd. nowe, popr. i uzupełnione spisem chronologicznym i wykazem książąt z plemienia Piastów i Gedyminów kop. 75.
- Ewangelia dla małych dzieci** przez H. J. z ryc. kop. 30.
- Faleński F.** Sama jedna, opowiadanie k. 75.
- Gloger.** Starodawne dumy i pieśni k. 25.
- Gloger.** Krakowiaki ze źródeł drukowanych i ust ludu. kop. 30.
- Heurich.** Przewodnik dla cieśli, obejmujący cały zakres ciesielstwa z 299 drzewor. w tekście, podług najlepszych dzieł obcych z zastosow. do potrzeb i zwyczajów krajowych, wyd. 3cie. rs. 1 k. 20.
- Kamocka J.** Bądź wola Twoja. Modlitwy i rozmyślenia na wszystkie dni tygodnia i miesiąca, na wszystkie uroczystości kościelne i na wszelkie okoliczności życia, ułożone przez kapłanów i Świętych katolickiego kościoła ku czci i chwale Ukrzyżowanego Chrystusa. Wydanie osobne dla kobiet i mężczyzn. rs. 1 k. 20.
- Kondratowicz Ludwik.** Dzieje literatury w Polsce od pierwiastkowych czasów do XVII wieku. Wydanie drugie dopełnione przypiskami, 3 tomy, rs. 1 k. 50
w oprawie rs. 2 k. 70.

106831

Biblioteka WSP Kielce



0149862

- Kosiński K. ks. Mały katechizm 2gie pow.
- Kraszewski, J. I. Bracia rywale, obrazki z XVIII wieku,
- Hołota, powieść współczesna. 2
- Lubowski Edward. Przesady, komed.
- Magnuszewski Dominik. Dzieła, t. 1. 1877. rs. 1 k. 20,
- Odyniec A. E. Listy z podróży (z Neapolu do Genewy) tom IV. rs. 1. k. 50. cena 4 tomów rs. 5 k. 40
- Rembielński Gustaw, Machiny parowe w zastosowaniu do potrzeb rolnictwa i maszyny rolnicze, wielka Ska. rs. 1 k. 20.
- Sas Berlicz. (J. hr. Strutyński). Dwie babki, pamiętnik. I. Pani kasztelanowa trocka. II. Pani kasztelanowa horodelska, 2 tomy. rs. 2.
- Serwatowski W. ks. Dzieje starego i nowego testamentu krótko zebrane dla dzieci, wydanie ósme przejrzone i poprawione, ozdobione licznymi drzeworytami w teście w oprawie. k. 37½.
- Świat zwierzęcy w obrazkach, zebrany dla młodocianego wieku przez autorkę „Wieczorów Czwartkowych“ z 96 tabl. rycin. kolor., w oprawie. rs. 1 kr. 50.
- Trzy Baśnie: Mądry kot. Księżniczka z głogu. Kopsziuszek z 19 ryc. kolorowan. z tekstem Wł. L. Anczyca rs. 1 kop. 50.
- Wiśniowski Sygurd. Dzieci królowej Oceanii. rs. 1 k. 50.
- Wójcicki K. W. Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia (1800 - 1830), rs. 1 k. 80.
- Zacharyasiewicz. Prawo bezprawia, powieść. rs. 1.
- Zły interes, powieść ze studyów wiedeńskich, rs. 1 k. 50.
- Zarysy charakteru Germanów i Słowian przez A. A. k. 40